Nr. 52. Poznań, w Wigilię Bożego Narodzenia 1900 r. Rok IV.

PRACA



Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Wigilia Bożego Narodzenia.

Dziś Wigilia!... Dziwny urok kryje się dla nas w tem jednem prostem słowie. — Wzrusza ono i rozrzewnia, czarem wspomnień przemawia do duszy. Na dźwięk tego wyrazu wybladłe od lat wielu barwy ożywiają się, zatarte i rozwiane obrazy stają przed nami w swej dawnej postaci. Wydaje nam się przez chwilę, że życie w ciągu długiego szeregu lat nie ukazywało nam w dali widm nieuchwytnych, by uciec z niemi za zbliżeniem się naszem, że nie obdzierało bezlitośnie ze złudzeń młodości, nie karmiło goryczą zawodów i rozczarowań, nie poorało czół zmarszczkami, nie przyprószyło włosów siwizną...

I gotowi jesteśmy przypuścić, że zmora trosk i cierpień nie gniotła nigdy naszych piersi, że ciężkie brzemię walki o byt nie zgięło nas wcale do ziemi. Myśl nasza zwraca się mimowoli ku najpiękniejszym chwilom dzieciństwa i wczesnej młodości, ku ogniskom najdroższym, w których cieple i blasku wzrastaliśmy, a które dla wielu wygasły już może na zawsze, wspomnienie tylko pozostawiając po sobie.

Wspomnienia... Ileż w ten dzień wigilijny ciśnie ich się razem do głowy. Oto zda się, w ich aureoli tęczowej staje przed nami cichy dwór wiejski, otoczony wieńcem lip i topoli, wyciągających ku roziskrzonemu gwiazdami niebu obnażone z liści i pokryte śniegiem konary.

Wewnątrz widno i ciepło, błogość jakaś rozlewa się w sercu. Duży pokój, jasno oswietlony — po środku stół, pięknie nakryty. Jakieś drogie, dawno niewidziane oblicza przesuwają się przed oczyma, śnieżnej białości opłatek z rąk do rąk przechodzi, echa życzeń i błogosławieństw gdzieś rozbrzmiewają w powietrzu.

Albo obrazek inny. Na wzniesieniu ciemno-zielone drzewko — jak świętojańskie robaczki, lśnią na niem ogniki złote — w ich blasku cacka, strojące „choinkę,“ mnożą się i rosną w oczach, przybierając kształty fantastyczne. A w cieniu „bożego drzewka“ co niespodzianek i upominków gwiazdkowych! Dla starszych i młodszych, dla służby i domowników, dla dziatwy przedewszystkiem, napełniającej pokój gwarem okrzyków zdumienia, radości i szczęścia. To jej dzień to jej święto najpiękniejsze.

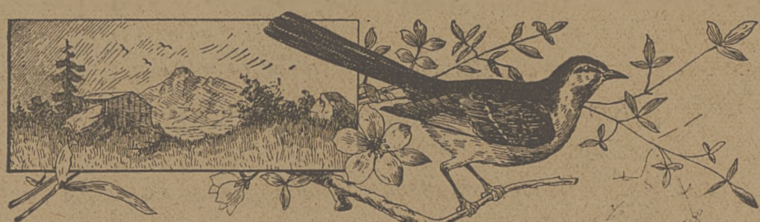
A potem te niezapomniane dźwięki odwiecznych pieśni kolędowych, nuconych chórem rodzinnym przy akompaniamencie starego fortepianu i budzących dziwne uczucia w sercach wszystkich.

Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony...

We wspomnieniach tych zawsze tkwi dla każdego urok niewypowiedziany, wspomnienia te chyba nigdy na świecie zatrzeć się w duszy nie dadzą.

Dzień wigilii — to przedewszystkiem święto pokoju, miłości i zgody. W dniu tym, mówiąc słowami poety, serca nasze, „jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą, jeżeli o czem zapomnieć — zapomną,“ aby się zespolić w serdecznym bratnim uścisku.

Wł. Bukowiński.



Wesołych Świąt.

Świąt wesołych Wam życzy „Praca“, drodzy czytelnicy! Nie pierwszy rok to nam zbiegł na twardej pracy wspólnej ku powiększeniu dobra narodowego, więc wspólnego spoczynku chwila nam się należy.

My z naszej strony mamy poczucie spełnionego obowiązku wobec Was, bośmy przez cały ten rok dobiegający kresu stali na stanowisku obrony narodowej i ani napaści wrogów, ani odmienne zdanie własnych rodaków naszych nie nakłoniło nas do uległości w którąkolwiek stronę. A że nas niemało trudu i pracy kosztowało utrzymanie raz zajętego w imię publicznego dobra posterunku — o tem najlepiej zaświadczą ofiary, jakie ponieśliśmy w roku ubiegłym.

Jeszcze w świeżej jest wszystkim pamięci przymusowe wydalenie naszego naczelnego redaktora, dra K. Rakowskiego, który na schyłku zeszłego roku opuścić musiał pruskie granice. Aby zaś nam uzupełnić kielich goryczy, prokuratorya i sądy nie szczędziły nam rewizyi, procesów i aresztowań. Oto za artykuły o komisyi kolonizacyjnej na wysoką karę więzienną skazany jeden i drugi redaktor odpowiedzialny, — wślad za tem sypią się na nas kary pieniężne, konfiskata numerów, których tysiące przygotowane dla czytelników z wyroku sądowego stać się mają pastwą płomieni, aby ich oko polskie nie widziało, aby ich serce polskie żywszem drgnieniem nie odczuło; — oto nagłe aresztowanie i osadzenie w blisko rocznem więzieniu odpowiedzialnego redaktora, p. Siemiątkowskiego, wiekowego człowieka, który nigdy jeszcze nie zaznał więzienia...

Nawet tej przykrości nam los nie oszczędził, że człowiek polskie nazwisko noszący denuncyował re-

dakcyę i wydawcę pisma naszego, poprzysiągłszy sobie, że los pisma podetnie, — i dopiął tego, że w rezultacie sąd ukarał w pierwszej instancyi naszą „winę“ z powodu ostrych słów prawdy pod adresem donosiciela — czterema tysiącami marek odszkodowania i kilku miesiącami więzienia. Dopiero w drugiej instancyi zmniejszono naszą „karę“ i na denuncyanta włożono połowę kosztów.....

Jakież pismo, jakież przedsiębiorstwo ostaćby się mogło wobec tych nieustannie bijących w nie gromów, gdyby nie szczera, a pełna entuzyazmu dla sprawy narodowej opieka przywiązanych czytelników! **I z dumą spoglądamy na to, że udało nam się zgromadzić pod wspólną chorągwią, w imię ideałów narodowych, taki poważny zastęp przyjaciół i zwolenników, dbałych o rozwój naszego pisma.** Z dumą spoglądamy na ten zastęp **trzynastotysięczny** czytelników naszych, bo to największa nasza chluba, największe bogactwo, najlepsza nagroda.

W to poparcie ufni, kroczymy w przyszłość z pewnością i spokojem, bo nic policya i sądy zrobić nie mogą tam, gdzie **tysiące** wiernych przyjaciół pracuje nad tem, aby każdy cios z tamtej strony zadany w dwójnasób nam wynagrodzić.

Zaiste — sądy i policya obchodzą się z nami, jakby trucizna płynęła z łamów pisma naszego do serc czytelników, ale to jest widocznie tylko **„trucizna, którą wrogowie się strują“**, bo w kołach naszych czytelników toruje sobie drogę zrozumienie coraz głębsze obowiązków obywatelskich i narodowych.

A więc **wesołych Świąt** życzymy tym wszystkim pracownikom we wspólnej narodowej winnicy. Z głębi wzruszonego serca wołamy w imieniu naszych poznańskich czytelników: **Wesołych Świąt!** — do przyjaciół naszych na Śląsku, w Prusach, w Galicyi i na wychodźtwie!

W tych dniach jeden emigrant z Westfalii napisał do nas serdeczny list, prosząc, abyśmy w imieniu wychodźtwa polskiego braciom w kraju życzyli wesołych Świąt i wspomnieli, że gdy oni tu w kraju gwiazdkę przy wspólnym stole familijnym obchodzić będą — to i tam gdzieś w dalekiej Westfalii, w Berlinie lub w Hanowerze w tej samej chwili o nich myśleć i gwarzyć będą rodacy, a myśl bratnia, jak gołąb biały z różdżką nadziei, przebywać będzie przestrzenie odległe i pukać od serca do serca — —

Widząc jak powoli a nieustannie krzewi się ta spójność serc i myśli, która stanowi istotną rękojmię naszego narodowego bytu w przyszłości, mamy wrażenie, że w tem jest też cząstka i naszej pracy i naszych usiłowań, dążyliśmy bowiem zawsze i dążyć będziemy do tego, aby wszyscy członkowie naszego społeczeństwa czuli się braćmi, synami jednej Matki wspólnej, Ojczyzny, obywatelami jednej uciśnionej ziemi, co niegdyś wolną była i na lepszą dolę w przyszłości zasłużyła.

I dziś oto — w dniu świątecznym — gdy obchodzimy wielką dla całego chrześciaństwa pamiątkę narodzenia Odkupiciela świata; — gdy niebiańskie hymny brzmią, łagodząc zbolałe serca nutą słów tajemniczych: **„pokój ludziom dobrej woli“** — wtedy i my te słowa kierujemy do wszystkich ludzi, co **w ukochaniu ziemi ojczystej, w pracy obywatelskiej, w spełnianiu obowiązków wobec przeszłości i wobec młodego pokolenia dali dowód dobrej woli!**

Niech Wam wszystkim zagości w sercach spokój po dokonanym obowiązku! Niechaj Święta wśród rodzinnego zakątka będą dla Was odpoczynkiem dobrze zasłużonym, niech napełnią serca Wasze otuchą do nowej walki, co nas czeka w przyszłym roku!

Lecz i podczas Świąt nie zapominajcie, mili Czytelnicy nasi, o naszem piśmie, które z większą niż dotychczas ufnością spogląda na Was i sądzi, że z tylu okazyi komunikowania się ze znajomymi, ile ich Święta nastręczają, każdy skorzysta, aby „Pracę“ gorąco zalecić i Czytelników jej werbować.

Zaznaczyliśmy już dawniej powody, które nas zmusiły do podniesienia prenumeraty o 25 fen. na kwartał, tak iż **od Nowego Roku zamiast jednej marki, „Praca“ będzie kosztować 1 mk. 25 fen. kwartalnie.** Mamy nadzieję, że Czytelnicy nasi i nasi Przyjaciele pomimo tej niewielkiej zmiany pozostaną nam wszyscy wierni i starać się będą szerzyć wiadomość o powodach, które nas do tego kroku zmusiły. Spodziewamy się, że za rok w porze gwiazdki znów wszyscy, którzy dziś pracujemy pod sztandarem **„Pracy“**, spotkamy się razem, i to w liczniejszem jeszcze gronie, — i że redakcya znów, jak dziś, tak i w przyszłym roku będzie mogła wszystkim dzisiajszym Czytelnikom przesłać serdeczne życzenia: **Wesołych Świąt!**

Redakcya „Pracy“.

Chwała na wysokości...

Victoria! wołają ludy chrześcijańskie w dniu urodzenia Chrytusa Pana, Zbawiciela świata.

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“, drży radośnie z ust polskich i te słowa jak dobra, wesoła nowina rozbrzmiewają w czasie świąt Bożego Narodzenia po kościołach bożych, rozbrzmiewają po domach miast i siół naszych, zwiastując wszystkim wiernym wesele wielkie.

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“, będą w dniach świątecznych powtarzały umysły i usta, kiedy się wieczorem rodzina cała przy domowem ognisku gromadzi odśpiewywać staropolskie kolendy.

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli,“ jakże często słowa te obijały się nam o uszy, jakże często samiśmy je już powtarzali! Ale czy zastanowiliśmy się choć raz nad tem jaka głęboka i potężna myśl, jaka wielka obietnica zawarta w tych prostych słowach: **„pokój ludziom dobrej woli.“**

„Pokój ludziom“ zapowiada Ewangelia; ale jakiż to pokój? Przecież nie pokój zobojętnienia i bezmyślności, nie pokój dusz ciasnych i zmartwiałych, spo-

kojnych własnem lenistwem, ale wewnętrzne zadowolenie, będące dziedzictwem jedynie dusz prawdziwie bożych; pokój, który jest najczystszem szczęściem człowieka na ziemi.

Taki to pokój zwiastuje ludziom Ewangelia w dniu, w którym głosi radosną nowinę o przyjściu Zbawiciela na świat, bo taki właśnie pokój przyniósł Mesyasz ludziom. Ale nie wszystkim, a jedynie, wedle słów Ewangelii, ***ludziom dobrej woli*** *dał i zostawił Zbawiciel ten pokój. Co to znaczy człowiek* ***dobrej woli****?*

Dobra wola w człowieku jest to ta sprężyna wewnętrzna, każąca mu życie całe wieść po bożemu, kierująca myśli, uczucia i uczynki jego do dobrego, jest to ta wewnętrzna, potrzeba charakteru: czynić zawsze dobrze. Nie doczesny zysk, nie materyalna korzyść, nie chęć zadowolenia niskich ludzkich ambicyi leży na dnie słów, myśli i postępków człowieka o „dobrej woli“, ale to gorące pragnienie szerzyć i siać wśród bliźnich dobro dla dobra samego i czynić bliźnim zawsze dobrze.

Człowiek dobrej woli nie spełni z rozmysłem postępku, o którym nie będzie przekonanym, że postępek ten dobre tylko wydać może owoce, że przysłuży się dobrej sprawie wśród bliźnich.

Człowiek dobrej woli nie odda się nigdy samolubstwu, nie będzie nigdy szukał własnych korzyści ze szkodą drugich, ale dobro społeczne, wspólne dobro bliźnich będzie zawsze postępków i życia jego ostatnim i najgłówniejszym celem.

Dlatego to „dobra wola“ jest najsilniejszą dźwignią społeczną; jest więcej, podwaliną, na której dopiero prawdziwe cnoty obywatelskie rozwinąć się, rzetelne życie społeczne, patryotyczny zapał zakwitnąć może. Słusznie więc Krasiński Zygmunt, modląc się o zbawienie Ojczyzny, temi modlił się słowy:

„Daj nam najwyższe wśród dóbr swych
dobro,
„Daj nam ***dobrą wolę****.“*

Jedynie tym ludziom, którzy to najwyższe dobro posiedli, ludziom dobrej woli, zwiastowali aniołowie pańscy pokój na ziemi, i do nich tylko odzywał się Chrystus Pan, kiedy mówił: „Pokój mój daję Wam, pokój mój zostawuję Wam.“

* * *

Święta Bożego Narodzenia to święta radości i wesela, to zarazem święta miłości serdecznej, rodzinnej; bo na święta te gromadzi się za wspólnym stołem rodzina cała z blizka i daleka; krewni i znajomi, co nie widzieli się może rok cały, łamią się wspólnym opłatkiem; w czasie tych świąt rozbrzmiewać będą po Polsce całej i wszędzie na obczyźnie, gdzie serca polskie biją i polskie języki chwalą Pana zastępów, te same pieśni, o aniele, „który pasterzom mówił“, że już w „żłobie leży“ ten Bóg, przed którym wszelka ziemska „moc truchleje.“

Te wspólne pieśni w tych samych dniach przez naród cały śpiewane i przez tych, co w kopalniach Sybiru jęczą, i tych, co za kratą więzienną słońca nie widzą, i tych, co za morzem szczęścia szukać poszli, i tych, co w niemieckiej Westfalii wspólny wygnańczy wiodą żywot, i przez tych, co na ojców swych ziemi zostawszy, krwawy i twardy wiodą bój o narodowość, te pieśni nasze polskie i wyrażone w nich uczucia, modlitwy i nadzieje zjednoczą cały naród na troje rozdarty w jedną wielką, niepodzielną rodzinę.

Z tymi wszystkimi łączy się dzisiaj w duchu Redakcya „Pracy“ i przesyła im serdeczne pozdrowienie i bratni uścisk dłoni. Nie wszędzie i nie do wszystkich głos „Pracy“ doleci; — niechże przynajmniej tam wszędzie, gdzie w czasie świąt niniejszych pismo to dojdzie, krzepi życie, niech je uszlachetnia, niech niesie dobrą nowinę! Niech sieje wszędzie pokój ludziom dobrej woli i niech krzewi dobrą wolę służenia zawsze i wszędzie wspólnej nam wszystkim, jednej polskiej sprawie.

W tym dniu i tą prośbą:

„Daj nam najwyższe wśród dóbr swych
dobro:
„Daj nam dobrą wolę“

jednoczy się dzisiaj z wszystkimi Przyjaciołmi, życzliwymi Czytelnikami „Pracy.“

Ks. Z......

Walka przeciw Polakom.

Rozlała się oto znowu szeroką ławicą powódź hakatystycznych projektów antypolskich. Jak w „Panu Tadeuszu“ Mickiewicza brzmi hajdamacki okrzyk *Hejże na Soplicę!* tak dziś w obozie rządowo-hakatystyczno-wszechniemieckim rozbrzmiewa od Warty aż po Ren okrzyk: *Hejże na Polaków!*

Precz z językiem polskim! Zgnieść polską oświatę! Zdusić gazety polskie! Zakazać wieców i zgromadzeń, rozwiązać towarzystwa polskie! Zabronić druku elementarzy! Usunąć kazania polskie z kościoła! Robotników z innych dzielnic Polski nie wpuszczać! Polaków obcych poddanych wydalić przymusowo! — tak wrzeszczy chór potępieńców, którzy zaparli się tradycyi istotnej kultury, a w duszy noszą jedną tylko namiętność — zaborczość.

I mściwy duch Bismarka, przebywający, zda się, wciąż w czeluściach antypolskiej polityki, objawiający się w denuncyacyach hakatystów, święci tryumfy za każdym razem, gdy płacz wydziedziczonych, pokrzywdzonych i odartych z prawa rzewnem echem płynie ku niebiosom.

A gdy zestawimy to wszystko, co się dziś dzieje w Prusach pod okiem „opiekuńczego“ rządu — na szkodę Polakom, gdy zważywszy, że nacisk walki z Polakami z roku na rok coraz potężnieje, że walka ta wszystkie pola ogarnia, ze sfery politycznej przenosi się na administracyjną, kościelną, ekonomiczną, społeczną, towarzyską — wreszcie wciska się do domowego ogniska i chce rodziców od dzieci oddzielić murem germanizacyi w szkole — gdy się zważy to wszystko, nasuwa się mimowoli pytanie: dlaczego *furor teutonicus*, dlaczego ta zaciekłość germańska w wynaradawianiu zwraca się przeciw nam z coraz większą siłą.

Przecież nie samo amatorstwo ucisku i prześladowania popycha sfery hakatystyczne do tak potwornych sposobów walki — przecież to jest cały *system* polityczny, który nie słabnie, lecz coraz bardziej się rozwija, stale i ciągle się wzmaga, wskazuje na istnienie planowo obmyślanego sposobu opanowania Polaków.

Powodem tego działania może być dwojakie wyrachowanie: po pierwsze potrzeba corychlejszego opanowania dzielnic wschodnich w obawie jakichś powikłań europejskich; powtóre fakt, że żywioł polski, pomimo wszystkich stosowanych przeciw niemu sposobów, umie się bronić, rośnie ilościowo i jakościowo, nie germanizuje się tak szybko, jakby tego pożądali Niemcy.

Gdyby nie rósł, gdyby w walce nie znajdował źródeł siły, gdyby pod brzemieniem ucisku się uginał i niknął w oczach, zapewneby nie było tego ucisku hakaty, bo panowałoby raczej przeświadczenie, że państwu Hohenzollernów nie grozi z naszej strony żadne niebezpieczeństwo.

Garstka Polaków jednak — ku wściekłości germanizatorów — nie daje się zniemczyć i swem istnieniem psuje harmonię wewnętrzną w państwie pruskiem. Nie jest ono narodowo-jednolitem, dopóki nas trzy miliony istnieją, nie jest ubezpieczonem, ponieważ w nas i dzieciach naszych samo hoduje sobie wrogów. Więc dążyć musi do połknięcia nas, a to tembardziej, im silniejszym jest opór, jaki my dajemy.

Warto się zastanowić nad tem, gdzie są właściwie te nowe źródła siły naszej w walce o narodowość. Siła ta na tem polega, że wobec Niemców ta garstka Polaków jest zwartą i solidarną, że ogarnia *cały lud*. Gdyby nie to, była by garstką. A że w najszerszych kołach ludu już duch polski się obudził, jest siłą, z którą państwo pruskie musi się liczyć, *a i snadnie przerachować się na swą szkodę może.*

Wielkopolska najwcześniej ze wszystkich dzielnic Polski zrozumiała, gdzie szukać siłę do walki z wrogiem — i znalazła ją w ludzie. Idea Kościuszkowska w czyn się zamieniła. Lud nasz, ze swemi małemi potrzebami, dużym zapasem energii, a jeszcze większym: miłości ojczyzny, ziemi nietylko nie sprzedaje, ale jej nawet przykupuje i z rąk niemieckich wydobywa. Przy mowie ojców trwa niezłomnie. Jeżeli kraj opuszcza, to nie udaje się tam, dokąd Bismark z szatańskiem swem szyderstwem wysyłał obywatelstwo ziemskie — do Monaco, ale wyjeżdża na zarobek.

Starajmyż się więc zachować i wzmacniać tę siłę, istniejącą w ludzie; starajmy się wszyscy, bo rozumiemy potrzebę zachowania narodowości, aby i włościanin, i robotnik, i wyrobnik ją zrozumiał i uznał.

Na bezkrwawem polu toczą się zapasy nasze o utrzymanie narodowości, ale z energią nie gorszą od tej, jakiej lud potrzebował, aby na jedno skinienie naczelnika brać gołemi rękoma armaty.

Jakąś gorączkową cechę przybiera zaciekłość Prusaków w dążeniu do wynarodowienia nas: przeciwstawmy jej spokojną, rozważną, zgodną pracę — a zwyciężymy.

Jak wyobrażać sobie należy zwycięztwo idei polskiej przeciw hakatyzmowi: w ten sposób, że cały ogół społeczeństwa naszego, każdy jego członek, czy to prosty robotnik, czy bogaty kupiec lub właściciel ziemski miałby pełną świadomość narodowych obowiązków, dbał o to, aby popierać swoich, aby dzieci wychowywać na Polaków, aby majątkowi narodowemu przysparzać kapitałów, aby literaturę i piśmiennictwo polskie popierać, krok za krokiem odzyskiwać utracone placówki polskości, państwu pruskiemu we wszystkich rachubach politycznych być prawdziwą kulą u nogi — i czekać, aż wreszcie historyczny rozwój sam przełamie butę pruską i wymierzając *im* sprawiedliwość postawi *nas* wobec lepszej przyszłości. *Vester.*

Z TYGODNIA.

Otóż i Gwiazdka! Ma ona swe prawa i wobec polityki, tej dumnej pani, która przez wieczne śniegi, pustynie i spalone żarem słońca przestrzenie dąży do swych celów i ogarnia siecią swych traktatów, za którymi wślad kroczą bagnety i armaty.

Ale i ta wielka pani-polityka musi ugiąć kolano przed prawem zwyczajowem, przed *Gwiazdką*, która wartkim trybom intryg i powikłań dyplomatycznych każe na chwilę przystanąć spokojnie.

I oto — dzięki tej chwilowej ciszy — zdawaćby się mogło, że ludzie są tacy dobrzy i zgodni, że rządy myślą tylko o dobrze swych poddanych, że wojska są tylko od parady.

Z dalekiej Afryki nie nadchodzą echa strzałów, milczą armaty Kruppa na dalekim Wschodzie — w Chinach, w parlamentach nie słychać piorunujących słów i wzajemnych oskarżań, z wiedeńskiej rady państwa nie dolatuje trzask łamanych pulpitów i krzeseł — — ale niech no tylko miną święta, a taniec rozpocznie się na nowo.

Ale pomimo świąt wszystko kojących, jeden tylko potwór stugłowy nie drzemie i ślepiów nie spuszcza z naszego ludu: to Hakata.

W tygodniu przedświątecznym narobiła ona znowu wrzasku na Polaków, bijąc na alarm niebezpieczeństwa, grożącego Rzeszy niemieckiej ze strony Polaków. Odezwały się hakatystyczne gadzinowe pisma, powtarzając w sążnistych artykułach opowieść o kolosalnem mnożeniu się Polaków, o ich gospodarności, przywiązaniu do gleby, miłości oświaty...

Świadectwo, wystawione przez Hakatę, ludności polskiej, jest poprostu świetne. Jakże to pięknie, że skrzętność polska, gospodarstwa, przedsiębiorstwa Polaków w pruskich prowincyach wschodnich służyć mogą za wzór innym.

W pochwałach tych jest jednakże tendencyjna przesada; chodzi o przedstawienie żywiołu polskiego jako niebezpiecznego ekonomicznie dla Niemców, aby tem wywołać dalszą pomoc ze skarbu państwa dla Niemców.

Niedawno niektóre dzienniki przytoczyły cyfry, odnoszące się do działalności pruskiej komisyi kolonizacyjnej, mianowicie do zakupionej przez nią ziemi. Cyfr tych nie powtórzyliśmy, bo one jeszcze nie są dokładne. W każdym razie prawdą jest, że komisya, pozyskawszy nowych 100 milionów marek, zakupiła w roku 1899 około 74,000 mórg magdeburskich, czyli około 18,500 hektarów ziemi. Skutkiem nacisku hakatystów komisya jednakże kupuje obecnie przeważnie, a nawet prawie wyłącznie od Niemców, aby ich materyalnie wesprzeć i od upadku ratować. Prawda, że zaofiarowania czynione komisyi kolonizacyjnej ze strony Polaków już nie są tak znaczne, a to istotnie jest pierwszy dowód ekonomicznego wzmagania się Polaków w pruskich prowincyach wschodnich.

Wogóle przyznać trzeba, że niejedno wśród ludności polskiej w Poznańskiem zmieniło się na lepsze. Z niewielkimi

wyjątkami jednostek zwyrodniałych, których i najtragiczniejsze położenie zmienić nie zdoła, koła zamożniejsze wśród Polaków ograniczyły swoje potrzeby, żyją skromnie, a przynajmniej bardziej rachunkowo, gdy tymczasem wymagania inteligencyi niemieckiej wzmogły się. Włościanin, mianowicie w Poznańskiem, nauczył się w ostatnich dziesiątkach lat dobrze gospodarować, a historya włościanina wielkopolskiego z tych czasów może posłużyć za wzór, jakiemi środkami w szybkim stosunkowo czasie materyalny i moralny poziom włościanina podnieść można. Rzemieślnicy po miastach istotnie, przy pomocy taniego kredytu, jaki otrzymują w instytucyach drobnego kredytu, podnoszą się. Ale fałszem jest absolutnym to, co twierdzi w powyższej cytacie hakata, że instytucye te nie rządzą się zasadami handlowemi przy udzielaniu kredytu. Wszak nawet ministrowie z trybuny w Berlinie polskim instytucyom drobnego kredytu przyznali, że są wzorowo pod względem handlowym prowadzone i dlatego prosperują.

Niemcy dziś w całej swojej działalności ekonomicznej w pruskich prowincyach wschodnich nie rządzą się zasadami ekonomicznemi, lecz wyłącznie propagandą szowinistyczną. Okaże się, do czego to prowadzi, a jeżeli sam hakatyzm przyznaje, że dziś wyrażenie „polnische Wirtschaft“ straciło racyę bytu, zastąpi je prawdopodobnie niedługo „hakatistische Wirtschaft,“ jako synonim złej gospodarki.

Im mniej jednak mogą hakatyści dopiąć czegośkolwiek przeciwko nam na polu ekonomicznem, tem bardziej starają się za pomocą represyjnych środków politycznych podkopać nasz byt. Mianowicie środki policyjno-administracyjne, z których nie potrzeba tłomaczyć się przed sejmem, są wyborną bronią w ręku nieprzyjaźnie usposobionych dla nas żywiołów.

To też coraz bardziej mnożą się wieści o wydalaniach Polaków, austryackich i rosyjskich poddanych z Królestwa Pruskiego. Świadczy to z jaką zaciekłością prowadzą Prusacy walkę ze społeczeństwem polskiem, skoro się nie wahają przymusowem wydalaniem rujnować bytu rodzin, osiadłych z dawien dawna na miejscu. Statystyka stwierdza, że oto od listopada aż do świąt Bożego Narodzenia policya odstawiła do granicy samych poddanych austryackich Polaków, przeszło *pięćset osób.*

Byli to ludzie po większej części spokojni, którzy nie stanęli w sprzeczności z kodeksem pruskim, których jednakże władze uznały za „niewygodnych“ (lästig). Fakt ten w jaskrawy sposób ilustruje przymierze austryacko-niemieckie. Wszak przymierze to zawarły dwa państwa, a nie żywioł niemiecki w obu państwach; ciężary z przymierza wynikające dotkliwie uczuć się dają zarówno wszystkim obywatelom państwa, a nie samym tylko Niemcom. Zdawałoby się więc, że obywatele austryaccy, dzięki przymierzu, powinniby korzystać raczej z ułatwień i uprzejmej gościnności w zaprzyjaźnionem państwie niemieckiem, a nie doznawać szykan i nieusprawiedliwionej banicyi. Poszkodowani oddawna zapytują: co na to hr. Gołuchowski? Austro-węgierskie ministerstwo spraw zagranicznych zdaje się jednak nie troszczyć o podobne sprawy, jako zbyt błahe. Jeźli stosunkowi wzajemnemu państw i narodów taka nietolerancya, takie zlekceważenie międzynarodowych praw się nie sprzeciwia, to nacóż ambasady i konsulaty? Czy w pokojowych czasach nie jest pierwszorzędnem zadaniem dbać o dobro własnych poddanych, choćby na obczyźnie przebywających i czuwać nad tem, ażeby im się krzywdy nie działy?

Lecz taki to już niestety porządek rzeczy, że jeśli siła jest po jednej stronie, a prawo po drugiej, to zawsze prawo jest pokrzywdzone. Tak jest i z naszemi prawami.

Ale jednak przecież uczy chrześciańska nauka, że przemoc, czyli siła bez prawa, zawsze w ostatecznej walce z prawem uledz musi, a prawo zatryumfuje.

A i święto dzisiajsze — Narodzenia Tego, Kogo czci świat chrześciański jako źródło prawdy i prawa — jest przypomnieniem jednem więcej, że prawo i w polityce wreszcie zwyciężyć musi.

To powtarzamy, życząc Czytelnikom naszych „Przeglądów politycznych“ serdecznie: *Wesołych Świąt!* *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

W paru ostatnich numerach „Pracy“ zalecaliśmy serdecznie naszym czytelnikom pamiętanie o zasadzie kupowania u swoich. Nie wątpimy, że nasza zachęta należyty odniosła skutek. A więc obecnie, potrosze dla rozweselenia czytelników, potrosze dla skierowania ich myśli w poważnym kierunku, podajemy ciekawy artykuł, który umieszcza wychodzące we Lwowie po polsku pismo żydowskie **„Wschód.“** Warto się przypatrzyć, jak żydzi odzywają się do żydów, aby „tylko u swoich“ kupowali:

„Nasza inteligencya żydowska a szczególnie nasze panie, mimo tego, że wszystko czego potrzebują w handlach i u rękodzielników żydowskich sprawić sobie mogą, garną się wprost do takich źródeł, gdzie antysemityzm kwitnie na ogromną skalę, gdzie jako podchlebstwo uważają komplement: „Pani wcale nie wygląda na żydówkę“, gdzie impertynencka krawczyni każe pokój wykadzić po żydówce, podczas gdy przy braniu pieniędzy nuci piosnkę!

„Ileżto rąk żydowskich pracowitych, zdolnych, mogących z pewnością podołać w wszelkich warunkach antysemickiej konkurencyi, ginąć musi marnie, podczas gdy żydzi sami wzbogacają i wypychają pieniędzmi kieszenie tych, którzy głoszą dewizę: „Nie kupujcie u żydów“.

„Zaznaczamy z góry, że nie mamy tu na myśli ogółu chrześcijańskiego, który za jednostki odpowiadać nie może, lecz wielu, bardzo wielu znanych nam z swych antysemickich przekonań; nie brak ich w żadnem mieście a i we wioskach, gdzie „Kółka rolnicze“ założone zostały z wprost antysemickiemi tendencyami dla wyparcia żydów, którzy na tych świetnych stanowiskach ledwo tyle zarabiają, aby z głodu nie zginąć.

„Współwyznawcy! Opamiętajcie się już raz! Wszak to już czas najwyższy! Nie narzucajcie się tam, gdzie was nie cierpią, gdzie was nie znoszą, gdzie kpią z was, gdy przekroczycie próg, a wyszydzają, po zapłacie! Wobec antysemickich geszefciarzy postępujcie jak się należy, wspierajcie robotą tych, którzy w pierwszym rzędzie na to zasługują, którzy roboty potrzebują! Kupujcie u żyda!“

Sądzimy, że artykuł powyższy pisma żydowskiego zasługiwał tu na powtórzenie. Nauczy się z niego niejeden Polak, jak to żydzi nawołują się do popierania swoich.

Ostatni spis ludności, dokonany w całem państwie niemieckiem w dniu 1-go grudnia, w naszych zwłaszcza prowincyach przeprowadzony został z jawnym naciskiem na ludność polską, aby zapisywała się jako niemiecka. Z tego powodu, że nie rozdawano wszędzie list do wpisywania się ludności samej, lecz oddawano hakatystom, powstał fakt, iż całe wsie polskie zapisywano na niemieckie. O fakcie ciekawym tego rodzaju pisze **„Gazeta Gdańska:“**

„Gowidlino jest to staropolska wioska, której mieszkańców chciał atoli nasz sołtys p. W. na Kaszubów podług życzczenia landrata i hakaty przerobić. Przy liczeniu ludności podkreślił bowiem wszystkich Polaków „kassubisch“. Nie wiem, co go do tego spowodowało, bo jakiej kto jest narodowości, to najlepiej książka lub gazeta wykazuje. Jakie kto pismo czyta, takiego też ma ducha! Nie widziałem jeszcze kaszubskiej książki ani gazety, więc i tacy ludzie chyba nie istnieją. Na kaszubskiej ziemi mieszkamy, to prawda, ale wszakże kto na Pomorzu osiadły, temu też nie piszą „pommersch“, tylko „deutsch“.

„Karty spisowe miały być podług rozporządzenia landrata każdej familii wręczone, czego atoli p. sołtys, chociaż sam Polak-katolik, nie uczynił, tylko oddał takowe naszym nauczycielom, którzy ludek nasz wpisywali jak im się widziało, nie pytając o zdanie wpisanych.

„Kiedy się ludzie dowiedzieli co tam porobiono, udali się natychmiast do p. W., aby ten wpis poprawił. Tenże poszedł do nauczyciela, lecz kart ludziom, czekającym na dworze (około 100 osób), nie wydano, tylko wysłano telegram do Kartuz. — Natychmiast przybył żandarm

z Sierakowic, wioski więcej jak o milę od Gowidlina oddalonej i lud zebrany uspokoił.

„Następnie, porozumiawszy się prawdopodobnie telegraficznie z p. landratem w Kartuzach, oświadczył ludziom, iż mieli się stawić drugiego dnia w południe, a wtedy sami będą mogli karty spisowe wypełnić i w takowych swą narodowość podkreślić; przytem miał być ustanowiony dozór z 12 członków gminy, co się też stało i karty spisowe zostały wypełnione, jak się należy, t. j. podkreśliliśmy w nich rubrykę „polnisch“.“

W innych gazetach natomiast znaleźliśmy wzmiankę, iż w pewnej wsi ludność, oburzona, że nauczyciel wpisywał ją za Niemców, poturbowała szanownego pedagoga. Tych wybryków byłoby się uniknęło przez prostą uczciwość w rozdawaniu formularzy.

Jak to było do przewidzenia, w okręgu babimojsko-międzyrzeckim ruch polski wyborczy nie poszedł na marne i obecnie praca nad uświadomieniem ludu polskiego rozpoczęła się tam na dobre.

Piszą mianowicie do **„Kurjera Poznańskiego“** o założeniu Koła rolniczego w Chobienicach:

„Zaproszony przez miejscowego dziedzica p. Macieja hr. Mielżyńskiego, przybył 2. bm. Patron Kółek rolniczych p. Jackowski i założył Kółko rolnicze, do którego przystąpiło 48 gospodarzy, a między nimi paru Niemców. Do zarządu wybrano pp. Macieja hr. Mielżyńskiego prezesem; Szulczewskiego, dzierżawcę Brójca wiceprezesem; ks. prob. Rosochowicza, skarbnikiem i Kłosia, sołtysa z Chobienic sekretarzem. — Przedłożone ustawy przeczytano i przyjęto, jako też zobowiązano się abonować 7 egzemplarzy „Poradnika“ z kasy Kółka dla użytku członków.

„Aby dać wyobrażenie członkom o czem mówić się będzie na miesięcznych posiedzeniach, poruszał pan Patron i wyjaśniał rozmaite szczegóły rolnicze. A gdy w toku dyskusyi dowiedział się, że ziemia jest wogóle zimna i sapowata, a gospodarze nie dają się skłonić do jej osuszenia, wtenczas zaczął im wykładać korzyści, jakie osuszanie przynosi, tak jędrnie i dobitnie, że gospodarze kiwaniem głowy zaczęli mu przytakiwać. Z czego korzystając pan Patron, jął kuć żelazo póki gorące i namawiał gospodarzy do zakładania Spółek drenarskich, do których, przekonani w oczy bijącymi przykładami, zebrać się przyrzekli.

„Cały tok zebrania poważny i pouczający, wlał w gospodarzy przekonanie, że to dzieło dla ich dobra założone zostało. Co uznając podziękowali panu Patronowi za to, że przybył, a panu prezesowi za podanie pierwszej myśli i za ujęcie steru w rękę.

„W naszem Babimojskiem jeszcze wiele pola tego rodzaju odłogiem leży. Są jeszcze do założenia Kółka w Babimoście, Kramsku, Przyprostyni i innych miejscowościach.“

Wiadomość powyższa jest istotnie bardzo pocieszającą i nie wątpimy, że w ten sposób w dwójnasób powetujemy stratę, którą ponieśliśmy przy wyborach w roku bieżącym.

O księdzu Krzesińskim, który obecnie podobno odprawia pokutne rekolekcye w Rzymie, autentyczny, a znamienny dokument podaje **„Dziennik Poznański!“** Jest to hymn napisany na cześć N. M. Panny:

„Hymn do N. Panny Maryi na 8 grudnia.

Najświętsza Panno, Niebios Królowo,
Dzisiaj Twą chwałą świat cały brzmi,
I Kościół przybrał szatę godową,
A lud Cię wierny pieśniami czci.

Pani! racz spojrzeć na lud znękany,
Co łaski żebrze u Twoich nóg.
W ciężkiej niewoli pęta skowany,
A nad nim stoi — przemożny wróg!

Dawniej Ci naród niósł świetne ofiary,
Kiedy po bojach z wrogami zwiedzionych,
Kładł u stóp Twoich zdobyte sztandary
Jako daninę zwycięztw odniesionych.

. . . .

Widzę.... tam dąży zwycięski Jan Trzeci,
Łza mu wdzięczności męskie rosi lice,
Na bohaterskiem czole męstwo świeci
A za nim niosą zdobycz — półksiężyce!

Na Jasnej Górze, w Twojej stolicy,
Korne, dziękczynne składa modlitwy,
Bo pierzchli św. wiary przeciwnicy,
Za Twą przyczyną wygrano bitwy!

Zewsząd rycerskie dążą orszaki,
„Boga Rodzico“ jak orkan grzmi,
Błyszczą pancerze, lśnią się szyszaki.
Królowo Polski, cześć i chwała Ci!

. . . .
. . . .

Dzisiaj... o Boże! łzą ćmi się oko,
Smutno, ach smutno w tej polskiej ziemi,
Bo jak daleko i jak szeroko,
Wróg wszystko przygniótł siłami swemi.

W Tobie nadzieja nasza jedyna!
Błagalne k' Tobie ślemy modlitwy:
Uproś nam łaskę u Twego Syna
Królowo Polskiej Korony i Litwy!

Sodalis Marianus.“

Do tego dodaje **„Dziennik Poznański“** co następuje:

„Autorem tego wiersza jest ks. Krzesiński z Kaszczoru, ten sam, który dziś urządza patryotyczne niemieckie festyny, zwołuje zebrania, które zagaja śpiewem: „Deutschland, Deutschland über alles“, i służy hakatystom za narzędzie do rozbicia zgody między Polakami i niemieckimi katolikami. Gdyby ks. Krzesiński nie chciał się przyznać do autorstwa powyższego patryotycznego polskiego wiersza, to służy mu „Dz. P.“ własnym jego autografem i może jeszcze podać nazwisko obywatela, któremu on go „na pamiątkę“ ułożył a który, oburzony na dzisiejsze postępowanie ks. Krz., autograf ten jego dał do dyspozycyi i do zrobienia z niego publicznego użytku, aby publiczność poznała się na człowieku, który przed laty pisał o ucisku Polaków i o Niemcach jako o wrogach, a dziś urządza symultanne festyny noworoczne i śpiewa: „Deutschland, Deutschland über alles“!

Miejmy nadzieję, że przecież jeszcze kiedyś zmiłuje się Patronka Korony Polskiej nad zbłąkanym synem swego narodu i łaską swą przyprowadzi go do narodowości jego ojców, tak, jak tylu innych *„cudem przywiodła na ojczyzny łono“*.

O tęsknocie ludu polskiego z obczyzny podaje rozczulającą wiadomość **„Gazeta Przemyska.“** Przytaczamy ją poniżej:

„Przed dwoma tygodniami jechałem koleją, aby zobaczyć to cudne Zakopane i odetchnąć tamtejszem świeżem powietrzem.

„Nie pamiętam, na której stacyi przed Nowym Targiem wsiadło do wagonu dwóch rosłych i barczystych mężczyzn porządnie ubranych. Ponieważ lubię gawędzić z podróżnymi, a wsiadających fizyognomie bardzo były przyjemne, zaczynam od zwykłej pogadanki, zkąd i dokąd panowie jedziecie.

„My, odpowiada jeden, jesteśmy górale z tych stron i wracamy z Ameryki i dlatego mamy takie amerykańskie ubranie. Byliśmy tam przez 2 lata, a teraz nas 300 powraca do domu.

„Jakto z Ameryki powracacie? pytam, a przecież tam jak tu głoszą, płoty kiełbasami grodzą, rzekłem żartobliwie.

„Aha, powiada, kiełbasami! oj tam strasznie ciężka praca, bo 14 godzin pod ziemią w kopalniach węgla — ni Bożego słonka, a człek wygląda czarny jak nieboskie stworzenie. Chciałbym, aby tam wszystkich próżniaków galicyjskich wysłać do Ameryki — tamby ich Amerykanie pracować nauczyli.

„Płacili dobrze, to prawda, bo i ja dosyć grosza posłałem do domu i jeszcze trochę mam przy sobie; ale teraz coraz mniej płacą, robota coraz cięższa i znaleść ją teraz trudno, a do tego człowiek zatęsknił za domem i za kościołkiem we wsi swojej.

„Tak rozmawiając dojechaliśmy do ostatniej stacyi przed Nowym Targiem. Góral przystąpił do okna i naraz krzyknął z radością do swego towarzysza: „Janie! Janie! patrzcie no, ta to już widać nasze śliczne Tatry“, — padł na kolana i ze łzami w oczach zawołał: „Mateńko moja Najświętsza, dzięki stokrotnie Ci dzięki, żeś mi uprosiła u Boga, że moje oczy ujrzały kochane ojczyste Tatry“.

„Potem wyjął z kieszeni książeczkę do nabożeństwa i obaj ze łzami odmawiali litanię do Matki Boskiej.

„I nam wszystkim łzy stanęły w oku, a w sercu myśl, aby wszyscy ojczystą ziemię tak kochali!!“

Życzeniem, aby wszystkim, czy to w kraju, czy na obczyźnie, nadchodzące święta były miłym wypoczynkiem — zamykamy dzisiajszy przegląd pracy życzeniem: „Wesołych świąt!“ *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Swakopmund, Zachodnia Afryka.

Szanowna Redakcyo!

Już oto druga Gwiazdka upływa mi tu na obczyźnie, wśród gorącej Afryki, odkąd zostałem Czytelnikiem „Pracy.“ Jak w zeszłym roku tak i teraz staram się zawczasu, aby choć tym krótkim listem wyrazić wszystkie życzenia i wszystkie uczucia, które z tak ogromnej odległości przenoszą się teraz do kraju myślą i pozdrawiam wszystkich sercu mojemu miłych.

Ale i wszystkich Czytelników „Pracy“ pozdrawiam serdecznie, zwłaszcza zaś też i tych, których listy tak często z uwagą czytuję i cieszę się w duchu, bo widzę, jak brat Górnoślązak rozmawia z bratem Galicyaninem, na to mu zaś odpowiadają swoje zdanie Poznańczycy lub zachodnio-pruscy Polacy: a wszyscy jak przystoi dzieciom jednej matki — w łączności i zgodzie.

Więc i ja też choć raz w roku chcę dać o sobie wiadomość, aby też moi najdrożsi przekonali się, że żyję. Pisałem już kilkanaście listów do moich kochanych rodziców, ale widocznie listy te ginęły, bo na jesień kapitan, który komenderuje robotą polnej kolei, przy której pracuję, zawołał mnie i powiedział, że ojciec poszukiwać mnie każe, jako żem zaginął i wieści o sobie nie daję.

Kolonia tutajsza, to prawdziwa puszcza, w jakiej chyba dzikie zwierzęta przedtem się gnieździły. Tutajsi farmerzy (na roli gospodarujący) bardzo licho się mają i muszą z Europy towary sprowadzać.

Jeszcze raz zatem z tej strasznej głuszy przesyłam wszystkim pozdrowienia, zarówno Czytelnikom jak i Czytelniczkom nadobnym.

Niechże im Gwiazdka w tym roku będzie miłą i przyjemną, wśród tych śnieżnych błoni, jakich tu oko ludzkie nigdy nie widziało.

Na przyszły rok, gdy powrócę, to napiszę obszerne opowiadanie o wszystkiem, co mi się przytrafiło.

Żegnam staropolskiem słowem: Niech będzie pochwalony J. Chrystus!

Wierny czytelnik

W. Nowak, Poznańczyk.

* * *

Z Górnego Śląska

Kochana Redakcyo!

Dawno już nie widziałem żadnego listu od nas tu z Górnego Śląska. O artykułach tu nie mówię, bo przecież w ostatnim numerze był bardzo pouczający artykuł, czyli nekrolog po znanym górnośląskim kapłanie. Ale listy nie dość często z naszych stron przychodzą, widocznie dlatego, że tutajsi Polacy nie umieją się tak dobrze wypisać, aby listy od razu do numeru iść mogły, tylko trzeba je przerabiać i przepisywać, a z tego powodu zwłoka (Zupełna racya. Red.)

My tu na Górnym Śląsku jesteśmy bardzo zadowoleni ze szczerze polskiej i energicznej postawy „Pracy“ nietylko wobec rządu pruskiego, ale i wobec centrowców. Nasz lud chętnie się garnie do pisma, które w sprawach narodowych nie zna, co to noszenie płaszcza na dwóch ramionach. Widzimy też z wielkiem zadowoleniem z przykładu p. Janiny Omańkowskiej, że nasi bracia w Księstwie nietylko w słowach, ale i w czynie postawią się Prusakowi sztorcem.

Posłałoby się cośkolwiek na fundusz tej zacnej bojowniczki za sprawę narodową, która tysiące niewiast polskich swym przykładem zachęci i rozgrzeje, ale Bóg widzi, że człowiek ledwo może swą rodzinę wyżywić. A tu teraz właśnie Gwiazdka, więc zamiast posłać Szanownej Redakcyi, kupiłem elementarze z aniołkiem moim dzieciakom i serdecznie westchnąłem do Boga z życzeniem, aby wśród naszego narodu dużo się znalazło kobiet, w których brutalne więzienie nie stłumi ducha polskiego.

I teraz właśnie, gdy na Gwiazdkę Polacy wiele ze sobą łączyć się będą, chcę przypomnieć publicznie to, co czuję. Dużo na Śląsku jest takich, jakim ja byłem dawniej, to jest obojętnych dla sprawy ojczystej. Dopiero znęcania się nad naszym ukochanym językiem, potwarze rzucane na naszą przeszłość, obelgi głoszone przeciw naszym bohaterom i walczenie z polską oświatą budzi nas do życia narodowego.

Ród nasz po matce jest zniemczały. Ja sam jako wyrostek więcej język niemiecki miłowałem, niż polski, a nawet kpiłem z tych, co gorzej po niemiecku mówili. Ale moja droga matka nie pozwoliła mnie zapisać na niemiecką, jeno na polską naukę religii. Przy odsługiwaniu wojskowości słyszałem same obelgi na Polaków i zapragnąłem poznać historyę tego narodu. I poznałem ją. Miły Boże, dopiero wtedy otworzyły mi się oczy na naszą krzywdę i umyśliłem ratować naszych rodaków od fałszów niemieckich, założyłem czytelnię, a wreszcie i związek polsko-katolicki. Ale dokuczania władz mnie zmogły; związek nasz musiał upaść, alem rąk nie opuścił, bom poznał, że pracę trzeba od fundamentów zacząć. Uczyłem więc dziatki polskie po polsku i rozdawałem im nagrody za pilne czytanie polskich książek, kładłem jedną cegiełkę po drugiej pod ten gmach, aż wreszcie mi się udało rozbudzić ducha. W zeszłym roku ani jedna gazeta polska na Górnym Śląsku nie zajęła się setną rocznicą urodzin naszego wieszcza Adama, a cała nasza wioska iluminowała okna ku uczczeniu tego poety. Mam tu parę listów, co pisały je dziatki z innych okolic po polsku — i widzę jasno w czem leży przyszłość naszego narodu.

Więc obywatele-Polacy, zużyjmy sposobności świąt na rozbudzenie tego ducha. Przesyłam wszystkim serdeczne świąteczne pozdrowienia.

Słyszałem ja o brzydkiem postąpieniu Towarzystwa polskiego w Królewskiej Hucie, które aby uzyskać pozwolenie na teatr amatorski, przeznaczyło część dochodu na flotę i wyprawę do Chin.

Hańba to dla nas, że plakaty w polskim i niemieckim języku były drukowane, naturalnie w żydowskiej drukarni, chociaż jest i polska. A po polsku było pełno błędów. Więc od moich życzeń, które przesyłam wszystkim szczerym Polakom, to Towarzystwo wyłączam.

„Pracę“ zaś zapewniam, że pomimo nieznacznego podniesienia ceny, my wszyscy czytelnicy Górnoślązacy jak jeden mąż pod jej sztandarem nadal iść będziemy ku lepszej przyszłości!

Z szacunkiem

Adam K.

* * *

Elberfeld.

Kochana Redakcyo!

Ponieważ już formularz z pytaniami odnoszącemi się do towarzystw sumiennie wypełniłem i odesłałem do Dra Rakowskiego, chcę teraz osobno opisać w „Pracy“ naszą kolonię polską w Elberfeldzie.

W tak rozwiniętym wysoko pod względem przemysłowym okręgu, jak okolica *Elberfeldu*, niema prawie miejscowości, w którejby nie znajdowała się jakaś znaczniejsza liczba Polaków, zatrudnionych bądź to w kopalnich, bądź w fabrykach tkackich, przędzalnich, farbiarniach i t. p.

Mianowicie fabryki asfaltu i betonu w samym Elberfeldzie zatrudniają znaczną liczbę robotników Polaków.

W Elberfeldzie istnieją obecnie trzy towarzystwa polskie, z których jedno już od lat dziesięciu. Towarzystwo św. Wawrzyńca, założone w r. 1899 pracuje solidarnie z tow. Polek św. Barbary i wspólnie odbywa z niem posiedzenia. Towarzystwo „Zgoda“, które do niedawna trzymało się na uboczu, obecnie już pozostaje w dobrych stosunkach z innemi towarzystwami.

Wychodźcy tutajsi pochodzą przeważnie z Poznańskiego. Jest pewien, nieznaczny zresztą — procent wychodźców ze Śląska, którzy, we krwi niejako mając praktykę hutniczą i górniczą, pożądanym są tu wszędzie materyałem. Z miast polskich pochodzi niewiele rzemieślników, lub drobnych rękodzielników, większość zaś jest urodzona na wsi. Znaczny ich procent dopiero na obczyźnie nauczył się stałego czytania pism polskich. Przychodzi tu kilka egzemplarzy „Pracy“, kilka zeszytów „Czytelni Polskiej“, kilka „Gońca Wielkopolskiego“, „Wielkopolanina“ i „Postępu“, parę „Dzien. Berlińskiego“ i pewna ilość „Wiarusa Pol.“

Warunki materyalne bytu są dość dobre, tak, że niejeden z wychodźców zbliża się już do uskutecznienia projektu powrotu do kraju. Kilku Polaków posiada własne przedsiębiorstwa, jak sklepiki z wiktuałami, warsztaty krawieckie i szewskie i t. d.

Policya bacznie śledzi działalność towarzystw polskich a przy założeniu towarzystwa św. Wawrzyńca zwracano uwagę założycielom, że nie powinni się „zanadto rozpościerać z swemi towarzystwami“, bo są nie u siebie w domu.

Opieka kościelna niedostateczna. Wychodźcy się skarżą, że zaledwie raz na dwa miesiące przyjeżdża do nich ksiądz z Kolonii, i to Niemiec, bardzo źle mówiący po polsku, wskutek czego przy spowiedzi z trudnością się z nim porozumiewają, a kazania jego żadnego nie robią wrażenia, bo poczęści zupełnie są niezrozumiałe.

Aby brak opieki duchownej choć w części sobie wynagrodzić, członkowie towarzystw odczytują z pism („Wiarusa“ pol.) ewangelie i kazania.

Pomiędzy Elberfeldem a Barmen, jest w najbliższem sąsiedzwie położona miejscowość Langerfeld z dość znaczną liczbą ludności polskiej, z pomiędzy której pewna liczba uczęszcza na posiedzenia towarzystw polskich w Elberfeldzie, gdyż komunikacya tramwajowa jest łatwa i tania.

Dodać jeszcze muszę, że towarzystwo „Zgoda“ składa się przeważnie z robotników, którzy przyjeżdżają tu w lutym i w marcu, a w listopadzie i październiku wracają do Księstwa do swych rodzin, którym posyłają grosz w ciągu lata.

Są między nimi tacy, którzy mają kawałek roli i zostawiają gospodarstwo na opiece żony, a za zarobione pieniądze potem dokupują sobie roli. Pochodzą oni głównie z okolic Jarocina, Pleszewa, Nowego Miasta, Środy i Miłosławia. Moż-

na o nich powiedzieć, że przywożą ze sobą do Księstwa oświatę, którą tu zdobywają własnem doświadczeniem i uczęszczaniem do towarzystw.

Przyzwyczaili się oni na obczyźnie do abonowania gazet, a przyjeżdżając w listopadzie do końca kwartału przekazują swe opłacone na poczcie gazety innym, osiadłym na miejscu i w ten sposób nowych zyskują czytelników.

Z pism przychodzą tu: „Praca“, „Czytelnia Polska“, „Wiarus Polski“, „Przewodnik katolicki“.

Zyczę wszystkim wesołych Świąt.

Wierny czytelnik
S. K.

* * *

Z pod Rawicza, 10. XII. 1900.

Wielce Szanowna Redakcya „Pracy“
w Poznaniu.

W przeszłym tygodniu, w czwartek po południu, pożegnał się ksiądz Kiliński ze swymi parafianami przenosząc się z Golejewka w p. Rawickim do Gostynia. W parafii tej pracował ks. Kiliński jako kapłan i pasterz zastępując proboszcza mniej więcej trzy kwartały. Przez ten czas poznaliśmy w ks. Kilińskim, jakkolwiek jeszcze młodego, ale bardzo gorliwego, przykładnego kapłana, pasterza i prawego Polaka-patryotę. Jego postępki i przykład w nabożeństwie podnosiły ducha i budowały nas, — ztąd tem więcej go też polubiliśmy i radzibyśmy byli, gdyby był mógł u nas na zawsze pozostać. Wieść o jego przeznaczeniu na inne miejsce zasmuciła nas bardzo, a przy pożegnaniu się z nami odczuliśmy żal szczery za nim.

Z wdzięczności i dziękując mu za jego pasterską pracę, podjętą dla nas, za trudy, dobre serce, a może i nieprzyjemności, których względem nas doznał, zasyłamy mu niniejszem nasze szczere życzenia, aby mu Pan Bóg tę pracę jego sowicie wynagrodził, a na nowem miejscu jak najobficiej błogosławić raczył.

Oby nas miał w dobrej pamięci! Może da Bóg powróci jeszcze do nas jako proboszcz.

Jeden z parafian.

Wigilia Sieroty.

Bracia, bądźmy gotowi
Przyjąć łaskę w pokorze!
Anioł pasterzom mówi:
Narodzenie dziś Boże!
Wielki czas się poczyna
I na ziemi i w niebie:
Wita ludzka rodzina
Zbawiciela wśród siebie.
Na chrześcijańskiej ziemi
Uczcić Boże Pacholę.
I rodzice, wśród dziatek,
I druhowie i krewni
Łamią święty opłatek,
A łza oczy im rzewni.
Wszędzie gwarna wieczerza,
Radość zlata na czoło,
Z okien światło uderza,
Promienieje wesoło.
Tylko w jednem okienku
Tęskny płomyk migota:
Głowę wsparłszy na ręku,
Płacze młoda sierota.
W obcej stronie wśród świata,
Co nie przyszedł z opieką,
Myślą ku tym ulata,
Co daleko... daleko!...
W grobie wszyscy jej mili,
W grobie dobra jej matka;
Nie masz, nie masz w tej chwili
Z kim podzielić opłatka!
Nie ma dla niej na ziemi
Z kim się pośmiać, weselić;
A tu z ludźmi cudzemi
Nie chce łzami się dzielić.
Oni pełni ochoty,
Każdy troskę osłodził;
Tylko dla niej — sieroty
Chrystus się nie narodził.
Matkę sercem i duszą
Woła z ciemni grobowej;
Święteż słowa być muszą
Tajemniczej rozmowy!
— „Ja tu pastwą złych losów,
„Jam tu pastwą męczarni;
„Przyjdź tu matko z niebiosów,
„Popieść, ulżyj, przygarnij!“
Och sieroto! w tej ciszy
Święciej niżli nam w tłumie:
Twoja matka cię słyszy,
Chrystus boleść rozumie.
On ma sierot na względzie,
Duchem zleci tu matka
I Stróż Anioł przybędzie
Dla dzielenia opłatka;
Przyjmij z okiem wesołem,
Daj cześć, jak im należy;
Z matką, z Stróżem Aniołem
Siądź do skromnej wieczerzy.

Władysław Syrokomla.



Cudowna noc.



Wigilia Bożego Narodzenia, nie wyłączając nawet Wielkiejnocy, ma u nas ze wszystkich świąt cechę najbardziej rodzinną, domową, serdeczną, odpowiadającą zwyczajom i charakterowi mieszkańców, które są towarzyskie, gościnne, otwarte; a jeżeli dziś reguła ta jest mniej powszechną, niż przed laty bywało, przypisać to raczej należy przeobrażeniu się stosunków towarzyskich, wpływowi obecnych manier, aniżeli zupełnemu przekształceniu się przyrodzonych skłonności i usposobień.

Trudno zaiste byłoby zrozumieć polskiego szlachcica, trzymającego się wiejskiej strzechy, żeby wrót jego pilnował odźwierny lub szwajcar, a w progi domu nie śmiał nikt wstąpić, kto nie otrzymał formalnej inwitacyi na obiad lub wieczerzę.

Wracając do Wigilii Bożego Narodzenia, jako do głównego tematu niniejszej gawędki, przyznam się, o ile nie radbym na Wigilię błądzić w śnieżnej zamieci, który to rodzaj podróżowania nie jest wcale przyjemny — o tyle markotnoby mi było, acz zziębłemu i głodnemu, zajechać w tym dniu przed ganek obywatela świata; nie dlatego, żebym miał być źle przyjęty, lub nie opatrzony w wykwintne nawet wygody. — O! bynajmniej! przecież ten rodzaj ludzi należy do wielkich czcicieli komfortu — ale czegobym nie znalazł, jak dwa a dwa są cztery — to powitania z opłatkiem w ręku, życzeń Dosiego roku, rybnej uczty, spożywanej na sianku, w licznem gronie rodziny i przyjaciół, piosnki śpiewanej przez pastuszków, która się nazywa kolędą, a nadewszystko tego uroczystego spokoju, wesela i niebiańskiej harmonii, jak gdyby chór aniołów przegrywał na multankach i wiolach Nowonarodzonemu Dzieciątku. Zresztą, kto wie, możeby się znalazło z tego jedno lub drugie, a nawet i jeszcze coś więcej, bo do wykwintnego tonu należy tolerować zwyczaje, nieledwie przesądy miejscowe, — ale co byłoby najtrudniej, to znaleźć tę atmosferę patryarchalną, tę poezyę swobody i wesela pod słomianą strzechą, która w „cudownej tej nocy“ napełnia powietrze pieśnią: „Chwała Panu na wysokościach, pokój ludziom dobrej woli!“

Wspomnienie „cudownej nocy“, to skarb poezyi, o którą każdy powinien się starać, aby ją nosić przez całe życie.

Nasi poeci, nie wiem dlaczego, ominęli ten motyw w swoich obrazach z życia domowego, szczególniej gdy wieś chcieli malować. Wigilia Bożego Narodzenia w kole serc zbliżonych do siebie, upojonych szczęściem widzenia się po długiem rozstaniu, może pogodzonych przy opłatku, wyciska się w pamięci serca i należy do najrzewniejszych wspomnień późnej starości.

Same te kolędy, kantyczki śpiewane pod oknami przez czeladź gospodarską na nutę staroświecką, półkościelną, tak dziwnie sympatyczną, wydają się by

dźwiękami spływającymi z nieba, i serce twoje wierzy, że w tej „cudownej nocy“ niebo łączy się z ziemią: Bóg się rodzi, aniołowie dają znać pasterzom, pasterze spieszą powitać Pana, a tak cudowna rzeczywistość w tej samej chwili odgrywa się wszędzie, gdziekolwiek ciepło wiary nie skrzepło.

Na wsi, jeśli gdzie niema kościoła, gromadzi się grono domowe, tak państwo jak czeladź, i do późnej nocy wyśpiewują kolędy. Jeżeli zaś jest kościół, wszystko spieszy na mszę pasterską, odbywaną o północy lub nad ranem. Mnóstwem świateł gorej ą świątynie pańskie, miliony ust śpiewają nad żłóbkiem Nowonarodzonego.

Pomysł tego nabożeństwa i jasełek wyszedł od jednego z największych Świętych.

Św. Bonawentura w żywocie św. Franciszka Serafickiego taką opowiada legendę:

„Święty Franciszek na trzy lata przed śmiercią przemyśliwał o tem, jakby odświeżyć pamięć narodzin Dzieciątka Jezus i jakby je odprawiać z największą uroczystością, celem wzbudzenia nabożnego ducha w powiecie Grecio. Żeby zaś nie wzięto tego za żart, co on chce przedsiębrać, prosił i otrzymał na to pozwolenie Ojca św. Poczem kazał zrobić jasełka, nanieść siana do groty i przyprowadzić tam wołu i osła. Mając to wszystko, zawołał braciszków, ludność się zgromadziła i las zabrzmiał pieśniami; a tak cudowna ta noc równie była świetną jak uroczystą, już tysiącem gorejących lamp, już rozlegającemi się pieśniami. Słowem, były to dźwięki pełne harmonii i jasność iście niebiańska. Sługa zaś boży Franciszek klęczał nabożnie tuż przy jasełkach, zalewając się obfitemi łzami i promieniejąc weselem. Msza odprawiała się w jasełkach, a dyakon Chrystusów Franciszek śpiewał św. Ewangelię. Nakoniec miał kazanie do ludu o narodzeniu się ubożuchnego Króla; a ilekroć chciał Go nazwać po imieniu, nazywał Go pieszczotliwie betleemskiem Dzieciątkiem.“

Z zakonem franciszkańskim, który prędko po swoim założycielu przyszedł do polskich krajów w wieku trzynastym, i do nas dostał się zwyczaj jasełek i pieśni na cześć betleemskiego Dzieciątka.

Jak wszędzie, tak i u nas, nowość ta przyjęła się od razu. Św. Franciszek miał niezrównany dar popularyzowania wszystkiego, a właściwie zamieniania najszczytniejszych pomysłów w codzienną praktykę życia prostego, ubogiego ludu.

Cudowny jego geniusz świętości przenikał tajemnicę serca ludzkiego, kiedy prosił papieża Honoryusza o pozwolenie wystawiania w jasełkach aktu narodzin Zbawiciela. Wiedział on, że maluczcy i ubodzy noszą w sercu jakby uczucie żalu do sprawiedliwości Bożej za nierówny rozdział darów tej ziemi; — zagoić tej rany nie było w jego mocy, aczkolwiek ubóstwo miłował nad wszystkie skarby i sam się zrobił najuboższym z ubogich. Nie pozostawało mu nic innego, tylko pokazać ludowi tryumf ubóstwa w tych jasełkach biednej stajenki, które obrał sobie za kolebkę Syn Boży, nowonarodzony. Komuż anieli oznajmiają najpierw tę wielką nowinę? czy mocarzom świata? O nie! — pastuszkom, ubogim rólnikom, którzy słysząc, że Zbawiciel „narodził się w ubóstwie“, dzielą się z Nim swoją chudobą i znoszą mu dary. Ubóstwo obdarzające Boga, uprzedzające w tej ofierze samych królów Wschodu, jakaż to dla serc pociecha! Prostaczek, nędzarz tak podniesiony w duchu, nie ma już czego zawiścić bogatym tego świata. Widowisko żłóbka, bydlątek, przygrywających pastuszków, wyprawione przez św. Franciszka, przyjęło się między ludem. Religijny ten dramat miał z początku tylko symboliczną prostą formę: żłóbek, sianko, parę bydlątek; kapłani intonowali hymn ambrozyański o Narodzeniu Pańskiem, a lud może śpiewał chórem jedną z tych prostych, a tak śpiewnych sekwencyi św. Bernarda.

W miarę jak rosło zamiłowanie jasełek, mnożyły się osoby na scenie, rodziły się piosenki w dyalekcie ludowym. Sam akt Bożego Narodzenia zakreślał sobie coraz szersze koło, jak kropla spadająca na czystą szybę jeziora: z jednej strony sięgał aż do grzechu pierworodnego, do wypędzenia Adama i Ewy z Raju; z drugiej aż do męki Zbawiciela i Zmartwychwstania. Tym sposobem utworzył się szeroki cykl misteryów, odgrywanych z udziałem pospólstwa podczas uroczystości Narodzin Zbawiciela i w Wielkim tygodniu na pamiątkę ukrzyżowania i śmierci Jego.

Zwyczaj ten, jak już wspomniałem, przeniósł się do nas, zapewne w trzynastym wieku, i przyjął się tak samo jak we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, Anglii i Niemczech. Świetną epoką misteryi był wiek XV-ty i część XVI-go.

Zbiór naszych kantyczek mieści jedną kolędę wcale niepospolitej wartości. Nie pisał jej lada organista, ale ktoś, co doskonale znał język i obyczaje ludu; a nie jest to utwór nowszych czasów, bo cała rozmowa pasterzy nic a nic nie przekracza poza granicę zwykłych kolęd. Sam wiersz; albowiem czuć tu i rymy i miary, nosi charakter pieśni gminnej ze wszystkiemi zaniedbaniami i assonancami; a obok tego panuje dosadność i trafność wyrażeń, jakiś nieszukany dowcip i humor, że zaprawdę osobliwość to w swoim rodzaju, a co większa, wskazówka niemylna, że dalszy rozwój w tym kierunku byłby doprowadził do komedyi prawdziwie ludowej.

Jest to nocna rozmowa ze snu zbudzonych pasterzy. Jeden z nich, Bartek, ockniony wielką jasnością na niebie, budzi Wojtka, ten wmawia w niego, że mu się coś przyśniło; ale on przecież nie śpi, i nietylko widzi światłość: „słyszę i śpiewanie, i prześlicne granie, hań za górecką.“ — „Nie pleć plotka!“ woła na niego Wojtek, lecz daje się nakoniec przekonać i podnosi głowę... „Gwałtu! Gwałtu!“ krzyczą obaj na śpiących towarzyszy: „przebóg wstańcie, a cem prędzej uciekajcie, bo idzie o zdrowie.“ Pasterze w strachu chcą już odbieżeć swych owiec...“ Wstrzymuje ich Walek i radzi wprzód wyrozumieć, co to są za dziwy, a o wytłómaczenie zapytać Bartosza, „bo to człowiek stary, wiem, żeś mądry, boś ty z młodu chodził z tablicą do fary.“

Bartek przypatrzywszy się dobrze tej światłości na niebie, wyprowadza rzecz od grzechu pierwszych rodziców wygnanych za to z raju, ale Bóg zlitował się i przyobiecał posłać na świat swego Syna, aby owym grzechem zarażone ludzkie plemię uzdrowił. Otóż właśnie zjawił się ten ojcom naszym obiecany Messyasz, „przyjął na się ciało, aby się dość stało za grzech Jadama.“ Uwierzyli słowom Bartosza pasterze, atoli nie mogą pojąć: „Cego ci janieli, co się tam zlecieli, po nas żądają?“

— Żądają po nas, odpowiada Bartosz, abyśmy biegli do szopy powitać Pana.

— Dobrze, ale kędyż go szukać? „My drogi nie wiemy, jesce gdzie zbłądziemy, do srogiej kaźni.“

— Och prostacy! prostacy! — woła Bartosz: przecież „janieli dość wyraźnie powiadają, że narodzonego trzeba szukać w Betleem Judzkiem.“ Idźmyż więc, a gospodarzów uprośmy, aby pilnowali trzody razem z kondysami.

— Iść nie sztuka, mówi Tomek: „ale z cem iść to sztuka! Co damy tak wielkiemu Panu, kiedy nic godnego dla niego nie mamy. Chyba jak charłacy, że mu z nasej pracy co darujemy.“

Na to Bartosz: „Nie taki to Pan jak nasi, ażeby miał cego potrzebować, bo on na ochotę, a nie na złote patrzy podarki.“ A zatem „cy mało, cy wiele, zabrawszy w kobiele“, zanieśmy.

Tu dopiero ulubiona następuje scena, powtarzająca się niemal we wszystkich kolędach: pasterze przesadzają się w podarkach, i każdy opowiada, co Panu zaniesie. Wszystko tu się znajduje od cielątka, koźlątka do drobiu; od gruszek i jabłuszek, do miseczki i łyżeczki; od mleka i miodu, do ptaszków w klatce.

aż do mąki na kluseczki i kaszki tatarczanej.

Stary Bartosz gra rolę mistrza ceremonii: „A słuchajcie, jak tam przyjdziemy, upadniecie zaraz na kolana. A potem wasemi cołami grzesnemi, bijcie przed Panem“.

— Ucynimy jak mówis, odpowiadają pasterze, ale ty bądź oratorem od nas wszystkich, bo my nie umiemy.

Idą tedy, a przyszedłszy pytają: — „A kędyż Pan? wszak nie widać domostwa żadnego?“

— Oto w tej stajence.

— Co zaś! tam Panience ma być spocznienie?

Wchodzą tedy pasterze do szopy i widzą nowonarodzonego. Bartosz każe im uklęknąć przed świętem Dzieciątkiem i mówić za sobą: „Dziękujemyć po tysiąckroć za tak wielkie dobrodziejstwa twoje, żeś ty sobie będąc Panem, Stwórcą, na wszechmocność swoją nic nie respektował, aleś się darował nam mizerakom. Porzuciłeś śliczne niebo tak pięknemi osnute gwiazdami. Opuściłeś i janiołów; a tu między temi bydlętami raczyłeś leżeć w żłobie, mogąc wszelką sobie zrobić wygodę.“ Robak biedny ma swój kącik, mają swoje łożyska zwierzęta: ryby w wodzie lochy, gniazdo w krzakach mają wygodne ptaszęta. „A ty Pan stworzenia, nie masz się gdzie przytulić, zewsząd tu wieje, biedno cię zagrzeje ten osieł z wołem.“

Po skończonej oracyi Bartosz każe składać dary: „więc na jakie stanie podarki nas Panie, takieć dajemy.“ Poczem odzywa się do parobków: „Pójdźcie i wy parobcy, a na wasej muzyce zagrajcie“. Tylko „nie ciśniejcie się jak bydło pod. sam cebuch ze swojemi basami“. „Ty zaś Sobku chudy, podle nich graj w dudy, a zgadzajcie się!“ Po skończonej muzyce, nad którą się tu nie rozszerzył autor, jak to zwykle bywa w kolędach poświęconych opisowi takiego koncertu, następuje pożegnanie. Bartosz, który ciągle głos zabiera, mówi: „Żegnamy was, nasi Święte Państwo; my polscy pastuchy z parobkami wierne wasych miłości poddaństwo. Wprzód jednak, niż stąd pójdziemy, prosimy was, a najbardziej Ciebie, utajony w małem ciałku Wielki Boże, aby nam na chlebie nigdy nie schodziło, wszystko się darzyło po nasej myśli. Lecz to fraska! o coś więcej prosimy Ciebie jedyny. Ucyńże to dla staruska tego i twej matuchny przycyny: Jak światu pomrzemy, niech z tobą żyjemy na wieki w Niebie.“

Na tem kończy się ta scena pastuszków, pełna życia i serdecznej prostoty. Porównywałem ją z innemi tego rodzaju dyalogowanemi kolędami włoskiemi, francuskiemi i niemieckiemi: atoli naszej pozostanie pierwszeństwo kolędzie. Włoskie mają wiele wdzięku i czułości, trafiają się w nich strofki pełne poezyi, francuskie mają pretensyę literacką; niemieckie są zbyt rubaszne, albo moralizujące.

Możnaby wnosić, że powyższa scena jest urywkiem większego dramatu na uroczystość Bożego Narodzenia, i że niegdyś była przedstawianą przez osoby. Sądząc ze stylu i zwrotów językowych, dałaby się odnieść do XIV-go wieku, i gdyby ta okoliczność mogła być dowodami stwierdzona, wypadałoby to na korzyść tej literatury, która nie była książkową.



W kilku jeszcze kawałkach wchodzących w skład kantyczek dałoby się dostrzedz ślady wyraźniejsze należenia do większej udramatyzowanej całości; są to bowiem odłamki ról pojedyńczych. I tak, jest jeden ustęp, bardzo piękny, cały mówiony przez Najśw. Pannę, która snadź zmęczona drogą przybyła z Józefem do Betleemu i szuka noclegu:

„Pomaluśku Józefie, pomaluśku proszę,
Widzisz, że ja nie mogę bieżeć tak prędko w drogę,
Wyrozumiej proszę, wszak widzisz co noszę...
A tak myślę sobie, i chcę mówić tobie
O gospodę spokojną, mnie w taki czas przystojną;
Bo teraz w miasteczku i w lada domeczku
Trudno o kącik będzie, gdy gości pełno wszędzie;
Wolą pijanice szynkarskie szklanice
Niźli mnie ubogą, strudzoną wielką drogą:
Wnijdźmy, rada moja, do tego pokoja,
Do tej szopy na pokój, Józefie opiekunie mój“ i t. d.

Prześliczna to sielanka, i ktoby pisać chciał poemat z dzieciństwa Chrystusa, nie mógłby się utrzymać w innym tylko w tym tonie, każdy inny byłby już manierą.

Znajduję jeszcze urywek jakby z roli Heroda, który woła w rozpaczy:

„Ach biada, biada mnie Herodowi,
Utrapionemu wielce królowi,
Żem ja takiemu, czasowi złemu, podpadł kłopotowi“.

— Nie wiem, czy to prawda, czy to bajka, mówi dalej, ale głoszą, że się urodziła jakaś dziecina, która ma żydom królować.

Przerażony tem każe zbroić się ludziom swoim:

„Na koń co prędzej wszyscy wsiadajcie,
A do Betleem miasta biegajcie;
Tam dla jednego dzieciątka małego wszystkie
[wyścinajcie“.

Jest jeszcze wiele innych kawałków, które wydają się prologiem otwierającym widowisko i przygotowującym do niego publiczność. Między innemi:

„Nuż my chrześcianie serdecznie się radujmy
Dnia dzisiejszego,
Że się raczył narodzić z czystości panieńskiej
Syn Boga żywego:
Aby szatańską moc,
I jego wszystką złość
Wiecznie zagubił,
A nas chrześcijany
Za swe własne syny
Poślubił“, i t. d.

Niektóre urywki w zbiorach kantyczek, sądząc z ich wyrażeń i stylu, pozwalają się odnieść co najmniej do XV wieku. Można też powiedzieć, że mają piętno wcale oryginalne, jak między innemi to narzekanie na grzech Ewy dającej się zwieść wężowi, i obraz smutnego jej stanu po wypędzeniu z Raju:

W rajuś miała, coś jeno chciała,
Rozkoszyś zażywała, boś wszystkiego dość miała:
Uczesałaś się, przemuskałaś się,
Chodziłaś jak łąteczka, a nigdy przez wianeczka...
Bogaś wzgardziła, raj opuściła,
Niebogo, nieboraczko! zapłaczesz sobie oczko.
Uszargana, uchlastana,
Nie kiedy będziesz chciała, robić będziesz musiała.
Zdejm manele, pójdź do kądziele;
Niebogo, nieboraczko! zapłaczesz sobie oczko.
Zdejm torboty, pójdź do roboty;
Niebogo, nieboraczko! zapłaczesz sobie oczko.
Weźmij motyczkę, także prześliczkę,
Zarabiaj sobie chleba, boć go Bóg nie da z nieba.
Zapłaczesz sobie obie, rozmyślając o sobie itd.

Podobnych ustępów jak ten, jest kilka, a wszystkie bez wyjątku piękniejsze, poetyczniejsze, niż cały zapas rymów Mikołaja Reja i innych z epoki przed Kochanowskim. U tych znać aż nadto sadzenie się na styl i formy literackie; w kantyczkach i język lepszy, i formy oryginalniejsze, bo mające zacięcie pieśni gminnej. Przyglądając się też początkom naszej literatury, nie możemy wyjść z podziwienia, jak się to dzieje, że myśl najprostsza chodzi jak opętana w niedołężnem słowie; czy autorowie dopiero uczą się tego języka, aby nim pisać

mogli? Czy ten język, którym wszyscy od wieków mówią, jest rzeczywiście tak niezdolnym do wyrażania myśli, że aż tak łamać się z nim potrzeba, aby coś wydobyć, i to jeszcze niezgrabnie, zawikłanie, ciężko?

Kantyczki zupełnie inny noszą charakter, nic a nic nie widać w nich klasycznego wpływu; taka swoboda i naturalność słowa, tyle wdzięku nie wiedzącego nic o sobie, tyle ciepła, a takie bogactwo form poetyckich, że czujesz w nich odrazu, jak muzyka podała rękę poezyi.

Wogóle wszystkich kantyczek o Bożem Narodzeniu jeden jest temat, ale w jak nieskończenie rozmaity sposób wyzyskany, i to nie tylko co do treści, lecz i formy. Wszystkie tu przewijają się i obrazy i tony — od najpoetyczniejszego do hulaszczo-rubasznego. Bogactwo tak wielkie, jakiegobyś może i nie znalazł w dawniejszej literackiej poezyi, a co o humor prawdziwie domorodny, jaki w niektórych kantyczkach panuje, to i nie pytaj, chyba u pana Paska, który był żołnierzem a nie literatem.

Ta strona szczero-ludowej muzy, odpowiadająca upodobaniom prostaczków, widocznie rozkoszuje się w niektórych tematach, poświęcając im często całą kolędę. I tak w każdej prawie kolędzie pastuszkowie śpieszą z darami do Nowonarodzonego, ale kilka jest takich, co wyliczają całą litanię przysmaczków; inne znowu opisują koncert, w którym figurują najrozmaitsze instrumenta; nie dość na tem, jest tu i koncert wszelkiego rodzaju ptaków. Zapewne dawna to kolęda, w której ktoś pierwszy wspomniał o ptaszkach.

Pastuszkowie w lesie śpiewali, o Jezusie się pytali:
Gdzie się Jezus narodził? drogę do nieba otworzył?

Posłużyło to zaraz na nowy motyw: ptaszkowie zaczynają grać niepoślednią rolę w kantyczkach, gdyż pomysł ten widzimy już szerzej rozwinięty w następującej bardzo ładnej kolędzie:

W dzień Bożego Narodzenia,
Radość wszystkiego Stworzenia,
Ptaszki się w szopę zlatują,
Jezusowi przyśpiewują.
Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem,
A gołąbek gruchnie basem,
Wróbel, ptaszek nieboraczek,
Uziąbłszy, śpiewał jak żaczek.
Dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy,
Bóg i człek razem prawdziwy, i t. d.

Jest jeszcze jedna kolęda, i to prawie najdłuższa ze wszystkich, gdzie przeciąga cały gabinet historyi naturalnej:

Więcej tam było wszystkiego,
Niżeli w arce Noego.

Trafna charakterystyka połączona tu z wesołym humorem, prawdziwy jarmark ptasi, gwar nieprzeliczonych rozmaitych głosów, oddających hołd Nowonarodzonemu Dziecięciu:

Zając siedząc z królikami,
Bębnił swojemi nóżkami,
Wróble zaś gwarzyły, gdy sobie podpiły
Z dzierlatką, z czeczotką,
Papuga też gaworzyła,
Coś z cudzoziemska mówiła.
Żółna z indykiem była tam syndykiem.
Bażant był szafarzem,
Paw ogon śliczny rozłożył,
Lecz sprośnym wrzaskiem wykroczył,
Sęp siedział jako sęp,
A jeleniowe zaś czoło,
Na rogach mając świece w koło,
Tam wszystkim świeciło, aby widać było,
Cieszyć się, cieszyć się, i t. d.

Tej swobody nie łatwo spotkać u starych naszych poetów, którzy ciągle są jakby spętani, myśląc, do kogo mają być podobni, żeby nie być samymi sobą. W tych kantyczkach robiąc się pastuszkami i czerpiąc w żywiole gminnym, mają świeżość fantazyi, a niekiedy prawdziwe uniesienie liryczne, jak w tej ślicznej kolędzie:

Hej nam hej! Wszystek świat dzisiaj wesoły,
Wszystek świat dzisiaj wesoły,
Ujrzawszy z nieba anioły.
Hej nam hej! Dzieciątko się narodziło,
Dzieciątko się narodziło,
Niebo ludziom otworzyło.
Hej nam hej! Panna idzie ozdobiona,
Panna idzie ozdobiona,
Słońcem, gwiazdy ustrojona, i t. d.

W niejednej kolędzie spotykają się wiersze i obrazy, którymiby nie pogardził i najpierwszy poeta; szczególniej pieszczoty z Bożem Dzieciątkiem mają urok macierzyńskiej miłości, coś tak chwytającego za serce, jak wspomnienie lat dziecinnych:

A tam osieł z wołem, pod nieba okołem,
Parą weń swą puchają, Dzieciąteczko rozgrzewają.
Wejdę w szopę: mali anieli strugali
Złotą wierzbkę i lipkę Dzieciątku na kolebkę.
Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje,
Trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy z duszy.

A tenże drugi obrazek ubóstwa: — Jego łóżeczko? Żłóbek kamienny. — Obicie? Ze strzech wisząca pajęczyna:

W jakiej odzieży Pan z nieba leży?
Za purpurę, perły drogie,
Ustroiła go w ubogie
Pieluszki nędza, pieluszki nędza.
Co za bankiety, co miał za wety?
Piersi niewinnej mateńki,
Nad kanar słodsze maleńki,
Kosztował Panic i t. d.

Jest i inny podobny obrazek a jeden i drugi zapewne z XVII wieku lub jeszcze dawniejsze:

Kto się nie dziwi ze łzami,
Widząc Pana z bydlętami?
Pająki snują obicia,
Ze słomy dywan drogi,
Z chust podłych zimne okrycia,
Zamiast puchów — barłogi.

Każdy przedmiot otaczający Dzieciątko nowonarodzone staje się przedmiotem wyłącznej pieszczoty i ma sobie poświęconą jedną piosnkę, jak np. sianko:

O siano, siano kwiecie drogi,
Że się na tobie kładzie Bóg ubogi!
O siano, siano, o nieprzepłacone!
Godne byś było w raju pokoszone!

Wesołość, świat iście dziecięcy tryska z kolędy, która i dziś jeszcze bywa śpiewana na skoczną nutę:

Przyskoczę ja do tej szopy z cicha,
Aleć dziecię małe się uśmiecha,
Ten śmiech oczu tych niechaj będzie dla wszystkich.
I poczną przed Dzieciątkiem skakać,
By nie chciało na tem zimnie płakać.
Więc iść pocieszyć, przed Niem czołem nizko bić, i t. d.

Nie można się nie rozrzewnić tą śliczną kołysanką włożoną w usta Najśw. Panny:
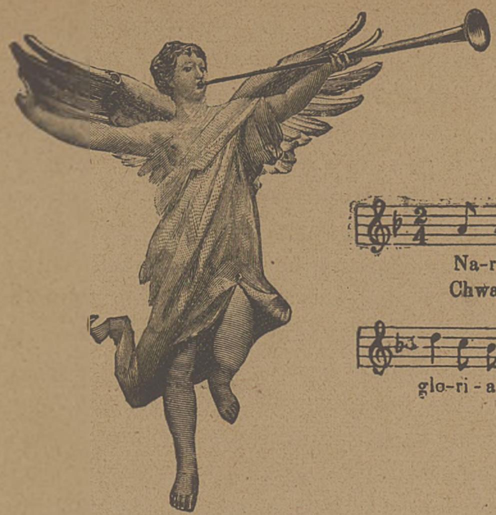
Witaj Synu najśliczniejszy,
Witaj Jezu najwdzięczniejszy,
Li, li, li, li, memu Dzieciątku małemu.

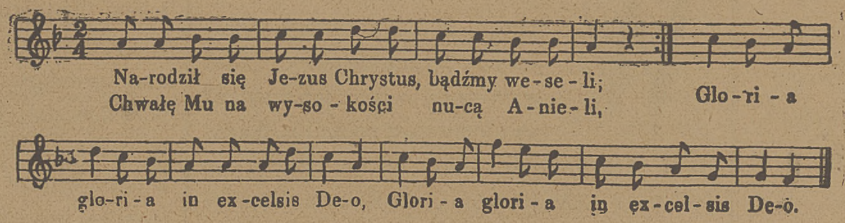
Nie trzeba zapominać, że te kolędy składali po większej części organiści, bakałarze szkółek parafialnych, a zatem nie należy się po nich spodziewać ani wytworności stylu, ani wyszukanych rymów, ale za to jest takie życie, tyle uczucia, że bez wahania się kantyczkom sprawiedliwość każe dać miejsce pomiędzy lirycznemi poezyami w naszej literaturze. Nie zrobią one wstydu nawet poetom złotego wieku. Imiona tych autorów tak są nieznane jak imiona tych malarzy średniowiecznych, u których pobożne natchnienie, a raczej wzniesienie duszy do Boga, zastępowało samą umiejętność akademicką. Możnaby też powiedzieć, że sztuka była wtenczas od Boga, a w Bogu była sztuka. Kto złożył pieśń, namalował obrazek, wykuł posążek, nie śmiał głosić swego nazwiska, bo raz, że utwór jego dany był na ofiarę, a potem, że artysta nie uznawał go za swoją własność. Najpewniej kantyczki nasze, których liczba dość znaczna, były składane przez duchownych, lub przez ludzi należących do kościoła. Było to niejako rodzajem współzawodnictwa i popisu, żeby na nadchodzące święta Bożego Narodzenia, w tej lub innej parafii, dała się słyszeć nowa kolęda z akompaniamentem chóru śpiewaków lub organów. Nutę brano najczęściej ze światowej muzyki zasłyszanej na pańskim dworze, gdzie mistrz kapeli starał się o nowe, modne tańce.

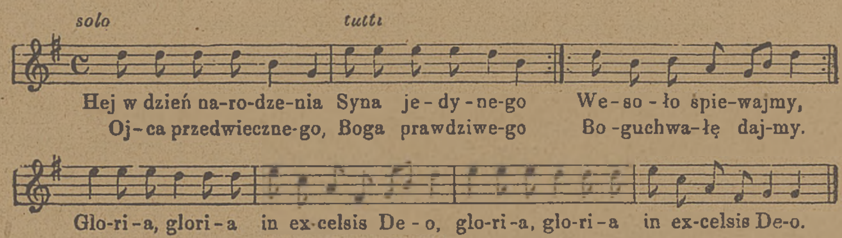
Ztąd taka nadzwyczajna ilość form wierszowych, jak może w żadnym języku, spotyka się w naszych kantyczkach.

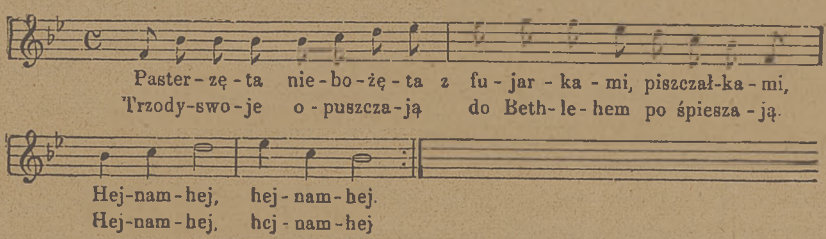
Zasługiwałyby te drogie zabytki na staranne zebranie i uklasyfikowanie podług swojej treści; jedne bowiem noszą charakter zwięzłej prostoty i te są oryginalne, inne niechybnie będą naśladowaniem tamtych, dają się łatwo odróżnić lżejszym, niekiedy nawet rubasznym tonem i nadużyciem maniery.

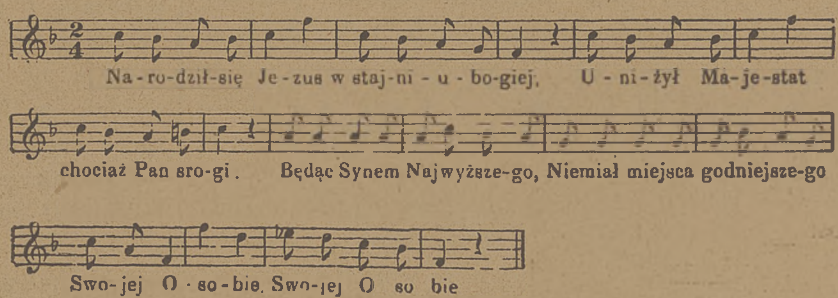
Zygm. Gloger.

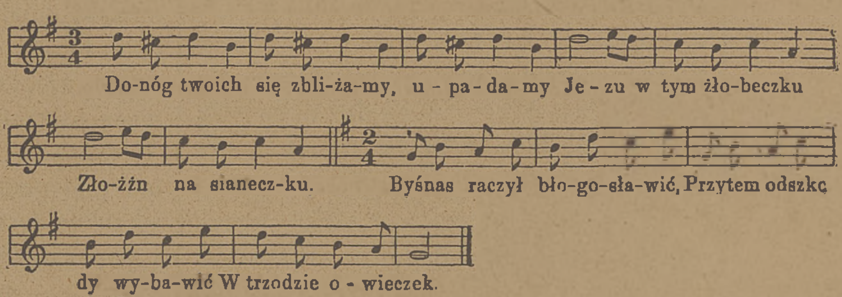



Na-rodził się Je-zus Chrystus, bądźmy we-se-li;
Chwałę Mu na wy-so-kości nu-cą A-nie-li,
Glo-ri-a
glo-ri-a in ex-celsis De-o, Glori-a glori-a in ex-cel-sis De-o.


solo
tutti
Hej w dzień na-ro-dze-nia Syna je-dy-ne-go We-so-ło śpie-wajmy,
Oj-ca przedwieczne-go, Boga prawdziwe-go Bo-guchwa-łę daj-my.
Glo-ri-a, glori-a in ex-celsis De-o, glo-ri-a, glo-ri-a in ex-celsis De-o.


Paster-zę-ta nie-bo-żę-ta z fu-jar-ka-mi, piszczał-ka-mi,
Trzody-swo-je o-puszcza-ją do Beth-le-hem po śpiesza-ją.
Hej-nam-hej, hej-nam-hej.
Hej-nam-hej, hej-nam-hej


Na-ro-dził-się Je-zus w staj-ni-u-bo-giej, U-ni-żył Ma-je-stat
chociaż Pan sro-gi. Będąc Synem Najwyższe-go, Niemiał miejsca godniejsze-go
Swo-jej O-so-bie. Swo-jej O so bie


Do-nóg twoich się zbli-ża-my, u-pa-da-my Je-zu w tym żło-beczku
Zło-żźn na sianecz-ku. Byśnas raczył bło-go-sła-wić, Przytem odszkc
dy wy-ba-wić W trzodzie o-wieczek.



Ostatnia Wigilia.

Obrazek nie z fantazyi.

Dziś Wigilia? A my biedni,
Nic nie mamy gotowego...
Szczęśliwsi od nas niejedni
Siądą do stołu sutego.

Lecz mniejsza o niedostatek,
Gdyby zdrowie mi służyło,
Miałbym chleb dla moich dziatek,
Dobrzeby im w chacie było.

Lecz, niestety! żyć nie będę...
Żono, proś do mnie kapłana;
Do lepszej uczty zasiędę
Tam u Najwyższego Pana.

Płacze żona... trudna rada,
Poszła do plebana swego;
Wkrótce twarz chorego blada
Powita sługę Bożego.

Zewsząd w oczy kłuje bieda,
Dzieciny w błocie na ziemi,
Dziś im matka nic jeść nie da,
Łzami się podzieli z niemi.

Stanął kapłan nawpół zgięty,
W nizkiej izbie, jakby w norze,
Gdzież tu spocznie ten Pan Święty —
Toć tu gorzej, niż w oborze!

Już biedak duszę zasilił,
Łza mu żalu z oczu ciecze,
Jak dziecię małe zakwilił
I z wysiłkiem tak wyrzecze:

„Matko, żono, dwoje dziatek
Zostawiam tu sierotami...
Podajcie jeszcze opłatek,
Niechże się podzielę z wami.“

I opłatek biały chwycił!
Zbliża się rodzina cała,
Lecz nic nikomu nie życzył,
Bo śmierć nagle go zabrała...

Skonał tyfusem podcięty.
Obraz ten znaleźć bez trudu:
Nie fantazya, z życia wzięty.
Cóż na to „Hygiena ludu“?

Ks. pleban W. S.

Gwiazdka mistrzów poezyi polskiej.

Juliusz Słowacki.

W listach do matki twórcy „Balladyny“ znajdujemy kilka wzmianek o tem, jak spędzał na obczyźnie rocznicę Narodzin Chrystusa. Tło listów posępne, tęsknotą przepełnione, doskonale charakteryzuje duszę poety, zawsze rozżaloną a zapalną, zawsze napojoną goryczą a kochającą.

W r. 1833, mieszkając w Genewie, smutne miał święta. „Wszyscy domowi wyjechali na wieczór, zostałem sam w domu, ale nie sam zupełnie, bo właśnie w tym dniu otrzymałem do poprawy pierwszy arkusz druku nowego poematu, który wydaję na świat. Wyjście na świat poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką (mowa tu o „Kordyanie“). Pracuję teraz ciągle, czytam bardzo wiele, rzuciłem się cały w filozofię niemiecką; pomimo wielu czczych marzeń idealizmu, karmi ona moją imaginacyę.“

„List ten — pisze innym razem — przyjdzie zapewne na Wigilię: udrzej kawałek papieru, na którym usta moje kładę, tu, w dole, na prawym rożku, i niech ten papier będzie opłatkiem. Prawdziwie, żem go ucałował i posyłam.“

W r. 1838 pisze z Florencyi: „Wigilię jadłem z ziomkami, w domu Hermana, na sianie. Sama gospodyni domu dała nam wszystkie dawne potrawy, w których wspomnienia były pieprzem i rodzynkami. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślałem o Wigilii u prefekta Farków, którą niegdyś jadłem, będąc dzieckiem; potem przyszła mi na myśl wielka babuni piekarnia, czeladź śpiewająca kolendy, potem wertep krzemieniecki, któremu może winien jestem mój szekspirowski zapał. Nareszcie, dawnym zwyczajem, wyciągnąłem źdźbło siana z pod obrusa, i wyciągnąłem je bez kwiatka. Pani domu, widząc moje zasmucenie, ofiarowała się, że mi drugie wyciągnie. Jakoż dobyła mi źdźbło krótkie bardzo, nie z kwiatkiem, ale z kłosem na końcu. Więc dni moje będą krótkie, ale kłos zostanie po nich. Ja tak tłómaczę sam i cieszę się.“

W liście z Paryża w r. 1849 wypowiada dziwnie melancholiczne zwierzenia: „W dniu Wigilii czułem wasz smutek, czułem was w domku waszym. Widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło i siedzicie samotnie, oczekując, czyli się nie nawrócą ku wam serca ludzi. O nie, nie nawrócą się te duchy, ale z urąganiem będą lać w brzuchy słodkie mleko maków, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nie otchnięte, tak, aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie przynęcisz ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiej naszej naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. Miłość zawsze jest jednej natury. Jest to czar, który nas pociąga, albo jakieś przekleństwo wewnętrzne, które nas odpycha. Przełam w sobie to, a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać cię będą. I owszem, jeszcze mocniej nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką, wzgardą naszą, każdemu fałszowi przynależną, uderzyć, a gdy to czyniąc, nie czujemy w sobie żadnej wyższości osobistej, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie i źle gadają; bo od ojcowstwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśrod ludzi, którzy was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność.“

Prześlicznym jest list do Wojciecha Stattlera z nagłówkiem: „Paryż, r. Ponthieu.“ W dniu Bożego Narodzenia.“ „Przez pięć lat pracowałem, jak może żaden człowiek nie pracował. Skutki tej pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe są to ziarnka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedy światłością Swoją dopomódz, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła, która już się w swoich glinianych foremkach pokazała i nazywa się poezyą moją. Wierz w to, iż odosobnienie moje od ludzi nie jest z woli mojej, ale ztąd pochodzi, że jeszcze zasiew mój nie godzien pola większego. Czasem zaś osobność moja jest wstydem takim samym, jakim był wstyd Ewy i Adama, po wyjściu z rajskiej krainy. Straciwszy moc wskrzesitelną, boję się, wśród ludzi, śmierci przydawać mocom śmiertelnym i umarzającym. Boję się, abym nie rozweselał graniem na piszczałkach tych, którzy się przez wiek swój cały nigdy muzyki anielskiej nie dosłuchali; oni mają w to wiarę, iż się odemknąć mogą nagle niebiosa, a na uszy nasze spaść może harmonia sfer nie do wytrzymania. Wszakże w tem odosobnieniu, częściej, niż mniemasz, byłem z tobą, bo dalekie od siebie duchy wspólnie razem pracować i wspomagać się mogą, świętem przyzywaniem i wysoką modlitwą tchnięte... Bom w przyjaznej miłości stały, sądząc, ją nawet wieczną. Innej nawet nie znam, jak ta, która w nieśmiertelny związek dwa duchy wiąże i dopiero w słońcach złotych celów ostatecznych dopiętych rozwiązać się musi.“

RELACYA ODYŃCA.

W r. 1829, Mickiewicz bawił w Rzymie. Wigilia tego roku, a zarazem imieniny Adama, przypadły w czwartek. Odbywszy wizyty ceremonialne, obadwaj poeci udali się na *Via Mercede* do państwa Ankwiczów. Solenizant, przy łamaniu opłatka, odbierał podwójne życzenia i sam podobne składał pannie Ewie. — Pani zapewne nie wątpisz — odezwał się do solenizantki Odyniec — że nikt na kuli ziemskiej nie życzy pani szczerzej ode mnie spełnienia życzeń w tej chwili. — Zarumieniła się, jak róża, i spojrzała na mówiącego tak wymownie, że wypowiedzieć tego nie można. — Wtedy odgadł tajemnicę serduszka panny Ewy. „Była w tem spojrzeniu i nieśmiała konfidencya siostry, i jak gdyby błagalne odezwanie się do brata: *dopomóż*. Miły Boże! gdybym tak mógł, jak pragnę. Cóż poczęę? Widzę szczęście tak blizkie i na pozór tak łatwe... Ale świat, ale ludzie! A naprzód ten sam pierwszy, o którego rzecz idzie.... Nigdy szczęścia własnego nie pragnąłem tyle, jakbym pragnął, aby tych *ludzi dwoje* szczęśliwymi być mogło.“

Wigilia przeszła bardzo wesoło. Uczta była całkiem po polsku. Stół był nakryty na sianie, nad nim, w środku, kręciła się gwiazda z opłatków. Od dwóch zup: grzybowej i migdałowej, aż do ślizyków, grochu i pszenicy z sytą, żadnej z potraw obrzędowych nie brakło. Adam jadł wszystko i wszystko chwalił. Osób było 12. Oprócz gospodarswa i poetów, ucztowali: p. Moszyńska, Strzelecki, z wychowańcem, Stattler, ks. Zajączkowski i ks. Parczewski. Po toaście na cześć solenizanta, wzniesionym przez gospodarza, i toaście na cześć solenizantki, wzniesionym przez gości, ks. Zajączkowski wzniósł trzeci, spólny: „Adama i Ewy“, który spełniono ochoczo. Mickiewicz w doskonałym był humorze, czuł się, jak sam mówił, odmłodzonym. Po uczcie pani Ankwiczowa grała długo „Anioł pasterzom mówił“, następnie udano się na Pasterkę, do kościoła Santa Maria Maggiore, który ma w tym czasie pierwszeństwo przed innemi, z powodu znajdującej się w nim relikwii: żłóbka z betleemskiej stajenki. Są to cztery szczątki spróchniałego już drewna, ujęte w kryształową skrzynkę i złożone w zagłębieniu kaplicy bocznej, gdzie znajdują się grobowce Sykstusa V i Piusa V. Relikwię, po Mszy Pasterskiej, obnoszą w uroczystej procesyi, wśród szpaleru Szwajcarów papiezkich, i stawiają na ołtarzu innej bocznej kaplicy, kratą od kościoła oddzielonej, gdzie przez czas świąt Bożego Narodzenia pozostają. To właśnie ściąga tłumy pobożnych i ciekawych, i musiało czynić tę świątynię polem popisu modnych strojów i wdzięków, kiedy aż edyktem władza duchowna musiała nakazać pod karą 100 skudów, przyzwoite zachowanie się.

Po nabożeństwie, o świcie, odezwały się działa z zamku św. Anioła, zwiastując dzień wesoły a także rozpoczęcie nabożeństwa w kościele św. Piotra. Tego roku Pius VIII był słaby, w celebrze zastąpił go jeden z kardynałów. Ołtarz wielki w katedrze tak został urządzony, że celebrant jest, podczas odprawiania Mszy św., zwrócony twarzą do ludu. Sciany tej części świątyni okryto czerwonym adamaszkiem i połączono rodzajem przepierzenia, w środku którego, naprzeciwko ołtarza, wznosił się tron Papieża. Wzdłuż obu ścian bocznych, na ławach prostych, drewnianych, siedzieli Książęta Kościoła: kardynałowie-kapłani, kardynałowie-dyakoni, patryarchowie, arcybiskupi, biskupi, nadworni papiescy prałaci. „Majestatyczniejszego zgromadzenia niema na kuli ziemskiej; sam nawet senat światowładnej Romy nie mógłby się z niem mierzyć. Roma ruszała tylko ciałem tego świata; Kościół ożywia i kieruje go duchem. I trzeba, że właśnie w chwili Podniesienia, słońce, snać nagle wyszedłszy z za chmury, pełnym blaskiem padło na ołtarz i odbiło się w podniesionym kielichu. Odblask ten powtórzył się w chrześcijańskich sercach.“

Mimo świetności obrzędu, niezajęte miejsce Papieża psuło harmonię całości. Adam przyrównał to wrażenie do protestantyzmu: bez spójni środkowej wewnątrz i bez szczytu na zewnątrz.

Nazajutrz odwiedzili poeci, z państwem Ankwiczostwem, kościół San Stefano Rotundo na Monte Celio. Jest to pierwszy typ kościołów okrągłych, z epoki Konstantyńskiej. Po nabożeństwie, towarzystwo udało się do Aracoeli, na Kapitolu, gdzie przedstawiają słynne jasełka. Składają się one z grupy następującej: Dzieciątka w żłobie i w pieluszkach, naszywanych perłami i klejnotami, Najświętszej Panny i 3 pasterzy. Figurę Dzieciątka przywieziono ongi z Jerozolimy; ma być wyrzeźbiona z drzewa ogrójcowego i przez św. Łukasza pomalowana. Inne figury są z wosku. Najświętsza Panna w bogatej materyalnej szacie, z pierścionkami na palcach i dużemi brylantowemi kolczykami w uszach. P. Ankwicz nadmienił, że Dzieciątko uważane jest za cudowne i wożone bywa do chorych. — To na bałwochwalstwo zakrawa — dodał, lecz Adam wziął ten zwyczaj w obronę, jako środek wzbudzenia wiary, która sama cuda sprawuje.

W drugie święto, byli poeci na obiedzie u pani Klustin, gdzie poznali słynnego uczonego, Karola Bonsteten. Staruszek ten 84-letni był „najrzeświejszym i najmilszym z ludzi, a w ruchach młodzieniec.“ Zapytany, jakim sposobem zachowuje ustawiczną młodość, odparł: — Kochajcie się, kochajcie się i umiejcie kochać. — Na czem ta umiejętność zależy? — spytał Odyniec. — *Aimez toujours ce qui est beau et immortel, et vous vainerez le corps et le temps.* Serce nasze, jak całe ciało, jest z gliny; ale dopóki w niem miłość kwitnie, jak kwiat w wazonie, kwiat ten zakrywa szczerby, które czas w niem czyni. Miłość dopiero na starość sięga szczytu doskonałości: jest wynikiem duszy i całkiem wolną od egoizmu. *C'est l'avant goût des amours des anges.*

Wiele pięknych myśli wypowiedział wtedy sędziwy ten mędrzec. *B. L.*

Do młodej matki.

Nad główką syna pochylona jasną,
Szepcząc modlitwę wieczorną,
Ty mu wraz z mlekiem duszę wlewasz własną,
Czystą, wierzącą, pokorną!

Wśród białych rąbków swywoli dziecina,
Jak wczoraj rozkwitły pączek,
Ciekawa główka do ciebie się wspina
I dwoje bezsilnych rączek.

A ty mu śpiewasz: śpij aniołku złoty,
Oczy zamknij szafirowe;
I wynajdujesz nowe dłań pieszczoty
I kołysanki wciąż nowe.

Dziś mu się marzą ptaki i bławatki,
Potem je wicher rozwieje.
O! pieść twe dziecię, póki obok matki
Bez trosk, w kolebce się śmieje.

Upłyną lata i szybko przebiegnie
Dzieciństwo, przyjdzie wiek męzki,
Chmura nie jedna na czole mu legnie,
A w duszy zahuczą klęski.

Pieść go i módl się — niech wiara i miłość
Poją jego duszę młodą —
One dróg błędnych rozjaśnią zawiłość,
Przez życie one powiodą.

Gdy serce młode żal w chwili ucisku
Ognistem opasze kołem,
Macierzyńskiego wspomnienie uścisku
Otuchy będzie aniołem.

I chociaż los go ciężko będzie chłostać,
W świat duchów wróci bez skazy,
Bo czuwa nad nim matki biała postać
I ciche modłów wyrazy. *T. Z.*



Przy kominku.

Hej panienko moja, owo
W sercu spokój, w głowie statek,
Przeżyło się razem zdrowo
Trzy dziesiątki z górą latek;
Byłem tobie wiernym służką,
Wszakże prawda, Basiu cóż....?
Dołóż drzewa moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już....
Miły Boże! gdy człek wspomni:
Moja Basia jak królewna,
A i ludzie z tego drewna
Co ja, wcale nie ułomni.
Jam ci słówka szeptał w uszko,
Aż na licach płonął róż....
Dołóż drzewa moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.
Miał pan Maciej dziewięć córek,
Na jednego huk zaiste;
Ale co tam — Jezu Chryste!
Pokochałem się jak Turek.
Obrączkowych pod poduszką
Było tysiąc, niezły kusz...
Dołóż drzewa moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.

Życia troski, życia znoje,
To co cieszy, to co boli,
Chwile doli i niedoli
Łacniej idą, gdy we dwoje;
A tyś była wierną drużką
Wśród pogody chwil i burz....
Dołóż drzewa moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.
Oj Basieczko, panno miła,
Myśmy dzielną byli parą!
Tyś mi życie ukwieciła
Uczciwością, cześcią, wiarą;
Zacnie biło twe serduszko,
Szukać takich wszerz i wzdłuż....
Dołóż drzewa moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.
Ot i przeszło, jakby chwila....
Toć to nasze, a nie czyje,
Szczęścia w życiu tylko tyla,
Co w spokoju człek przeżyje.
A no, teraz czas już w łóżko,
Boć i twardsze łoże tuż...,
Spać pójdziemy moja duszko,
Niech w kominku gaśnie już....

Wacław Szymanowski.

W sprawie Wydawnictwa ludowego im. Mickiewicza

wyrządził *krzywdę* „Dziennik Poznański“ p. J. Fr. Tomaszewskiemu z Poznania jako wydawcy, poddając powyższe wydawnictwo zbyt ostrej, bezwzględnej krytyce. Dobór treści popularnej dla dziatwy i młodzieży, staranny układ pojedyńczych tomików i forma zewnętrzna zalecają właśnie gromadzoną pożyteczną biblioteczkę pana Tomaszewskiego, drobne zaś usterki, zdarzające się w najświetniejszych dziełach nawet, nie mogą stanowić o wartości i nie uprawniają nikogo do szkodzenia nakładcy. Ocenami w tym rodzaju, co zamieszczona w „Dzienniku“, nie zasila się pracy nad oświatą, ale ją się psuje. My z naszej strony polecamy gorąco „Wydawnictwo ludowe im. Mickiewicza“, a p. Tomaszewskiemu jako wydawcy życzymy z całego serca wszelkiego powodzenia, na które tak Wydawnictwo jak i wydawca pod każdym względem zasługują. *„Wydawnictwo ludowe im. Mickiewicza“ powinno się znajdować w każdym domu szczerze polskim.*

Szanownym Czytelnikom zwracamy uprzejmie uwagę na to, że numer niniejszy jest już ostatnim w bieżącym kwartale. Czas więc największy do odnowienia przedpłaty. Kto zatem pragnie numer noworoczny mieć na czas, ten niech się pospieszy z odnowieniem abonamentu, który przyjmuje nietylko poczta, ale też każdy listowy.

Numer noworoczny

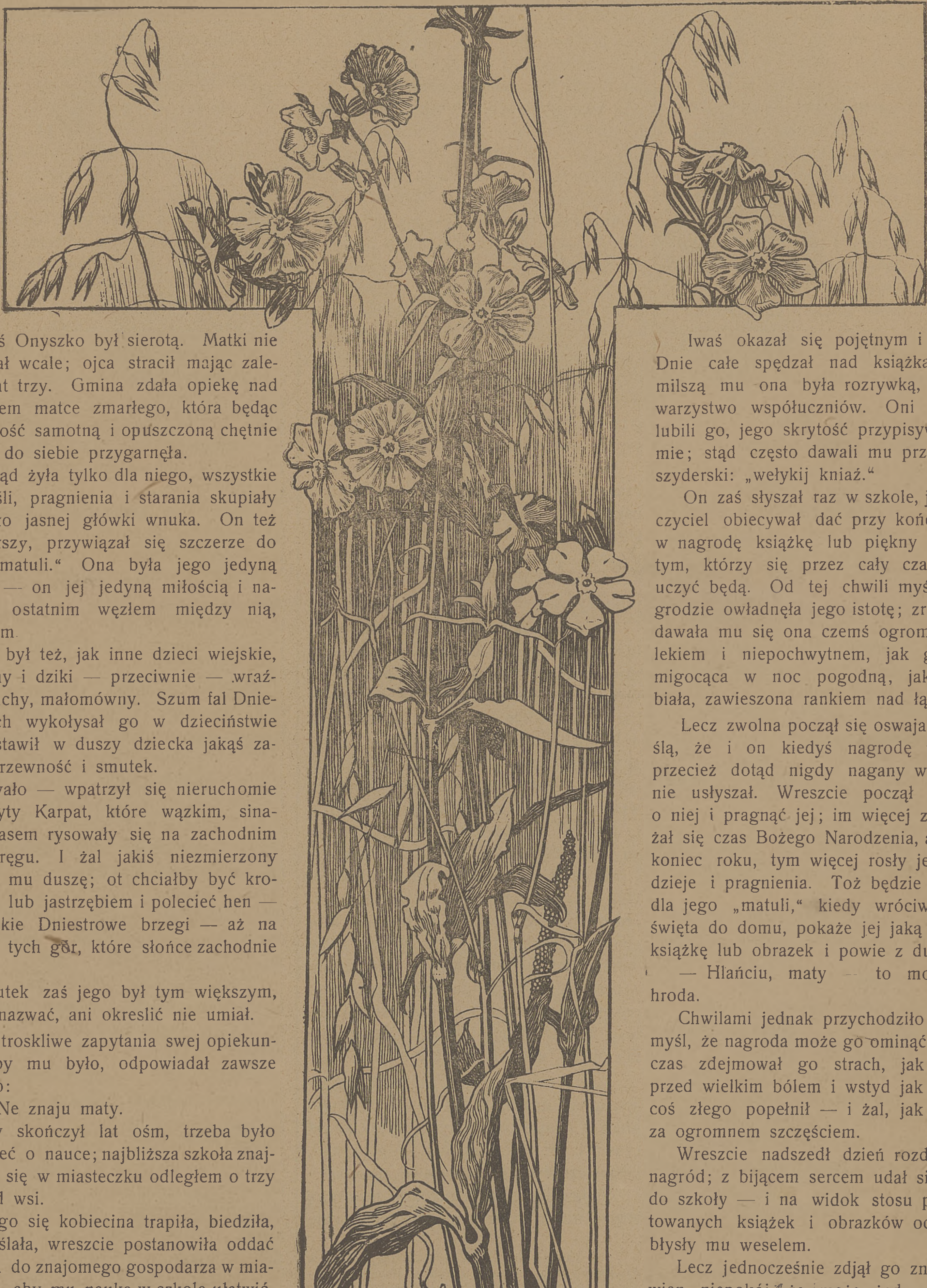
wyjdzie tym razem nadzwyczaj ozdobny,

Ponieważ w czasie świąt nadarza się najlepsza okazya do rozpowszechniania „Pracy,“ przeto prosimy usilnie o zażądanie od nas numerów okazowych, a przyślemy natychmiast każdą ilość egzemplarzy.

Prosimy o podawanie sobie „Pracy“ z rąk do rąk, gdyż im więcej czytelników, tem obszerniejszą, tem ozdobniejszą będzie „Praca.“

PRZEZ ŚNIEGI.

Obrazek z życia ludu rusińskiego.



Iwaś Onyszko był sierotą. Matki nie pamiętał wcale; ojca stracił mając zaledwie lat trzy. Gmina zdała opiekę nad dzieckiem matce zmarłego, która będąc na starość samotną i opuszczoną chętnie sierotę do siebie przygarnęła.

Odtąd żyła tylko dla niego, wszystkie jej myśli, pragnienia i starania skupiały się koło jasnej główki wnuka. On też podrósłszy, przywiązał się szczerze do swej „matuli.“ Ona była jego jedyną opieką — on jej jedyną miłością i nadzieją, ostatnim węzłem między nią, a życiem.

Nie był też, jak inne dzieci wiejskie, krnąbrny i dziki — przeciwnie — wrażliwy, cichy, małomówny. Szum fal Dniestrowych wykołysał go w dzieciństwie i pozostawił w duszy dziecka jakąś zadumę, rzewność i smutek.

Bywało — wpatrzył się nieruchomie w szczyty Karpat, które wązkim, sinawym pasem rysowały się na zachodnim widnokręgu. I żal jakiś niezmierzony zalewał mu duszę; ot chciałby być krogulcem lub jastrzębiem i polecieć hen — za dalekie Dniestrowe brzegi — aż na szczyty tych gór, które słońce zachodnie różowi.

Smutek zaś jego był tym większym, że go nazwać, ani określić nie umiał.

Na troskliwe zapytania swej opiekunki, coby mu było, odpowiadał zawsze jednako:

— Ne znaju maty.

Gdy skończył lat ośm, trzeba było pomyśleć o nauce; najbliższa szkoła znajdowała się w miasteczku odległem o trzy mile od wsi.

Długo się kobiecina trapiła, biedziła, i namyślała, wreszcie postanowiła oddać chłopca do znajomego gospodarza w miasteczku, aby mu naukę w szkole ułatwić.

Iwaś okazał się pojętnym i pilnym. Dnie całe spędzał nad książką, gdyż milszą mu ona była rozrywką, niż towarzystwo współuczniów. Oni też nie lubili go, jego skrytość przypisywali dumie; stąd często dawali mu przydomek szyderski: „wełykij kniaź.“

On zaś słyszał raz w szkole, jak nauczyciel obiecywał dać przy końcu roku w nagrodę książkę lub piękny obrazek tym, którzy się przez cały czas pilnie uczyć będą. Od tej chwili myśl o nagrodzie owładnęła jego istotę; zrazu wydawała mu się ona czemś ogromnie dalekiem i niepochwytnem, jak gwiazda migocąca w noc pogodną, jak mgła biała, zawieszona rankiem nad łąką.

Lecz zwolna począł się oswajać z myślą, że i on kiedyś nagrodę uzyska; przecież dotąd nigdy nagany w szkole nie usłyszał. Wreszcie począł marzyć o niej i pragnąć jej; im więcej zaś zbliżał się czas Bożego Narodzenia, a z nim koniec roku, tym więcej rosły jego nadzieje i pragnienia. Toż będzie radość dla jego „matuli,“ kiedy wróciwszy na święta do domu, pokaże jej jaką piękną książkę lub obrazek i powie z dumą:

— Hlańciu, maty — to moja nahroda.

Chwilami jednak przychodziło mu na myśl, że nagroda może go ominąć i wówczas zdejmował go strach, jak gdyby przed wielkim bólem i wstyd jak gdyby coś złego popełnił — i żal, jak gdyby za ogromnem szczęściem.

Wreszcie nadszedł dzień rozdawania nagród; z bijącem sercem udał się Iwaś do szkoły — i na widok stosu przygotowanych książek i obrazków oczy zabłysły mu weselem.

Lecz jednocześnie zdjął go znów pewien niepokój, że może żadna z tych

nagród nie jest przeznaczoną dla niego, że opuści szkołę z próżnemi rękoma z bólem i wstydem w sercu.

Pragnął, aby się ta chwila oczekiwania i niepewności jaknajprędzej skończyła — to znów chciał ją odłożyć na dzień jeden, na jedno bodaj mgnienie oka.

Tymczasem nauczyciel przystąpił do stołu i wolnym głosem począł wyliczać nazwiska uczniów nagrodzonych.

Między dziećmi uczyniło się cicho i uroczyście, jak gdyby w cerkwi — wszystkie oczy rozpalone nadzieją, lub niepokojem zwróciły się w jedną stronę. Nagle Iwaś usłyszał swoje nazwisko; na chwilę pociemniało mu w oczach i kolana ugięły się pod nim; napół już tylko przytomny wyciągnął rękę po nagrodę. Był to kolorowany obrazek Matki Boskiej Zarwanickiej,*) na którego odwrotnej stronie był napis: „Nahroda pilnosty dla Iwana Onyszko.“ Radość jego nie miała po prostu granic; chciałby krzyczeć głośno, śmiać się, klaskać w ręce, chciałby wszystkim mówić o swej radości, wszystkim pokazywać piękny wizerunek.

Nie zdawał sobie sprawy, co go najwięcej cieszyło: czy myśl o radości „matuli“, która rozpłacze się ze szczęścia nad swym dzielnym chłopcem, — czy może była to rozkosz zadowolonej dumy, którą tak często drażniły szyderskie docinki współuczniów: „wełykij kniaź“ — „pan błahorodnij“. Teraz nie odważą się już zaczepić go, bo i on pokazał, że nie jest gorszym od nich. Niebawem dzieci się rozeszły i szkoła opustoszała.

Iwaś wyszedł ostatni i wolnym krokiem udał się w stronę domu.

Opiekun jego miał go dopiero nazajutrz odesłać do matuli; — a jemu tak pilnie było widzieć ją, poszczycić się przed nią nagrodą i usłyszeć w zamian z ust jej pochwałę.

Ta troska mąciła chwilowo jego radość, nie mógł bowiem pojąć, żeby o tak ważnej rzeczy matula wiedzieć mogła dopiero jutro.

Wkrótce jednak przyszła mu w pomoc myśl, która wydawała mu się bardzo dobrą.

Oto nie będzie czekał jutra, — ale w tajemnicy przed wszystkimi — dziś — zaraz pieszo wróci do domu. Od wsi dzieliły go wprawdzie trzy mile, ale latem przecież nieraz sam na podobną wycieczkę się puszczał, aby święto lub niedzielę przepędzić z matulą. Drogę pamiętał dobrze i nie obawiał się zabłądzić; wiedział, iż z początku należało się trzymać brzega Dniestru, mając rzekę po prawej ręce; — następnie zaś zwrócić się na lewo.

*) We wsi Zarwanica na Rusi galicyjskiej, między Buczaczem a Trembowlą znajduje się obraz Matki Bozkiej słynnej licznemi cudami.

Zresztą, choć wsie okoliczne były bardzo słabo zaludnione mógł przecież raz po raz napotkać ludzi i o drogę ich rozpytać.

Nie namyślając się więc dłużej, zawrócił na gościniec bity, wiodący z miasteczka i wkrótce znalazł się na otwartem polu.

Dzień był mroźny, lecz pogodny.

Słońce stało wysoko na niebie i topiło swoje jasne promienie w błękitnych falach Dniestru. Pęd rzeki stawał się miejscami wartki i bystry, woda w tych miejscach była jakby pomarszczona, połyskiwała w słońcu, jak rybia łuska i mieniła się tysiącem barw nakształt pereł lub opalu. W innych znów miejscach prąd zwalniał tak, że się zdawało, że woda stoi, zamiast biedz naprzód. Toń wówczas stawała się gładką, jak szyba lodu, spokojną, niezgłębioną, a pełną cichych tajemnic i grozy. Pod nogami skrzypiał zmarzły śnieg, na którym słońce grało tysiącem iskier i zapalało dyamentowe blaski. Na okół, jak wzrokiem zasięgnąć, rozciągała się wielka płaszczyzna, jak gdyby uśpiona pod tym śniegowym płaszczem. Przerywały ją tylko gdzieniegdzie skały, zrzadka wznoszące się po obu stronach Dniestru.

W powietrzu panowała cisza zupełna, czasem tylko wrony zakrakały lub jastrząb, zakwiliwszy żałośnie, rozwijał swoje lotne skrzydła i niknął w błękicie.

Iwaś posuwał się naprzód szybko i ochoczo, bo zadowolony był z swej podróży, z siebie i z całego świata.

Po pewnym czasie począł mu tylko nieco głód dokuczać, gdyż w pospiechu zapomniał zaopatrzyć się w posiłek na drogę. Pocieszał się jednak myślą, że za kilka godzin czekała go wieczerza w domu, u matuli, przy jasnym ogniu, w ciepłej izbie. Wyobrażał sobie, jak się matula uraduje niespodziewanym powrotem, jak on, stanąwszy na progu izby ją powita: „Sława Jezisa Chrysta prynesu wam maty moja nahrod za pilnost.“ I pokaże jej z dumą podpis na obrazku. Ona zaś przygarnie go do siebie, pocznie go pieścić i mówić ze łzami: „Mój synku myłeńkij, tyś moje świtło, moje weséle, detyno umyłowána.“ Będą razem wieczerzać przy jasnym ogniu, przyczem może słodka Kutya*) znajdzie się na stole. Wszak święto Bożego Narodzenia tak blizko, a on Kutyę tak lubił.

Zajęty temi myślami i tą nadzieją nie spostrzegł nawet, że od chwili kiedy wyszedł z miasteczka, upłynął spory kawał czasu, i że idąc tak bez odpoczynku, dobrą część drogi pozostawił za sobą.

Słońce tymczasem przeszło na drugą stronę nieba i tarcza jego zarysowała się wyraźniej, lecz mniej ogrzewało i mniej było jasne.

*) Między ludem na Rusi istnieje bardzo dawny zwyczaj jedzenia na czas Bożego Narodzenia „Kutyi“ tj. potrawy złożonej z miodu, pszenicy i maku.

Od strony zaś północy powstał wiatr mroźny i ostry, który świszcząc przeciągle wśród skał nadbrzeżnych wydmuchiwał śnieg nagromadzony w szczelinach, pędził go przed sobą, lub okręcał nim w szalonym wirze.

Przedostał się nawet przez ciepły kubrak Iwasia i przeszedł na chwilę mrozem przez jego członki. Chłopcu też droga poczynała wydawać się długą i trudniejszą do przebycia, niż zrazu myślał.

Latem łatwiej było posuwać się naprzód w lekkiem odzieniu, po gładkiej, suchej drodze, lub po łące zarosłej trawą.

Teraz zaś miał na nogach twarde i ciężkie buty, nieco za obszerne na jego drobne stopy, a prócz tego trzeba było brnąć przez śnieg dość wysoko nasypany, w którym zapadał się nieomal po kolana. Szedł w ten sposób już kilka godzin bez odpoczynku, — więc też czuł w kościach zmęczenie wielkie.

Nogi zwłaszcza rozgrzewane nieustannym ruchem, a ziębione mrozem i śniegiem, wydawały mu się sztywne i zdrętwiałe i jakby drewniane. Poruszał niemi machinalnie, lecz równocześnie czuł, że jeśli im nie da wypoczynku, niedługo go nosić będą.

Siądzie więc bodaj na chwileczkę na jakim odłamie skalnym i da wypoczynek skostniałym nogom.

Wkrótce jednakże myśl tę odrzucił, jeśli będzie odpoczywał, to może go tutaj noc zaskoczyć, noc zimowa, pełna wichrów i śniegu, na tej białej, bezludnej płaszczyźnie.

Zląkł się tej myśli i postanowił pójść dalej, zwolniwszy tylko nieco kroku. Niebawem spostrzegł też z przestrachem, że słońce połową tarczy zaszło już za góry. Chłopiec zwrócił oczy na zachód i ujrzał całą tę stronę nieba rozrumienioną i rozzłoconą. Szczyty gór wydawały się jak gdyby zajęte pożarem — na białym śniegu pokładły się długie, błękitne smugi. Słońce zasunęło się jeszcze niżej i błysnąwszy raz jeszcze przez czarną koronkę smereków, rosnących na szczytach, zaszło całe za góry.

Wówczas mrok objął ziemię, wody Dniestru pociemniały, a skały nadbrzeżne poczęły przybierać jakieś dziwaczne kształty.

Chłopcu jęło się robić nieswojo i nieomal strasznо w tym zapadającym zmroku. Zdawało mu się chwilami, że z rozpadlin i szczelin skalnych suną długie jakieś cienie — to znów skały same przybierały w rozgorączkowanej wyobraźni dziecka kształty ludzkie, patrzyły na niego niemą i groźną twarzą, lub szczerzyły zęby w straszliwym uśmiechu.

Przerażenie jeżyło włosy na głowie chłopca i pomimo mrozu oblewało ciało

jego gorącym potem. Pragnął, aby się ta droga nad brzegiem rzeki skończyła jak najprędzej, chciał był zasłonić oczy rękami i pędzić tak na oślep przed siebie, byle tylko uciec od tych skał groźnych i tych straszliwych widziadeł.

Wkrótce jednak odetchnął, albowiem po jednej stronie ujrzał tuż blizko niewielką polankę, a za nią ciemny las. Wiedział, że w tem miejscu należało zmienić kierunek drogi — więc począł spiesznie biedz ku polance.

Poruszania własnych nóg nie czuł wcale, tak, iż mu się zdawało, że stoi w miejscu i że to raczej las posuwa się ku niemu. Pomyślał sobie, że w lesie mniej będzie wystawionym na ostre podmuchy wiatru i ta myśl dodała mu nieco otuchy i odwagi. Miał na sobie wizerunek Matki Bozkiej Zarwanickiej, która tylu już nieszczęśliwych pocieszyła, tylu chorych uzdrowiła — a więc i jego ustrzeże od wypadku i doprowadzi szczęśliwie do domu.

Tymczasem mała polanka skończyła się i tuż przed oczami chłopca stanęły go i zmarzłego Iwasia, zasypywały mu oczy, tamowały mu oddech. Nastała też ciemność tak wielka, że przestał w niej rozeznawać poblizkie drzewa.

Szedł więc zwolna z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, drugą zaś przyciskając silnie do siebie wizerunek Matki Boskiej, Wiatr mniej mu dokuczał wprawdzie zimnem, lecz jął natomiast wyprawiać szalone harce w nagich wierzchołkach drzew.

Zdawało się chłopcu, że w jego przeciągłych szumach i poświstach słyszy jakieś głosy ludzkie — nawoływania, śmiechy i jęki.

Co chwila więc stawał, wlewał w ciemność przerażone oczy, łowiąc uchem te słowrogie dźwięki i odgłosy.

I lęk straszny chwycił go tych ciemności, tego szumu i poświstu.

cił rękami za najbliższe drzewo i przytulił się do niego z wszystkich sił, jak gdyby u pnia bezdusznego szukał obrony przed zwierzem.

Sam nie wiedział, jak długo tam pozostawał, napół przytomny z trwogi, napół martwy z zima i zmęczenia.

Gdy mu świadomość nieco wróciła, podniósł ostrożnie głowę i jął nasłuchiwać. Na okół było cicho, odgłos się się nie powtórzył, lecz jemu na dalszą drogę zabrakło sił i odwagi. Szedł przecież bez wytchnienia, niemal od rana w zimnie, głodzie i lęku. Czuł się też śmiertelnie znużonym i wyczerpanym,



ogromnie małym i opuszczonym i bezsilnym wobec tej nocy i tych leśnych, pełnych grozy tajemnic. W tej chwili nie miał dla siebie innej obrony jak łzy; zasłoniwszy też twarz rękami, począł płakać żałośnie, — i jak, zwykle, kiedy był strapiony, myślą poleciał do swej matuli.

pierwsze drzewa. Zdawało mu się, że naginały one przyjaźnie ku niemu swoje nagie, czarne gałęzie, jak gdyby go chciały powitać, że potrząsały z lekkim szmerem swoje bezlistne korony, jak gdyby pytały ze zdziwieniem, co robi tutaj to biedne maleństwo, samo jedno wśród śniegu, wichru i zmroku?

Chłopiec jednak pogrążywszy się głębiej w las, utracił znów nieco otuchy i odwagi, albowiem na polance panował już zmrok, tu zaś objęła go niemal ciemność, tak, że z trudnością rozeznawał otaczające go drzewa. Grunt też tutaj był nierówny, pełen wybojów i zagłębień, w których coraz ciężej zapadały jego nogi. Przytem na twarzy czuł jakieś mokre zimno. Czy to śnieg sypał przez bezlistne gałęzie, czy też wiatr strząsał z nich grubą okiść, dość, że co chwila mokre płaty śniegu padały na twarz biednego, głodnego, wylęknione-

Przeżegnał się też kilka razy i począł się modlić. I wśród tego zabłąkania i osamotnienia, wśród tej nocy i trwogi modlitwa dziecka brzmiała niby czysty odgłos cerkiewnego dzwonu, co wśród gromów i błysków burzy niesie w strwożone serca ludzkie otuchę i pokój. „Zdrowaś Maryo, łaskiś pełna, Pan z Tobą!“... Lecz nagle zamarły mu na ustach dalsze słowa modlitwy. Tuż za nim rozległo się bowiem ciężkie sapanie, pomruk i chrzęst śniegu, jak gdyby pod czyjemiś stopami. Wilków w lesie nie było, żyły w nim natomiast całemi gromadami dziki i odyńce, które podrażnione stawały się niebezpieczne nawet dla ludzi.

Iwasiowi duch zamarł w piersiach, serce bić pr[illegible], a krew lodem stanęła w żyłach. A nuż w tej chwili jaki rozwścieczony odyniec błyśnie białemi kłami w ciemności, rzuci się na niego i rozszarpie w mgnieniu oka? Iwaś chwy-

Oto ona teraz siedzi w jasnej i ciepłej izbie, duma o swym synaczku i liczy godziny i chwile, które ją dzielą od jego powrotu; nie wie, że on tutaj sam jeden w wielkim czarnym lesie stoi przytulony do drzewa i płacze, coby powiedziała ujrzawszy go w tej chwili? Co powie, kiedy jutro odnajdą go tutaj ludzie i zaniosą go jej skostniałego, zimnego, martwego? Przerażenie wstrząsnęło nim na tę myśl; postanowił więc, że raczej padnie, lecz nie zostanie tutaj pod drzewem. Zebrał wszystkie siły i jął znów posuwać się naprzód z rękami wyciągniętemi przed siebie. Stracił wprawdzie dawno poczucie kierunku i nie wiedział w którem miejscu się znajduje: wiedział natomiast, że las nie jest długim i że idąc tak cią-

gle przed siebie musi w końcu wyjść na obszerną polankę, zamykającą las z przeciwnej strony. Szedł więc ciągle uważnie i wytrwale, idąc zaś rozmawiał z swą matulą: „Ja nie chcę zostawać tu w lesie i umierać, bo jak byś ty mateńko, żyć mogła sama bezemnie? Ktoby ci drwa na ogień przyniósł, czytał modlitwy wieczorem? Kogo byś uczyła piosnek śpiewanych na hahiłkach?*) Więc już nie płaczę i nie lękam się niczego, tylko idę do ciebie, maty.“

Tak on szedł, rozmawiając i dodając sobie otuchy; upłynęło drugie pół godziny, a on szedł wciąż, nie zwalniając nawet kroku!

Nagle zamajaczyła tuż pod jego nogami biała, jednostajna płaszczyzna, to las się przerzedzał i zaczynała się rozległa polanka.

Widniej tu było, niż w lesie od śniegu leżącego i księżyca, który przeświecał nieco przez grubą zasłonę chmur, śnieg tylko padał cicho i gęsto i kładł się grubą warstwą na odzienie chłopca.

Iwaś podniósł z wdzięcznością oczy ku niebu. Wiedział przecież, że za tą polanką wiedzie droga przez pole, za nią gościniec bity, potem już wieś i dom jego.

„Pójdę przez godzinę, — dwie“, mówił sobie — „i będę u matuli“. Lecz w tej chwili uczuł, że ani godziny, ani pół, ani kilku kroków nawet nie ujdzie.

Teraz, kiedy był bezpieczniejszym, kiedy strach nie podniecał już jego sił, — ogarnęło go nagle zmęczenie i wyczerpanie tak wielkie, że graniczące niemal z omdleniem. Wogóle było mu jakoś dziwno, na otwartej polanie zimniej być musiało, niż w lesie; — jemu zaś grało w żyłach jakieś rozkoszne ciepło, a jednocześnie ogarnęła go senność mocna i słodka.

„Siądę“, myślał sobie, „choć na mgnienie oka, tu ot na śniegu, odpocznę i sił nabiorę — potem pójdę dalej.“

Nogi też same, mimo jego woli ugięły się pod nim; klęknął więc, zwolna zagłębiając się w śniegu. Czas jakiś tak pozostał, wkrótce jednak począł się chwiać, jak człowiek, który traci przytomność, — a w końcu osunął się cicho w miękki śnieg i przymknął oczy. Było mu dobrze, jak nigdy; śnieg padający z góry chłodził twarz, rozpaloną mimo mrozu, — członki grzęsły w puszystej pościeli; było mu zaciszno, bezpieczno i spokojnie. Tylko na myśl o matuli nie porwał się już na nogi, jak wówczas w lesie pod drzewem. Przepraszał ją natomiast i usprawiedliwiał się przed nią:

„Nie mogę, maty, nie mogę iść dalej, oto od rana nie odpoczywałem i nie jadłem, więc słabym i zmęczony bardzo. Trochę sobie poleżę na tym śniegu, wytchnę nieco, a potem pójdę dalej... i nagrodę ci przyniosę... i wieczerzać będziemy...

Tu myśli poczęły mu się plątać i mącić jak człowiekowi, który w sen popada...

Widział kolejno to izbę w domu z jasno płonącem ogniskiem, to znów las ciemny i skały dniestrowe w mroku wieczornym.

Wreszcie z tej gmatwaniny obrazów wyłoniło się nagle jakieś światło, które zbliżało się ku niemu i rozszerzało szybko — wreszcie go ogarnęło.

Była to jasność miła, słodka i ciepła, w której grały cicho jakieś anielskie chóry, stokroć dźwięczniejsze nad dzwon cerkiewny — on zaś pogrążał się w tem świetle, płynął w niem, jak ptak w powietrzu, jak chmura w błękitach...

Śnieg sypał coraz gęściej.

Marya Kamieńska.

*) W każde uroczyste święto kościelne odbywają się na Rusi przed cerkwią zabawy połączone z muzyką, śpiewem i tańcami t. zw. „hahiłki“.

Do Betleem.

(Z pieśni ludowej.)

Hej! na polu, na judejskiem,
Zebrały się Mazury,
Bo złocista, promienista
Wyszła gwiazda z za chmury..
A na ziemi gwar i wrzawa:
Urodziła panna prawa
Synaczka małego!

Zstąpił z nieba Bóg, Duch święty,
Olśnił blaskiem Dziewicę,
O tym cudzie wiedzą ludzie
I ziem wszystkich granice.
Więc poniosły lasy, kwiaty
Od Betleem za Karpaty,
Nad fale wiślane.

Chwycił pierwszy Stach koniucha
Ową dobrą nowinę,
Wpadł do sioła: Pódźwa! — woła
Ujrzeć świętą Dziecinę!
Porobili wnet supełki
I pognali wzdłuż Wisełki
Do Betleem prosto.

Kędy jeno oko zajrzy,
Tłumy płyną falami,
Moc narodu, a od Wschodu
Idą Króle z darami.
Niosą złoto, szkarłat, mirę,
Dzwonią skrzypki, słychać lirę,
A pieśni bez liku.

Szum, — gwałt, — hałas, nawet śpiewa
Cyganisko przybłęda...
Wtem Mazury hukną z góry:
Hej! kolęda, kolęda!
A Jezusek podniósł brewki,
Wżdy nie słyszał takiej śpiewki,
Mazurów nie widział.

— A zkąd chłopcy? — Z pod Warsęgi
Przyśliśmy tutaj z darami,
Nasze wioski — Synu Boski,
Nawiedź swemi stopami!
Złotem zbożem łan zakwitnie,
Spotężnieją kłosy żytnie,
Ziemia się odrodzi!

A pilnować będziem Ciebie,
Jako światła źrenicy,
Na pieluchy, same puchy
Ułożymy w świetlicy.
Zdrzemniesz nocką, czy w południe,
Będziem Tobie śpiewać cudnie
Piosnką ululamy!

Płynie, dzwoni, pieśń gorąco,
Że aż ściany się trzęsą —
Aż niebieski syn królewski
Uczuł rosę pod rzęsą.
Siadł na sianku w swej izdebce,
Do Mateńki coś tam szepce,
Józefa się radzi.

— Wracaj Kubo, Bartku, Stachu,
Na równiny piaszczyste!
Wasze dary są bez miary,
Wasze serca złociste!
Przyjdę do was, będę z wami,
Byście mymi szli śladami,
A szli krok za krokiem.

Co mi Ojciec da Niebieski,
Ja wam oddam w podzięce —
Miłość Maryi, krzyż Kalwaryi,
Okrwawione swe ręce —
Berło moje, wieniec z głowy
I trzydniowy sen grobowy,
A nad śmiercią tryumf!

Niech pamięta świat i ludzie
Pamiętają me słowa:
Że wśród cierni idą wierni,
Że grób życia nie chowa...
Bezlitosny głos Anioła,
Na mój straszny sąd zawoła
Chrystusa zaprzańców!

I umilkło Dziecię Boże...
Krwawy obrzask padł z chmury,
Na kochany brzeg wiślany
Powróciły Mazury;
Chrystusowe niosą dary,
Chrystusowej pełni wiary,
Ciszy Chrystusowej.

Kazimierz Gliński.

Szklarki.

(Obrazek z życia wychodźców.)

Matuś!

— Co? moje krocie kochane.

— Matuś, — Dzieciątko tak długo nie przychodzi — a przecież tatuś powiedzieli, że dziś wieczorem z nieba do grzecznych dzieci przyjdzie — a Stasiu także był grzecznym.

— Przyjdzie Dzieciątko, przyjdzie wnet; pewno je tatuś spotka, gdy będzie wracał z kopalni, to je niezawodnie przyprowadzi do Stasia...

— I podaruje mi konika?

— Tatuś Dzieciątku w drodze powie, że Stasiu chce mieć konika, to Dzieciątko przywiezie konika.

— Ale takiego karego, jak w Szklarkach!





— Jak tatuś powie, to Dzieciątko przywiezie karego.

— Matuś!

— Co aniołku?

— Matuś, czemu my już nie w Szklarkach? Tam tak było pięknie — oj, wiele piękniej jak tu!

Młoda kobieta drgnęła.

— Cicho Stasiu, cicho! Pamiętasz, co to ten wuja w tych okularach powiedział, że Stasiu jest bardzo chory i nie wolno mu dużo mówić? A Stasiu musi być grzecznym, inaczej bowiem by Dzieciątko nie przyszło.

Przestraszony malec spojrzał na matkę.

— O tak, tak — matulu — Stasiu będzie grzecznym, a jak konika dostanie, to pójdzie z tatusiem do kopalni i będzie tatusiowi pomagał — i zaprząg nie konika do wózka — i będzie węgle wywoził...

Chłopczyna począł szybciej oddychać. Bieluchna twarzyczka nagle rumieńcem się pokryła — rączki wychudłe, jakby czegoś szukały po poduszce — a na wpół otwarte usta szeptały:

— Węgle — konik — tatuś przywiedzie — Dzieciątko!...

Stroskana matka wlała trochę lekarstwa na łyżeczkę i podała choremu. Potem siadła na krześle przy wezgłowiu i pochylając się, łowiła oddech i szepty majaczącego.

Szklarki. — Czemu my już nie w Szklarkach? — A tam tak pięknie było.

Przytuliła niespokojne rączęta swego dziecka do piersi i powtarzała sobie półgłosem: Czemuśmy już nie w Szklarkach, tam wśród swoich, na swojej ziemi, w tej chatce miluchnej pod rozłożystą lipą? — czemu? — czemu?

I choć sobie już sto razy powiedziała, że na nic wspomnienie, że nic się nie wróci, że nie będzie smucić męża wracającego z podziemia, od pracy trudnej, a niebezpiecznej spłakaną twarzą — cóż, kiedy łzy przemocą się cisną, a myśli schorzałej niespaniem, troskami i smutkiem odurzonej głowy nie opuszczają?

Och, jacy oni byli szczęśliwi — ona, sierota po nauczycielu wiejskim bez posagu, bez grosza prawie, i Wojtuś, syn starego Macieja, zawołanego gospodarza. Żyli na spuściźnie ojcowskiej, jak u Pana Boga za piecem, — na czemż bowiem mogło im zbywać, kiedy chleb był i masło, i pole żyzne i niebo błękitne, a nad wszystkiem błogosławieństwo Boże i szczęście?

Potem Staś się narodził, a w chacie pod starą lipą, jakby blasku słonecznego przybyło. Wojtuś wąsa podkręcał, a matka pieściła i śpiewała! — Oj pięknie było w Szklarkach i błogo!

Mieli coprawda długu nie mało, jako, że Wojtuś chcąc rodzeństwu spłacić spadki zapożyczył się u Szmula, arendarza. Ale cóż, bo to nie byli zdrowi, bo to nie pracowali chętnie od brzasku do zmroku? To też bieda nigdy do domku pod lipą nie zajrzała, tylko w zapłociu czyhała, bojąc się wrotami na podwórze wnijść, bo Wojtusiowa ciągle się krzątała koło drobiu i bydła, a biedę strach brał na widok młodej i rumianej kobiety. A gdy zgoła Stasinkowi zaśpiewała, to bieda się aż w rowy i pokrzywy kryła.

Aż przyszła owa nieszczęsna noc jesienna. Wicher huczał i szalał, płot się łamał, drzewa jęczały, a bieda chuderlawa naprowadziła na Szklarki nieszczęście złowrogie. Płacz Stasia ją ze snu zbudził — och, jakie to było okropne przebudzenie! Cały świat zdawał się być jedną łuną — obory w ogniu, — stodoły wraz z całym plonem w ogniu wieś w ogniu — niebo w ogniu! Wtedy to bieda złośliwa po raz pierwszy stanęła w progu i zachichotała nad niedolą trojga szczęśliwych dotąd ludzi.

— — — — — — — — — —

Szmul nie czekał — Potrzebował pieniędzy, bo i jemu się stodoła spaliła! Wojciech nikogo z krewnych nie prosił, bo widział, że go omijali. — Wkrótce potem odbyła się licytacya. Ona płakała, a Wojtuś wyszedł z Staśkiem na pole, po raz ostatni — i pokazał mu topole, które cztery lata temu był na pamiątkę urodzin jego zasadził. Gdy wrócił, już było po licytacyi i po — szczęściu. W dwa dni później wyjechali.

I tak od dwóch miesięcy tu są na obczyźnie. Och, jak jej tęskno za tą chatą białą, za tą lipą, za — szczęściem w Szklarkach! Nikt jej tu nie zna, nikt nie rozumie, nikt dobrego słowa nie powie! Wojtuś przez cały dzień przy pracy, pod ziemią. Stasiu dogorywa, wszystko, wszystko stracone! — A to dziś wilia! Jakże wesoło im było dziś rok przy opłatkach — przy sianię...

I biedna kobiecina zaszlochała gorzko i zapaską łkanie tłumiła, by nie przebudzić chłopięcia. Lecz uspokoiła się widząc, że chory przestawał majaczyć. Otarła łzy i pochyliła się nad łóżeczkiem. Stasiu oddychał regularniej, acz bardzo cicho. Dziwna jakaś otucha w nią wstąpiła. — A może Stasiu wyzdrowieje — Wojtuś też wnet wróci i wszystko będzie dobrze. — Żeby tylko Wojtuś rychło przyszedł — powinien tu już być, ale że to przy płacy, więc o zwłokę łatwo. Może też po drodze wstąpił gdzie do składu po podarunki na „Dzieciątko“, — on zawsze taki dobry. — Ale cicho no! Wojtuś idzie!...

I spieszy, by drzwi otworzyć. Lecz co to? To nie jego chód, to nie jego postać — a również człowiek jakiś przy oskardzie i blaszance, widocznie górnik wracający od pracy, do drzwi się zbliża.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— Wszak tu mieszka Wojciech Lipiak, a wy jesteście jego żoną?

— Tak.

— Przysłał mię tu wasz mąż z pieniędzmi — bo to, widzicie — nie chciałbym was przestraszyć...

— Jezus, Marya! Co się stało?

— Cicho kobieto, uspokójcie się — tak źle nie jest. Węgle spadły i go trochę przydusiły, — tylko nie płaczcie, to się każdemu górnikowi może zdarzyć. Ja sam już miałem takie nieszczęście. Człowiek przeleżał kilka tygodni w lazarecie i znowu poszedł do pracy. Już to u nas nie inaczaj. A no, tu macie pieniądze. Dobra noc!

Lipiakowa machinalnie odebrała pieniądze, machinalnie powiedziała dobra noc; już nie płakała, już nie szlochała, bo łez już nie stało. Twarz jej jakoś dziwnie zmieniona, aż chłód od niej bije. Gdyby nie blask oczu, można by myśleć, że to posąg stoi we drzwiach. To oblicze jakoby rzeka zamarznięta, a oczy jakoby przeręble. Tam pod lodem coś nurtuje i kotłuje, w przeręblach coś się gotuje i wiruje, ale powierzchnia cicha, zimna, gładka. Ta kobieta nie straszna, ale strach człowieka na jej widok zdejmuje.

— — — — — — — — —

— Matuś! — —

— Aha! — —

— Matuś! — Byłem w Szklarkach — tyle aniołków widziałem — a Dzieciątko mi dało konika karego. — —

— W Szklarkach? Pójdziemy do Szklarek.

— Do Szklarek! Do tatusia! — — Oj! oj! — tyle aniołków — — a na przodzie — na moim — karym — jedzie Dzieciątko — oj! oj! — — — Matuś!! — —

Stasiu skonał.

Lipiakowa owinęła dziecko w wielką chustę i zeszła z niem na ulicę. — Nikt jej nie zna — nikogo nie zna. — Po ulicy rozbrzmiewają śmiechy i gwary wesołe, wszystko się ciśnie do okien wystawnych, do składów, tylko ona milczy i środkiem ulicy idzie — dokąd? Czy ona wie? Do Szklarek pewno, do Wojtusia! Nikt jej nie rozumie — nikogo nie rozumie! —

Śnieg pod nogami skrzypi, na skrętach wiatr gwiżdże i syczy, a matka dziecko przytula i szepce:

— Staśku, cicho! Trzeba grzecznym być — idziemy do tatusia!

Wyszła za miasto. Gwiazdki bystro zerkały na śnieżną opończę pól, na drogę i na Lipiakową — a ona patrzy na te świecidełka niebieskie, podnosi Staśka w górę i powtarza:

— Cicho, Staśku, cicho! Patrz ot tam — widzisz! Szklarki już niedaleko — już i światło w oknach widać. —

Tuż na lewo od drogi leży kopalnia, na której Wojtuś pracuje, a ponad zabudowaniami sterczą ogromne kominy, a ona chustę odsłania i z dziwnie cichym śmiechem dziecię poucza, że to już topole na granicy pól tatusia.

A ten dom na prawo, ten wspaniały, wielki dom dyrektora kopalni, to pewno ich chatka pod lipą. Lipiakowa wchodzi na podwórze, czołga się po schodach kamiennych do drzwi i szarpie za gałkę mosiężną.

Wypada lokaj.

— Was wünschen Sie?

— A gdzie to Wojtuś? — Czemu my już nie w Szklarkach?

— Klärchen? Kenne kein Klärchen, machen Sie, dass Sie fortkommen.

I nie czekając odpowiedzi lokaj drzwi zatrzasnął.

— Aha! Widzisz Staśku — niechcą nas — bo myśmy ubodzy. — — Tak to zawsze z krewnymi. — —

Otuliła dziecko jeszcze bardziej i chwiejąc się zeszła schodami na podwórze — wyszła wrotami na drogę i wróciła do miasta. Po ulicach już pusto i cicho, z domów tylko dochodzi jakiś śpiew radosny dzieci — jakieś melodye dźwięczne a uroczyste unosi wiatr ku gwiazdom — w oknach grają blaski świeczek choinkowych — wszędzie pełno błogości i błogosławieńswa. Lecz Lipiakowa nic nie słyszy, nic nie widzi — idzie taczając się ulicami — za nią, przed nią, wkoło niej pokój świąteczny i szczęście wielkie, tylko dla niej wszystko — wszystko stracone.

Wyszła na drugi koniec miasta ku lazaretowi. Jacyś robotnicy, podchmielilwszy sobie zaczepiają.

— A dokąd to, sikorko? Pokaż, co masz w tej chuście!

Ona nie słucha, tylko Stasia mocniej do piersi przyciska.

— Cicho, Stasinku, cicho!

I szła dalej, taczając się coraz bardziej, a jeden z napastników poznawszy, że to Polka, zawołał do towarzyszów:

— Lott se lopen, dat es wier so'n verdammtes Polackenwijf.

Odczepili się więc od niej i odeszli, przeklinając opilstwo bab polskich. Nie czuła Lipiakowa, że ją śniegiem obrzucali, nie czuła, że jej ręce marzną a nogi sztywnieją — zawlokła się do wrót lazaretu i szarpnęła za dzwonek. Zaspany służący wyjrzał okienkiem w murze i zapytał, czy oba skrzydła, czy tylko połowę wrót trzeba otworzyć.

— Gdzie mój Wojtuś? Czemu my już nie w Szklarkach?

Stróż widząc, że niema żadnego woza z chorym posunął jeszcze dalej łysinę w otwór, a spostrzegłszy zsiniałą od mrozu kobietę, opierającą się o mur, rzekł szorstko.

— Was? Einen Klaren? Hier giebt's keinen Schnaps!

Rzekł i znikł, okienko zatrzasnąwszy, zły, że mu przerwano sen o jutrzejszej pieczeni świątecznej.

A kobieta przed wrotami stała jeszcze przez jakiś czas tuląc do łona trupa małego i szepcząc: Cicho Staśku, cicho! — Dzieciątko wnet przyjdzie. — — Szklarki. — — Czemu my już nie w Szklarkach? — — potem obsunęła się w śnieg i przymknęła zmęczone, bardzo zmęczone oczy — —

Z wieży kaplicy lazaretowej cicho zajęczał dzwonek na znak, że w lazarecie ktoś umiera.

— — — — — — — — —

Trzy dusze obchodziły wilię we wiecznych „Szklarkach.“

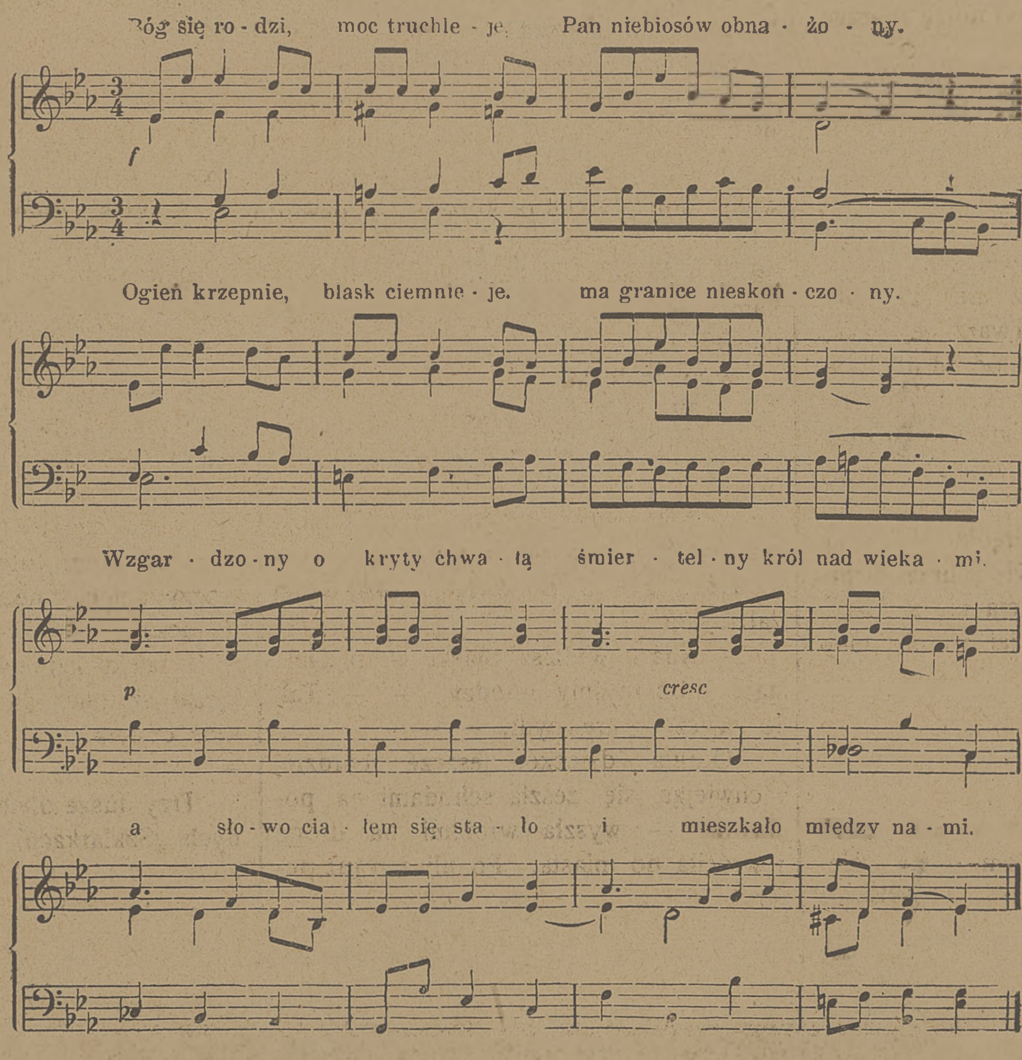
Braliński.

Z obczyzny, w grudniu 1900.



Bóg się rodzi...

(Do fortepianu).



bracia.*)

Słońce, ginąc gdzieś na zachodzie, ostatnimi promieniami ozłacało ziemię. Na pobojowisku pod Karsem, gdzie przed chwilą toczyła się walka pomiędzy Moskalami a Turkami, straszny przedstawia się widok. Krew ludzka niedawno tak obficie wylana, tworzy tu i owdzie kałużę i paruje... jeszcze nie zastygła. Kupami całemi widać trupy poległych Turków i Moskali.

Ktoby się przypatrzył temu polu, zasłanemu trupami i konającymi, musiałby złorzeczyć wojnie, tym, co wzbudzają wojny i którzy człowieka spokojnego odrywają od roli, od chaty, od rodziny, od pracy cichej, a pędzą go gdzieś w świat, aby marnie ginął zdaleka od swoich!

Smutny był widok na pobojowisku pod Karsem. Tu przed chwilą odnieśli Turcy zwycięztwo — tu ich dzielni dragoni zgnietli najeżony bagnetami pułk moskiewskiego wojska.

Lecz czybyście, moi kochani, uwierzyli, że owa jazda turecka, co zwalczyła Moskala, składała się przeważnie z Polaków?

— Tak jest — ów pułk dragonów tworzyli nasi bracia z nad Warty, Wisły, Dniepru i Niemna — tułacze i wygnańcy z ojczystej ziemi!

Pomiędzy stosami trupów leżał na pobojowisku, w kałuży krwi własnej, młody dragon turecki, ciężko ranny, a przy nim rumak jego wierny. Biedne zwierzę, jak padło od kuli moskiewskiej w podskoku, tak leżało z wyciągniętemi przed siebie nogami ofarbowane potokami krwi. Waleczny dragon rozdartą miał pierś od nieprzyjacielskiej kuli i skłuty był strasznie bagnetami. Śmierć powoli gasiła resztki tlejącego życia w dzielnym wojowniku. Był to Polak... On niegdyś walczył również, ale walczył w obronie swej lubej Ojczyzny. Zmuszony potem przez wroga do opuszczenia Polski, wiódł życie tułacze — a dziś marnie ginie na obcej ziemi! Bolesne uczucie przepełnia duszę wygnańca. Żegna on w myśli swój ukochany kraj — żegna drogie mu sercu osoby — co je tam w ojczyźnie zostawił, a których nigdy tu na ziemi oglądać nie będzie!

Obok niego, ściskając jeszcze w dłoni bezużyteczny już karabin, leżał sołdat moskiewski z rozciętą od tureckiej szabli głową. Rysy twarzy owego sołdata były bardzo szlachetne, a choć zlane krwią zeschłą i zwalane warstwą kurzu i błota, wskazywały niemoskiewskie pochodzenie. I to był Polak, choć go mundur moskiewski pokrywał. On, dzieckiem jeszcze będąc, porwanym został na to, aby wyrósł na niewolnika moskiewskiego i mordował tych, których mu wskażą — może nawet rodziców lub braci; dziś, w carskich szeregach walcząc, padł od kuli z ręki rodaka!

Już słońce zaszło i noc piękna, pogodna roztoczyła swe panowanie. Księżyc wyszedł na niebo i oświecał srebrnymi promieniami to pole strasznej niedawno walki...

Leżący przy swoim koniu turecki dragon, ocucony chłodem nocy, usiłował się podnieść — lecz nie mógł. Rany jego były śmiertelne — paliły go okropnie, a tu ani kropelki wody, aby ulżyć ciężkim chwilom konania. Jęknął boleśnie nieszczęśliwy wojownik, a potem, dobywając ostatnich sił, sięgnął w zanadrze i wydobył stamtąd mały, złoty krzyżyk, a ucałowawszy go spiekłemi usty wlepił nań spojrzenie... modlił się...

Ojczyzno moja, bądź zdrowa! — wyszeptał za chwilę konający, — matko moja, gdzieś ty — już cię nie zobaczę... bracie mój — ojcze kochany... ach, Boże zlituj się!

I znów zaczął ciężko oddychać, a krew jeszcze potrosze sączyła się z ran jego.

Ów jęk tureckiego dragona poruszył leżącego opodal moskiewskiego sołdata. Z ciężkiem wysileniem przyczołgał on się do tureckiego żołnierza i wyrzekł słabym głosem:

— Tyś Polak?... o, mów jeszcze mów! ja tak długo nie słyszałem, ojczystej mowy, niechaj się nią nacieszę choć w chwili konania — o, mów jeszcze, na miłość boską, mów, choć słówko!...

Otworzył zamknięte oczy dragon turecki, a widząc, kto do niego przemawia, rzekł z wysileniem:

— Wróg przy mnie — precz szatanie! tyś Moskal, przekleństwo tobie — oddal się, niech umrę spokojnie!

Bracie, nie przeklinaj! jam nie Moskal, przebacz, jam nie winien — jam Polak, który się stał ofiarą wroga... jęczał moskiewski sołdat.

— Ktoś ty — rzekł turecki dragon — co mnie zwiesz bratem? Ja miałem brata kiedyś w ojczyźnie, ale Moskale zabrali go wraz z matką — ach Boże! ten krzyżyk od matki — gdzie ona, ja nie wiem — ktoś ty jest, mów, czego chcesz odemnie?

— Ja chcę tylko słyszeć ojczystą mowę, bo kocham ją, pragnę braterskiego uścisku dłoni Polaka... i zapłakał rzewnemi łzami...

Dragon rzucił nań przyjaźniejsze spojrzenie; nie patrzył już na mundur, ale widział nieszczęśliwego jak on rodaka.

— Przebacz bracie — rzekł dragon ja cię uważałem za wroga, bo nosisz mundur jego. Możeś ty mi zadał cios śmiertelny, ale ci przebaczam. Jeżeli wrócisz kiedy do ojczyzny, dowiedz się, gdzie brat mój, gdzie matka... ojciec zginął — o Boże! ja umieram... oddaj im ten krzyżyk, ciężko mi — o Boże! ojczyzno moja!

— Jakie twoje nazwisko? — rzekł sołdat, wysłuchawszy dragona z uwagą:

— Janusz K... — rzekł dragon.

— Bracie mój — jęknął sołdat — jam twój brat, Stanisław K...!

Krzyk bolesny wydarł się z piersi dragona — i obaj bracia utonęli we wzajemnym uścisku...

— Więc żyjesz, bracie — wyszeptał dragon — mów o sobie, o matce... prędko mów, bo słabo mi — umieram...

— I ja z tobą ginę, bom ciężko ranny. Matka nie żyje — często mówiła o tobie, o ojcu; mnie zabrali do wojska i zapędzili daleko, w obce kraje, gdziem nawet ojczystej mowy nie słyszał... O, ileż razy przypomniał mi się nasz domek wiejski, gdzieśmy jako dzieci na łonie drogich rodziców tyle chwil szczęśliwych spędzili.. a teraz... o Boże, na obcej ziemi, i dla obcej sprawy przeciwko sobie walczyliśmy!

— Bracie mój, doszeptał dragon, — choć nieprzyjaciele nas rozłączyli za życia, lecz Bóg nas przy śmierci połączył, abyśmy razem zanieśli skargi o krzywdę naszej ojczyzny...

I zamilkł wojownik, bo krew czarna, znak śmierci, pokazała się na ustach; objął brata prawą ręką za szyję, lewą przycisnął krzyżyk do piersi i... skonał.

Sołdat przysunął się bliżej brata, złożył ostatni pocałunek na jego czole i wydobywszy taki sam krzyżyk, jaki miał dragon, modlił się i wyczekiwał zgonu...

Słońce wybiegło rankiem na błękity niebios. Na krwawem polu pokazali się ludzie, szukający rannych, których wczoraj zabrać nie mogli i grabarze, aby pochować umarłych. Przez pobojowisko przejeżdżał oddział dragonów tureckich z oficerem na przodzie. Kiedy przybyli na miejsce, gdzie trupy tureckiego dragona i moskiewskiego sołdata, leżały we wzajemnym uścisku, wstrzymali się — a dowódzca patrolu, widząc, że obaj mają jednakowe krzyżyki w ręku, rzekł smutnie:

— To muszą być dzieci jednej matki, to pewnie bracia, choć ich mundur różny pokrywa. Niechaj tym walecznym grabarze jeden grób wykopią, aby wspólnie spoczęli, a my im cześć wojskową oddajmy!

I stało się, że w jednym grobie spoczęli sołdat moskiewski i turecki dragon — synowie jednej matki — ofiary dla obcej sprawy — biedne, polskie dzieci!

K. P.

---

*) Obrazek wzięty z ostatniej rosyjsko-tureckiej wojny. Kars, ogromną turecką fortecę w Azyi (Armenii) wzięli ostatecznie Moskale szturmem, po 12-godzinnym morderczym boju, dnia 18-go listopada 1877 roku.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

Zdawało mu się, że traci zmysły. Blady, drżący, z obłąkanym wzrokiem, z palcami kurczowo zaciśniętymi na korbie żelaznej, od której zawisło życie Marty, spoglądał na groźną zbliżającą się maszynę i miał złudzenie, że to drapieżne zwierzę, gotuje się rzucić na swoją ofiarę. Nagle myśl nowa, jak błyskawica, przebiegła mu po głowie:

— Jest trzecia — rozważał w duchu — pociąg nr. 69 wychodzi o czwartej... ztąd tysiąc metrów odległości do dworca... urzędnicy spostrzegą, że zaszła pomyłka w nastawieniu zwrotnicy... dadzą sygnały alarmowe... maszynista dzielnie kieruje maszyną... znam go... na czas zatrzyma... dostanę dymisyę, ale Marta będzie ocalona i nikt tego nie przepłaci życiem.

Wszystko to obmyślił w ciągu jednej sekundy; nieszczęśliwy człowiek miał już nacisnąć korbę, gdy naraz o jego uszy odbił się świst lokomotywy od strony dworca.

Zrozumiał natychmiast położenie rzeczy: puszczano w bieg pociąg po tej samej linii, na którą zwrócić chciał nadchodzący nr. 16; łatwo przewidzieć następstwa zetknięcia się dwóch lokomotyw dążących w odmiennym kierunku.

— Ach! — zawołał Cambremer zdławionym głosem — zapomniałem... to ekstra-pociąg z Etampes wiozący bogaczów na polowanie. Dlatego, żeby się ci panowie bawili, trzeba żeby moja córka ginęła! — wołał, wybuchając śmiechem szaleńca. — Nie!... to nie może być... ich życie nie jest więcej warte od życia mojej Marty... poświęcę ich!... ludzie mnie potępią... Bóg mnie osądzi!

Tym razem położył obie ręce na zwrotnicę. Zostawały mu tylko cztery sekundy na decyzyę.

Zamknął oczy, żeby nie widzieć tych, których skazywał na śmierć straszliwą i zaczął silniej naciskać korbę.

Lokomotywa była tylko dziesięć metrów od niego. Pociąg zbliżał się szybko, ciągnąc za sobą smugę białego dymu.

Jeszcze tylko jedno naciśnięcie ręki a katastrofa stawała się nieuniknioną.

W tej chwili maszynista, prowadzący ekstra-pociąg, zaczął gwizdać przerywanym świstem, niby na przestrogę zwrotniczego. Być może, że przeczuwał niebezpieczeństwo.

Te świstawki kolejowe mają swój język właściwy; niekiedy odzywają się przeciągle i smętnie, jakby przesyłały skargę, innym razem krótko, dobitnie, jakby wydawały rozkaz; taką urzędową mowę świstawek, kolejarze rozumieją doskonale. Przemawiają one do rozbudzonych wyobraźni, a wyobraźnia Cambremera podniecona była w najwyższym stopniu. Zdawało mu się, że tym świstem lokomotywa odzywa się do niego:

— Co ci zrobili ci młodzieńcy, których chcesz życia pozbawić? Co zawinili ojcowie, matki, którzy dziś wieczór będą opłakiwali stratę dzieci? Czy nie masz litości nad nimi?

A gdy on wahał się jeszcze, świstawka odezwała się dwukrotnie głośniej, przeraźliwiej:

— Zbóju! Zbóju!

Wtedy puścił korbę i wyszeptał:

— Nie... Nie... Nie mogę... Marto wybacz!

Skończyło się. Puszczony na właściwą linię, pociąg przeszedł koło niego.

Jak krew ofiar, poświęconych przez pogan bogom na uśmierzenie ich gniewu, tak niewinna krew biednej dziewczynki miała okupić życie podróżnych, uratowanych bohaterstwem zwrotniczego, męczennika obowiązku.

Cambremer odważył się podnieść oczy; chciał raz jeszcze zobaczyć córkę, zanim zginie pod kołami parowozu.

Gdy wszystko będzie skończone, — pomyślał — rzucę się pod koła ekstra-pociągu.

Ona tam stała ciągle na drodze nadchodzącej lokomotywy, nachylona, zbierała coś z ziemi, nie domyślając się grożącego jej niebezpieczeństwa. Czarny potwór nadjeżdżał z całą siłą pary na tę drobną jasnowłosą dziecinę. Zdawałoby się, że to słoń mający stratować gołąbka.

Cambremer, oszalały z rozpaczy, biegł do córki, której już nie spodziewał się wydrzeć śmierci.

W tej chwili Marta obejrzała się. Zobaczyła ojca, wyciągającego do niej ręce i maszynę, mającą ją zmiażdżyć. Instynktownie padła na kolana, i złożyła dłonie w oczekiwaniu wyroku.

Wówczas Cambremer, jakby natchniony z nieba.

— Połóż się — krzyknął grzmiącym głosem.

Jednocześnie nadchodząca lokomotywa zasłoniła mu widok dziecka. Czy odnajdzie je żywe?

Miał nadzieję, Marta była tak drobną. Mogła się ocalić, leżąc spokojnie między szynami.

Gdy ujrzał ją znowu, leżała wyciągnięta, wzdłuż drogi, z twarzą do ziemi zwróconą.

— Nie żyje! — zawołał nieszczęśliwy zwrotniczy — a może tylko ranna?

Podbiegł i chciał ją pochwycić, lecz ona sama podniosła główkę. Jej niebieskie oczęta i różowe usteczka zdawały się uśmiechać, policzki nawet nie zbladły. Zerwała się na nogi, rączki zarzuciła ojcu na szyję i okrywając twarz jego pocałunkami:

— Tatusiu! — zawołała — jakeś mnie krzykiem swoim przestraszył!

Nic nie odpowiedział; oniemiał z radości.

— Wiedziałam, że trzeba się położyć na ziemi — szczebiotała mała — mówił mi o tem nasz przyjaciel, palacz... On się tak raz uratował od śmierci, a przecież jestem mniejsza od niego... Nie płacz tatusiu, skoro mi się nic złego nie stało... Tylko w uszach szumi od łoskotu wagonów, przechodzących nad głową.

On przycisnął ją tylko do serca, nie mogąc słowa przemówić a dziewczynka mówiła dalej z butną miną:

— Widzisz, nie straciłam przytomności, bo nie wypuściłam z rąk złotych pieniędzy, które temu panu wypadły z sakiewki, nie zgubiłam nawet jego biletu wizytowego, znalezionego na drodze... nazwisko stoi na nim odbite drobnem pismem... ja znam dopiero duże litery... odniesiesz mu pieniądze, wszak prawda, tatusiu?

— Tak, pójdę do niego — wyszeptał i musi mi powiedzieć...

Resztę słów przygłuszył hałas nadjeżdżającego ekstra-pociągu. Jadący w nim myśliwi nie domyślali się niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni.

ROZDZIAŁ VI.

Nazajutrz, po dniu, w którym Tolbiac złożył dwie bezowocne wizyty: jedną w Boulogne, drugą na dworcu kolei żelaznej Orleańskiej; tłum ludzi cisnął się do drzwi domu przedpogrzebowego Morgi.

Ciało kobiety, znanej w dziennikach i wśród publiczności pod nazwą *damy pikowej*, a w prefekturze *damy z pawilonu*, od dwóch dni było wystawione na jednym z katafalków trupiarni.

Naczelnik policyi, rozkazawszy zaraz po odkryciu strasznej zbrodni ciało to zabalsamować, zdecydował się trochę później na wystawienie go na widok publiczny. Nie istniały już przyczyny, które go wstrzymywały w pierwszej chwili od chwycenia się tego środka.

Wiadomość o dokonanem morderstwie obiegła całą Europę, a nawet przedostała się za Atlantyk i nienależało oczekiwać, iżby zbrodniarz, ośmielony milczeniem, zachowywanem w tej sprawie, dał się pochwycić w zastawione na niego sidła.

Powróciwszy nieopatrznie, wymknął się zręcznie z rąk policyi i nie miał pewno zamiaru pojawienia się znowu na ulicy Arbaléte.

Władze, przypuszczając, że przestępca uciekł zagranicę, nie zaniedbywały jednak żadnych środków, mogących nadać śledztwu pomyślniejszy obrót.

— Jest dowiedzione, że jak zając obiegłszy las dokoła, sam wpada na obławę pod strzał myśliwego, tak również pociąga mordercę miejsce, będące widownią jego zbrodni, krąży też częstokroć w pobliżu swojej ofiary.

Przynęca go dom przedpogrzebowy Morgi, jak przywabia ćmy nocne światło, w którem opalają sobie skrzydła.

W tym razie zależało przedewszystkiem na stwierdzeniu, kim była zmarła; gdyż niemożność tego sprawdzenia udaremniała wszystkie poszukiwania sędziów śledczych.

Zabalsamowanie ciała dozwalało wystawiać je dłużej nad przeciąg czasu, prawem określony (72 godziny), a ponieważ

zbrodnia miała wielki rozgłos, można było na to rachować, że większa część ludności Paryża przyjdzie uraczyć się widokiem, którego jest zazwyczaj chciwą.

Przedsiębrano też wszelkie niezbędne w takich razach środki ostrożności. Pisarz sądu był w Mordze ciągle obecny, aby odbierać czynione doraźne zeznania. Po sali, do której publiczność miała wolny dostęp, krążyły osoby, opatrzone w doskonały wzrok i wyborny słuch; agenci policyjni odpowiednio przebrani dla posłuchania rozmów i przypatrywania się fizyognomiom.

Sidła były dobrze zastawione, wbrew woli Tolbiaca.

Tolbiac dowodził, że takiemi zużytemi środkami do niczego nie dojdą i że, podczas gdy policya będzie bezskutecznie traciła czas na pilnowaniu ciała, on, sobie tylko wiadomym sposobem, potrafi odnaleźć winnego.

W prefekturze jednak nie przyznano słuszności jego zdaniu i nie żałowano poczynionych kroków, liczne bowiem tłumy ludzi oblegały Morgę.

Nie widziano podobnego natłoku od roku 1840, gdy ciało dziecka la Villette przez cały miesiąc wystawione było na widok publiczny i rozpoznane wreszcie przez jednego z widzów.

Można było się spodziewać, że tym razem także wśród tysięcy widzów znajdzie się ktoś wreszcie, który powie:

„Ta kobieta tak a tak się nazywała“, albo przynajmniej: „Widywałem ją w tem a w tem miejscu“. „Bywała u tych a tych osób“.

Oczekując na ów pożądany zbieg okoliczności, agenci policyjni czuwali pilnie. Szef przydał im Piédouche'a i Pigache'a, którzy po za znajomością fachu swego, byli więcej w całą sprawę wtajemniczeni. Rachował on głównie na Piédouche'a, usiłującego z nieporównaną zaciętością wytropić winowajcę i wynagrodzić tem samem błąd popełniony. Nie mógł sobie darować, że wypuścił z rąk mordercę. Myślał ciągle o tym człowieku; marzył nawet o nim w nocy. Z obawy, żeby nie zapomnieć czego, zapisywał w książeczce wskazówki, pobieżnie zbierane. Zwracał baczną uwagę na wszystkie paltoty wigoniowe i chustki białe spotykane na ulicy, a jeśli właściciel ich wyróżniał się przypadkiem żywością spojrzenia, ciemnym zarostem brody i gęstemi, łączącemi się nad nosem brwiami, wówczas zaciekły policyant śledził za nim niezmordowanie.

Bezskuteczna była owa dotychczas gonitwa za zbrodniarzem, ale to nie zniechęcało Piédouche'a; gniewało go tylko, że Tolbiac tak mało korzysta z usług jego, ograniczając wzajemne ich stosunki na krótkich codziennych zeznaniach.

Przy zamianie słów kilku Tolbiac żądał zawsze wiadomości od policyanta, nie udzielając mu żadnych ze swej strony szczegółów. Obiecywał wprawdzie tysiąc franków nagrody za przytrzymanie człowieka, który w nocy z niedzieli na poniedziałek zjawił się w pawilonie, ale Piédouche, chociaż ubogi, wyżej cenił honor, niż pieniądze, a cześć swoją przekładał nad zysk materyalny.

Inaczej postępował z nim Lecoq, dając mu zazwyczaj do spełnienia ważną misyę przy przeprowadzeniu śledztwa policyjnego.

Piédouche wszelako uznawał zasługi Tolbiaca i pragnął służyć gorliwie zwierzchnikowi. Tego dnia zwolniony przez niego ze służby, prosił szefa policyi o pozwolenie zużytkowania chwil wolnych na dozorowanie publiczności; zwiedzającej Morgę, a otrzymawszy to pozwolenie z łatwością, podążył od rana w towarzystwie Pigache'a do domu przedpogrzebowego, gdzie mu pisarz sądowy oddał do rozporządzenia mały pokoik, dotykający trupiarni. W ścianach tego pokoju znajdowały się zręcznie ukryte okienka, przez które można było wygodnie przypatrywać się osobom, zwiedzającym Morgę.

Piédouche, z chwilą wpuszczenia publiczności do sali zmarłych, zajął stanowisko obserwacyjne, nie ruszając się z niego na krok jeden i mając w odwodzie Pigache'a na wypadek, gdyby pomoc jego okazała się potrzebną.

Czterech innych przebranych policyantów było zmieszanych z tłumem. Szli kolejno, jak inni, ale posługiwali się sposobem, używanym niegdyś w cyrku Olimpijskim, gdzie sześćdziesięciu figurantów, wyobrażając wielką armię, defilowało szeregami przez całą godzinę,

Przebiegli stróże porządku publicznego, wychodząc jednemi drzwiami, wracali drugiemi i tak się urządzali, że jeden z nich zawsze stał przed przepierzeniem szklanem, za którem leżały ciała.

Wiedzieli zresztą o stanowisku obserwacyjnem, zajmowanem za ścianą przez kolegów Piédouche'a i Pigache'a.

W pogoni za zwierzyną myśliwy nie schodzi z pola dla posilenia się śniadaniem i sześciu dozorców policyjnych dnia tego zaspakajało głód suchym kawałkiem chleba.

Była już 3 po południu, a w styczniu dni są krótkie. Ciągle jednak równie liczne tłumy cisnęły się w pobliżu gmachu, który zastąpił starą Morgę, zbudowaną za pierwszego Cesarstwa w północno-wschodniej stronie, przy moście „Saint Michel.“

Ładny ten domek wznosi się, jak wiadomo, we wschodniej części wyspy „La Cité“, i z pozoru to ostatnie schronienie nieszczęśliwych rozbitków losu wygląda na odwach lub biuro urzędu akcyzowego. Żyjemy w czasach, w których wygląd zewnętrzny więzienia nie różni się od wyglądu szpitala, a kat ubiera się na wzór urzędników ministeryalnych.

Nowa Morga stoi wprost alei, wysadzonej drzewami, wysokie zaś mury kościoła Notre-Dame rzucają cień na smutny plac, na którym dzieci ubogie tej dzielnicy bawią się mniej hałaśliwie, aniżeli na placu Maubert. Sądzićby można, że lękają się zbudzić umarłych, śpiących snem wiecznym w owym czysto popielanym domku.

Trupiarnia wysoka, jasna, czworoboczna sala przedzielona jest ścianą szklaną, za którą na dwunastu, po sześć w każdym rzędzie, płytach, wystawione są ciała zmarłych, zwanych przez bezlitośnych uliczników „artystami.“

Gdy płyty stoją opróżnione, urwisy dowodzą, że „artyści świętują.“

Tego dnia „artyści“ byli licznie zebrani, i odbywało się jakby nadzwyczajne przedstawienie. Nie pamiętano w Paryżu widoku tak wzruszającego i niezwykłego zarazem, zamordowana bowiem z ulicy Arbaléte była wystawioną w ubraniu, w jakiem znaleziono ją w kufrze. Na piersiach, na sercu widniała dama pikowa, przybita tam ręką mordercy.

Dzięki zabalzamowaniu, cudowna piękność zmarłej nie uległa żadnej zmianie, i ci, którzy widzieli nieboszczkę, choćby raz jeden za życia, mogli ją poznać z łatwością.

Była to o czarnych oczach, złotawych włosach, matowej cerze, blondynka, jaką nawet w Anglii nie często się spotyka.

Patrząc na jej na pół przymknięte powieki, usta lekko rozwarte, można było przypuszczać, że śpi i że się zbudzi, gdy kto zawoła na nią po imieniu.

W białych, o cienkich palcach dłoniach trzymała kamelię, zostawioną jej przez zbrodniarza. Kwiat zwiądł wcześniej, niż twarz zmarłej. Owinięta w szlafrok koronkowy, obuta w jasno-popielate jedwabne pończochy i różowe pantofelki, nieznajoma wyglądała na kobietę, wypoczywającą na szeslongu po balu. Tylko, że szeslong był twardem łożem z marmuru szarego, używanego na ramy kominkowe lub płyty umywalni.

Dalej, w drugim rzędzie leżało dwóch topielców, dziecko przejechane na ulicy i kobieta, która zabiła się, wyskakując z okna. Te podrzędnego znaczenia trupy były bez odzienia, pokryte wstrętnemi, skórzanemi fartuchami. Liche ich ubranie wisiało na kołkach, a łachmany owe świadczyły o nędzy, która walając się po wszystkich brudach ulicznych Paryża, w przedpogrzebowym domu kres dla siebie znalazła.

Biedaków usunięto na drugi plan, żeby zamordowana kobieta zwracała na siebie głównie uwagę obecnych i dopięto zamierzonego celu, albowiem nią się głównie zajmowano.

Karta na sercu wywoływała przedewszystkiem komentarze bez końca.

Taką jest natura ludzka, a zwłaszcza natura Paryżan, że zgromadzona publiczność więcej zaciekawioną była ową damą pikową, umieszczoną na ciele zmarłej, niżeli rozrzewniona widokiem młodej, pięknej istoty, śpiącej snem wieczystym na sromotnych płytach Morgi.

Jeden głos wyrażający współczucie w słowach „Biedna kobieta! Pozbawiona życia w tak młodym wieku!“ zagłuszało dwadzieścia innych głosów, dowodzących z powagą: „W tej karcie tkwi tajemnica zagadki“ — lub też: „Sądziłem, że ta karta jest wymysłem reportera. Przekonywam się jednak, że mój dziennik udziela dokładnych wieści.“

Niektórzy dodawali jeszcze: „Widocznie gra w karty jest główną osią całej sprawy. Policya byłaby bardzo niezręczną, gdyby nie trafiła na ślady mordercy. Niech go szuka między uczestnikami domów gry.“

Byli nawet obywatele przejęci zasadami zacnego Prudhomme'a, którzy skorzystali z tej okazyi, aby wygłosić mowę o niebezpieczeństwie namiętności, wyzyskiwanych przez krupierów w Monaco.

W prefekturze dzielono widocznie zdanie owych domyślnych widzów, umieszczono bowiem, wystawiając ciało, na widoczniejszem miejscu kartę, stanowiącą tak ważne *corpus delicti*.

Obok namalowanego kawałka kartonu, splamionego krwią nieszczęśliwej ofiary, dla większego wrażenia pozostawiono w ranie sztylet, z wystającą na zewnątrz rękojeścią z kości słoniowej, misternie rzeźbionej.

Wszystkie te dodatki nasuwały w myśli obraz pełnego grozy dramatu i budziły w publiczności tem żywsze zajęcie.

Chłopaki opuszczali godziny szkolne; szwaczki porzucały robotę; sklepikarze dążyli tam z równą skwapliwością, jak niegdyś dążyła gawiedź przyglądać się egzekucyom przestępców, stawionych pod pręgierzem; przekupki i piastunki wylewały obfitsze potoki łez, niżeli nawet w teatrze na przedstawieniu „Dwóch sierot."

W tłumie krążyli również widzowie, którzy byli sami tem zdziwieni, że mogli znajdować się w miejscu, nie uczęszczanem zwykle przez abonentów opery włoskiej.

Byli tam ludzie wyższej sfery; artyści, autorowie, osoby wielkiego świata, nawet kilka pań z arystokracyi, przebranych w suknie swoich garderobianych.

Piédouche z głębi kryjówki przypatrywał się tej niezwyczajnej defiladzie, zadowolony, że widzi wśród niej ludzi, należących do klas społeczeństwa, wśród których spotyka się tylko rzadko łotrów, za jakimi z obowiązku zawodu swego zwykł był się uganiać.

Agent policyjny miał własny pogląd na sprawę z ulicy Arbaléte: był przekonany mianowicie, że tym razem zbrodnię popełnił jakiś pan, a nie pospolity recydywista.

To przekonanie jego gruntowało się na uzasadnionym fakcie: zbrodniarze z profesyi nie noszą kosztownych palt, nowych kapeluszów, butów na wysokich obcasach, ani białych szali jedwabnych na szyi.

Otóż indywiduum, które przed kratą pawilonu pokazało mu fałszywy bilet służbowy, było ubrane, jak książątko.

Tak przynajmniej oceniał jego ubranie Piédouche, który książąt widywał tylko z daleka bardzo i który badawczem okiem śledził widzów staranniej ubranych, gdy przechodzili koło jego okienka.

Za nim Pigache spożywał obojętnie kawał chleba z serem.

Był on tylko oddany do pomocy towarzyszowi i spuszczał się we wszystkiem na niego.

Drzwi z kancelaryi do komórki, służącej za schronienie policyantom, stały otworem; słychać było głos kancelisty, powtarzającego wskazówki, podawane przez dwóch posługaczy, zdejmujących w sąsiedniej sali rysopis przyniesionego trupa.

— Mówiliśmy tedy: — wołał pomocnik pisarza sądowego — spodnie płócienne niebieskie, rozdarte na kolanie... buty dziurawe... czapka z daszkiem odwróconym... bluza biała, zacerowana na łokciu niebieskiemi nićmi... dziurka przy kołnierzu rozerwana... łata z nowego materyału na ramieniu...

— Przynieśli wam nowego lokatora — zapytał Pigache.

— Wyciągnęli jakiegoś urwisa z pod mostu la Tounelle.

— Jeśli tak dalej będzie przybywało — mruczał pod nosem Piédouche — niebawem dwanaście łóżek będzie zajętych. Tem gorzej: odwraca to uwagę publiczności od damy...

— Nie potrzebujesz się obawiać, mój stary — odparł Pigache — topielcy są tu chlebem powszednim, ale obywatelkę, strojną w koronki po pięćdziesiąt franków metr, rzadko w tem miejscu spotykać można... Wszak prawda, ojcze Mulard?

— Od dwudziestu lat, odkąd się temi sprawami trudnię, nie widziałem nic podobnego — odparł urzędnik.

A służbowy z sali zawołał w dalszym ciągu:

— W lewej kieszeni w spodniach szczerniała od przepalenia fajka i paczka tytoniu. W prawej kieszeni: kajet z piosnkami i fryga.

— Dosyć! teraz rysopis ciała.

— Blizna na szyi... Na piersiach nacentkowanie, wyobrażające serce przeszyte strzałą... Nos zadarty... Włosy gładko przyczesane... Usta...

— Ciszej, do djabła! Przeszkadzasz mi słuchać — przerwał Piédouche.

— Słuchać, czego? — pytał Pigache.

— Rozmowy węglarki z mężem. Stoją przed szybą o kilka kroków jodemnie. Mam przekonanie, że ci ludzie więcej wiedzą, niżeli chcieli dotychczas powiedzieć.

Było to prawdą. Jakkolwiek wzywani do sprawdzenia tożsamości zmarłej, małżonkowie chcieli jeszcze mieć przyjemność na jej trupa popatrzeć. Zadawane przy śledztwie pytania nie dozwoliły im przyglądać się do woli ciału eksąsiadki i teraz przyszli to sobie wynagrodzić.

Była to dla nich przyjemność nielada rozpowiadać innym, że zamordowana kobieta mieszkała tuż obok ich sklepu.

Węglarka dowodziła, że gdyby nie ona, nie odnalezionoby trupa, węglarz oświadczył, że z widzenia znał mordercę i że ma nadzieję spotkać go kiedy przypadkiem. Jednocześnie nie zapominali oboje podawać adresu swego.

Podczas tej reklamy, czynionej przez małżonków ich handelkowi, Piédouche nadstawiał ciekawie ucha. Na nieszczęście z tej gadaniny nie wiele dowiedział się nowego.

— Czy to prawda, że pan widział łajdaka, co spłatał tę sztukę? — pytała mamka z tłustem dzieckiem na ręku.

— Widziałem na własne oczy, jak panią widzę w tej chwili — odparł sklepikarz z miną uroczystą.

— Jak on wygląda? Chyba nie żaden rzemieślnik?

— Ma się rozumieć, że nie rzemieślnik. Chodzi piękniej ubrany, niżeli nasz kamienicznik, który jest najbogatszym garbarzem w całej dzielnicy *des Gobelins*. Nosi palto z futrzanym kołnierzem, buty ze skóry świecącej i...

Opis elegancyi zbrodniarza przerwał płacz dziecka, a mamka, żeby je uspokoić, mówiła, wskazując na trupa:

— Patrz na tę panią, kochanie, patrz jaka ładna!

Dziecko przycichło, a sklepikarz ciągnął dalej:

— Ma na sobie zawsze *cache-nez*... takie właśnie, jak ten obywatel, który idzie za panią.

Od owego nocnego spotkania z mordercą, każda wzmianka o *cache-nez* budziła żywe w Piédouche'u zajęcie.

Zaczął bacznie przypatrywać się osobie, wskazanej przez sklepikarza.

Indywiduum, którego jeden szczegół ubrania przypominał węglarzowi mordercę, nie zwróciło zrazu na siebie uwagi Piédouche'a.

Z wyjątkiem chustki na szyji (*cache-nez*) nic w jego stroju nie było podobnem do kostyumu, zbrodniarza, o jakiem wspomnienie policyant przechowywał wiernie w pamięci.

Chociaż było równie zimno, jak owej pamiętnej nocy odwiedzający Morgę nie miał na sobie palta. Ubrany był w kurtkę sukienną w kraty i miał kapelusz filcowy na głowie.

Cała powierzchowność nie znamionowała człowieka światowego, z wyjątkiem chyba tylko popielatych duńskich rękawiczek na ręku.

Te rękawiczki zupełnie nowe, starannie na guziki zapięte, stanowiły dziwną sprzeczność z ubraniem.

Piédouche przypominał sobie po trochu, że widział podobne rękawiczki na rękach osoby, która mu fałszywy bilet służbowy pokazywała.

Prawdę mówiąc nie był tego pewny; o północy bywa dosyć ciemno na ulicy Arbaléte. Wyrzucał sobie jednak gorzko, że w danej chwili nie porobił dokładniejszych obserwacyi.

Lecoq, gdy jeszcze był czynny, niedopuściłby się takiej nieuwagi.

Należało teraz rozważyć uderzający kontrast, zachodzący między duńskiemi rękawiczkami, a grubym filcowym kapeluszem.

Stanowiło to wskazówkę niemałego znaczenia. Nadto człowiek, zauważony przez sklepikarza, miał rzeczywiście szyję okręconą grubą chustką, którą zakrywał twarz po uszy.

Tylko ta chustka, zamiast być jedwabną, była z wełny szkockiej.

Wszystkie owe szczegóły, nic nie znaczące dla innych, nie uszły bacznego oka Piédouche'a.

Chciał się lepiej przypatrzyć twarzy, ale w tym razie usiłowania jego okazały się bezskuteczne.

Indywiduum, starannie zabezpieczające się od bólu gardła, musiało być silnie zakatarzone, chustką bowiem tłumiło kaszel, tak, że nawet końca nosa nie było mu widać.

— Musi raz przecież ustać to krztuszenie — myślał, nie spuszczając go z oka agent policyjny.

— Naprzód, panowie, naprzód! — wołali sierżanci, pragnąc przyspieszyć posuwanie się tłumu.

W tłoku popychano się wzajemnie, byli tacy, którzy kilka razy wracali oglądać ciekawe widowisko.

Sklepikarka z mężem i mamka z dzieckiem przeszli około okienka Piédouche'a; zbliżał się do niego z kolei mężczyzna w białej chustce na szyi.

Na nieszczęście kaszlał ciągle, kaszlał tak mocno, że się szyby trzęsły.

Tylko Piédouche znajdował, że kaszel jego był jakby udany.

Odkąd trzyma chustkę w ustach — mruczał stary policyant — miał czas dziesięć razy flegmę wypluć. Ho! ho! — dodał w duchu, widzę, że chustka z batystu. Kundel! nosi ordynarny kapelusz, a ma cienką bieliznę, bo i koszula płócienna. Wszystko to podejrzanie wygląda. Dałbym połowę dziennej płacy, żeby zobaczyć jego buty, ale w takiej ciżbie to niepodobna.

Nieznajomy, ściśnięty w tłoku, jak niegdyś szef policyi w szafce zegarowej, zbliżał się, kaszląc ciągle zapamiętale i jakby rozmyślnie pochylając głowę.

— Gotów odejść, zanim zdołam się przekonać, czy nosi brodę — mówił w duchu Piédouche.

— Wyraźnie ów zakatarzony nie życzy sobie, żeby go widziano. Mam ochotę przejść przez kancelaryę i czekać na niego przy wyjściu; radbym się przekonać, czy mu świeże powietrze na kaszel pomoże.

Kaszlący szedł tuż przy murze i głowa jego była w odległości sześciu cali zaledwie od oczu policyanta. Nie odejmował jednak chustki od twarzy, i Piédouche nie mógł robić bliższych nad nim obserwacyi.

Niebawem tłum uniósł podejrzanego mężczyznę z przed wzroku policyanta.

Ten był już niemal zdecydowany plan swój wykonać, to jest wyjść tylnemi drzwiami i czekać przy głównem wyjściu. Odnalazłby tam niewątpliwie kaszlącego człowieka, mógłby go swobodnie śledzić, a nawet aresztować, gdyby tego uznał potrzebę.

Ale w takim razie wypadało porzucić swój punkt obserwacyjny i zdać się na Pigache'a, który nie miał takiego, jak on doświadczenia i nie widział zblizka zbrodniarza z ulicy Arbaléte.

Położenie było kłopotliwe, a Piédouche'owi brakowało czasu na dłuższe zastanawianie się nad nim.

Wybrał środek pośredni.

— Mój stary — rzekł do Pigache'a — dostrzegłem jegomościa, któremu źle z oczu patrzy. Idź czatować przy wyjściu. Poznasz go łatwo po kapeluszu filcowym i białej chustce w czerwone i zielone kraty na szyi. Gdy go zobaczysz, każ jednemu z kolegów iść za nim, a sam przyjdź mi powiedzieć, czy on ciągle twarz ukrywa.

— Prędko się z nim załatwię — odparł Pigache, który nie lubił dużo gadać.

Wydając rozporządzenia, Piédouche spoglądał bez przerwy na salę, ale nie widział tam nic, coby go żywiej obchodzić mogło.

Tłum przechadzał się i miał niebawem ustąpić; nadchodziła godzina zamknięcia Morgi.

Głupi jestem, że się o tamto bydlę kłopoczę — myślał w duchu agent policyjny, po wyjściu towarzysza. Gdyby istotnie był podobny do mordercy, sklepikarz nie omieszkałby krzyczeć o tem głośno. Ma niekłamaną ochotę wmięszać się w tę sprawę. Chwali się, że często widywał zbrodniarza, musiał go niewątpliwie spotkać kilka razy, gdy przechodził przez podwórze, idąc do pawilonu. Zna go zatem, a skoro człowieka w chustce nie wydał sierżantom, to dowodzi, że ten nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Oczywiście, zapalam się teraz za prędko, To są skutki raz popełnionych pomyłek, że człowiek płodzi coraz nowe głupstwa. Nie można przecież capnąć człowieka za to, że ma krztusiec i nosi popielate duńskie rękawiczki.

Policyant kończył w myśli ten monolog, gdy dozorcy zaczęli wołać: „Zamyka się salę!"

Wejście już było wzbronione, a tłum wychodził szybko.

W tej chwili pod oknami kancelaryi powstał hałas.

Wywiązała się kłótnia i słychać było głosy, wołające: „Trzymać go! trzymać!"

— Kogo chcą przytrzymać? — zadawał sobie w duchu pytanie Piédouche. — Czyżby Pigache chciał aresztować człowieka w filcowym kapeluszu? Nie dziwiłbym się temu; szelmie Pigache'owi zawsze pilno. Zresztą gorliwość jego w tym razie może wyjść na dobre. Jeśli się to okaże pomyłką, będzie zawsze czas puścić na wolność jegomościa. Dowiem się o co chodzi.

Zmierzał ku drzwiom, przez które wyszedł jego kolega, gdy naraz drzwi te otworzono z trzaskiem i ukazała się w nich grupa, złożona z Pigache'a, dwóch sierżantów i człowieka, wydzierającego się z ich rąk gwałtownie.

Pigache trzymał go za kark, sierżanci za ręce, ale on kopał ich nogami i wymyślał im w języku, w którym wyraz *goddam* powtarzany był niejednokrotnie.

— Anglik! — mówił półgłosem Piédouche, mając głowę jedną myślą nabitą. Czyżby to był...

— Poczekaj chłopcze, zaraz cię tu spowiniemy — odezwał się Pigache, krępując sznurem nogi więźnia tak, że nie mógł się poruszać.

— To rzezimieszek, Anglik; przyłapaliśmy go, gdy sięgał do kieszeni jednej z kobiet — dodał policyant w odpowiedzi na badawcze spojrzenie starszego towarzysza. — Bronił się łotr, jak wściekłe zwierzę, ale daliśmy mu jednak radę.

— A tamten? zapytał krótko Piédouche.

— Do licha, nie myślałem już o nim; byłem zajęty tym szaleńcem.

— *English* tyle narobił wrzasku, że nie mogliśmy go prowadzić do cyrkułu — odezwał się jeden z sierżantów. — Mieliśmy dokoła zbiegowisko, i ludzie gotowi byli rzucić się na niego.

— Wpakujemy go do dorożki — przerwał Piédouche. — Tymczasem można go tu zaraz zrewidować. Londyńscy złodzieje kieszonkowi są zręczni, jak małpy. Gdybyśmy trochę mu tylko popuścili więzów, ukryłby wszystkie skradzione przedmioty.

I po tych słowach Piédouche z największą systematycznością przystąpił do operacyi.

Hultaj skrępowany, przytrzymywany silnemi rękoma, nie mógł się poruszać, ale obrzucał wszystkich gradem obelg wielko-brytańskich.

Z kieszeni żakietu złodzieja Piédouche wyciągnął trzy łańcuszki, dwa zegarki i pół tuzina portmonetek, niczem to jednak było w porównaniu ze zdobyczą, znalezioną w ukrytej kieszonce spodni. Wyjął z niej elegancki pugilares, a gdy go otwierał, wypadła ze środka, pochwycona szybko przez agenta policyjnego, karta fotograficzna, będąca wiernem odbiciem kobiety zamordowanej.

Piédouche miał rzut oka równie pewny, jak rękę lekką. Spostrzegł natychmiast podobieństwo, przypatrywał się fotografii z uwagą i blednąc z radości wyszeptał:

— Ona, niewątpliwie!

Rzeczywiście to była ona; kto widział trupa zamordowanej kobiety, nie mógł o tem wątpić.

Fotografia, w braku innych zalet, przedstawia z drobiazgową wiernością odbite przedmioty. Rysy chwyta lepiej, niżeli fizyognomię, tym razem jednak odbicie wyjątkowo było udatne.

Zachwycająca istota, leżąca martwa o kilka kroków dalej na kamiennem łożu, występowała, jak żywa, na tym obrazku, naszkicowanym promieniem światła słonecznego,

To było jej lekko wypukłe czoło, jej włosy, wijące się w pierścieniach, jej usta uśmiechnięte, jej wielkie oczy z delikatnym łukiem brwi w górze, jej małe znamię, jakie miała na lewym policzku, a przedewszystkiem to był jej wyraz pełen słodyczy, stanowiący charakterystyczną cechę jej fizyognomii.

I jak gdyby ofiara, pod wpływem tajemnego przeczucia, chciała ułatwić sprawiedliwości możność pomszczenia jej śmierci, kazała się fotografować, siedząc przy stole, na którym rozłożone były karty, ona zaś trzymała w jednej ręce kwiat, a w drugiej damę pikową, mającą być położoną na walecie karo; próbowała niby pomyślnego wyjścia pasyansu, tak właśnie, jak owego nieszczęsnego wieczoru, kiedy morderca zaszedł ją przy grze ulubionej.

Krzysztof Kolumb, odkrywszy Amerykę, musiał doznawać podobnych wrażeń do tych, jakich doświadczał Piédouche, sądząc, że szczęśliwy traf oddał w jego ręce poszukiwanego zbrodniarza. Nie wątpił bowiem, że pochwycony złodziej był mordercą, a przynajmniej jednym ze wspólników zbrodni.

Uradowany, zapomniał o człowieku w kapeluszu filcowym; zajęty był wyłącznie swoim więźniem.

Prawdę mówiąc, nie miał ochoty dzielić z innymi zasługi pochwycenia przestępcy, dopuszczając do tego jedynie w pewnej mierze kolegę Pigache'a.

Nie myślał też spieszyć z doniesieniem o fakcie do prefektury lub do Tolbiaca, zanim otrzyma od mordercy zeznania zupełne.

Piédouche pragnął odzyskać zachwianą reputacyę zręcznego agenta policyjnego i zasłużyć na przyrzeczoną przez Tolbiaca nagrodę tysiąca franków, mających zbogacić jego dzieci.

Dla osiągnięcia jednak wszystkich tych upragnionych korzyści, należało działać bez straty czasu, na własną rękę,

o ile można bez świadków, gdyż niższego stopnia policyant nie ma prawa badać osoby aresztowanej.

Drab, którego Pigache złapał na gorącym uczynku kradzieży, powinien był być odprowadzony zwykłą koleją: najpierw do cyrkułu, następnie do więzienia tymczasowego, a wreszcie do Mazas.

Rewidując łotra, Piédouche już tem przekroczył prawa swoje; nie należało bowiem wyjmować pugilaresu z kieszeni i czekać póki dozorca więzienny nie sprawdzi jej zawartości.

On jednak w tym razie inaczej rzecz pojmował, a ważność faktu usprawiedliwia uchybienie w regulaminie służbowym.

— Czy to wskutek skargi kogo z publiczności przytrzymaliście tego nicponia? — zapytał sierżantów.

— Nie, to pański kolega go przyłapał w chwili, gdy chciał okradać jedną z obecnych przekupek — odparli dwaj stróże bezpieczeństwa.

Kobieta dzielnie worka strzegła — dodał Pigache. — Nie powiodło się Anglikowi. Baba ani grosza z mienia swego nie straciła.

Inni mniej byli przezorni; — mówił Piédouche — świadczy o tem cały stos portmonetek, nie rachując klejnotów. Idźcież proszę stwierdzić czy kto nie dopominał się o zgubę, powiecie poszkodowanym, że mogą skradzione przedmioty odebrać jutro w prefekturze. Przez ten czas porozmawiamy trochę z tym *goddam*'em.

Sierżanci wyszli, zostawiając chwilowo złodzieja pod strażą dwóch policyantów.

Pisarz sądowy sprawdzał rysopis topielca w sąsiedniej sali. Piédouche i Pigache sami byli ze złodziejem, i nikt nie mógł słyszeć prowadzić się mającej z nim rozmowy. Chwila nadawała się do stanowczego działania.

Piédouche zaczął od podsunięcia pod oczy towarzyszowi znalezionej fotografii.

— Ho! ho! — zawołał Pigache.

— Poznajesz ją?

— Jakżebym nie miał poznać!

— I co na to mówisz?

— Że nas porządna gratyfikacya nie minie, a English'a przytną trochę na placu la Roquette. Pokazuje się, że łotr nietylko kieszenie bliźnich obrabia. Nie byłbym go o to posądził.

Przy tej wymianie przez policyantów słów, napozór obojętnych, Anglik widocznie nadstawiał ucha, a blada twarz jego bladła coraz więcej. Wybieg Piedouche'a powiódł się lepiej, aniżeli mógł się tego spodziewać.

Stanął przed więźniem i rzekł głosem stanowczym:

— Widzę, mój człowieku, że język francuski rozumiesz tak dobrze jak my. Gdybyś był tylko zwykłym złodziejem kieszonkowym, skazany byłbyś na trzy miesiące więzienia, ale przy tak jawnych dowodach zbrodni, mogę cię zapewnić, że sędziowie wydając wyrok, nie będą szukali okoliczności łagodzących. Powędrujesz z sądu prosto do opactwa Monte à regret — musiałeś już o tem opactwie słyszeć — potem utną ci głowę; ja ci to mówię.

Anglik nie odpowiedział ani słowa, tylko oblicze jego zzieleniało.

— Z tem wszystkiem nie jestem złym w gruncie — dodał Piédouche — dam ci dobrą radę. W taki tylko sposób możesz się wykręcić, jeśli wyznasz szczerą prawdę. Prawdopodobnie nie ty sam jeden dopuściłeś się tej zbrodni; wydaj mi swoich wspólników; daję ci słowo, że taka szczerość zjedna ci względy sędziów... Przecież i ci ludzie mają serca... Z pomocą dobrego adwokata skończy się dla ciebie na jakich dwudziestu latach.

Więzień słuchał osłupiały: milczał ciągle, ale widoczne było, że rozumiał co do niego mówiono.

— No, decyduj się — zagadnął Piédouche sucho. — Uprzedzam, że nie mam czasu i że cię poślę do takich panów, którzy potrafią zmusić cię do wyznania wszystkiego. Tylko, że wtedy nic to już sprawie twojej nie pomoże. Lepiej dla ciebie teraz się przyznać.

— Przyznać do czego? — pytał złodziej, wymawiając wyrazy akcentem cudzoziemskim.

— Ha! przemówiłeś nareszcie! Byłem pewny, że mówisz po francusku. Opowiedz-że nam, jak to było?

— Panowie to wiecie tak dobrze, jak ja, skoro złapaliście mnie na gorącym uczynku. Kradłem, to moje rzemiosło... i na tem koniec. Ale we Francyi przecież nie ucinają ludziom głowy za złodziejstwo.

— Nie udawaj głupiego. Nie chodzi tu o ściągniętą portmonetkę lub chustkę do nosa. Chodzi o to...

I Piédouche ukazał nagle Anglikowi fotografię, a na jej widok wyrwał mu się z ust czysto brytański wykrzyknik: *Aôh!*

Na twarzy jego jednak malowało się raczej zdziwienie, niżeli przestrach.

— A co, poznajesz ten portret? — zawołał Piédouche z tryumfem.

— Poznaję: — odparł zagadniony — to portret zamordowanej kobiety, która tam leży za szklanem przepierzeniem.

— I którą ty pozbawiłeś życia. No, przyznaj się, to ulży twemu sumieniu.

— Ja? Widziałem ją przed chwilą martwą, ale nigdy nie oglądałem jej za życia.

— Nie złapiesz mnie na plewy, mój chłopcze; gdybyś jej nie znał, nie nosiłbyś jej fotografii w swoim pugilaresie.

— W pugilaresie, któryś pan dopiero co zabrał? Ależ to nie moja własność!

— Ba! do kogoż on może należeć?

— Do tego, który go miał w kieszeni, gdym mu go ukradł.

— Nieźle obmyślone, filucie, ale trzeba to dowieść. Gdzie ukradłeś ten pugilares? Kiedy go ukradłeś? Jak wyglądał człowiek, któremuś go zabrał?

— Miał na sobie ubranie w kraty, chustkę białą na szyi, kapelusz filcowy i rękawiczki popielate duńskie — odparł złodziej bez najmniejszego zawahania.

Na tę odpowiedź niespodziewaną dreszcz przejął Piédouche'a i twarz mu pobladła.

Kilku słowy Anglik zburzył cały gmach jego przedwczesnych nadziei; biedny policyant zrozumiał, że popełnił nową niedorzeczność, że powtórnie dał się wywieść w pole.

Jak tonący, który chwyta wątłą gałązką, tak on próbował wmawiać w siebie, że Anglik skłamał. Odpowiedź złodzieja jednak była tak nieprzygotowaną, opis ubrania nieznajomego tak dokładny, że trudno było wątpić o prawdzie słów jego.

Więcej może jeszcze znaczącym objawem była odzyskana przez łotra pewność siebie z chwilą, gdy dowiedział się, o co go posądzono. Hultaj musiał mieć na sumieniu niejedno przestępstwo, a niewiadomość, o co go obwiniają budziła w nim niepokój; stawiony wszelako zarzut morderstwa, nie przerażał go wcale; wiedział, że zdoła dowieść niewinności swojej w tym względzie.

Piédouche jednak nie chciał się uznać pokonanym i ciągnął dalej rozpoczęte badanie.

— Chcesz, mój chłopcze, wywinąć koziołka, ale ci się nie udaje — mówił tonem szyderczym. — Dowodzisz, żeś to znalazł w kieszeni jakiegoś pana w popielatych rękawiczkach. Gdzie spotkałeś tego obywatela, którego strój opisałeś tak szczegółowo?

— W tłumie, rzędem idącym przed Morgę — odpowiedział Anglik z zupełną stanowczością.

— Więc to przed chwilą urządziłeś tę sztuczkę?

— Na pięć minut przed pochwyceniem mnie przez pańskich policyantów.

— Wcale zręcznie układasz historyjki — mówił niby z niedowierzaniem Piedouche, który w duchu wściekał się ze złości.

Im dokładniejsze więzień dawał objaśnienia, tem on wyraźniej widział winę swoją i złorzeczył sobie w myśli.

Anglik zawahał się chwilę, jakby mu przykrem było wyznanie popełnionych nadużyć, potem jednak odezwał się z godną uznania szczerością:

— Przyznaję, że przybyłem do Paryża z zamiarem przetrząsania kieszeni gentlemanów. W Londynie o tej porze niema roboty. Przyjechałem dziś rannym pociągiem z Boulogne. Nie brałem numeru w hotelu, bo miałem zamiar odjechać dziś wieczorem.

— Znane to rzeczy; — przerwał policyant z niecierpliwością — londyńscy złodzieje zawsze tę samą piosnkę śpiewają. Kończ swoją bajeczkę.

— Otóż poszedłem się przejść po bulwarach i po Polach Elizejskich, ale nie znalazłem tam żadnego zajęcia. Z powodu zimna mało spacerujących. Wreszcie wyczytałem w gazecie, że w Mordze jest „wystawa“ i że cały świat tam dąży.

— Wtedy powiedziałeś sobie: „To dla mnie gratka.“

— Tak jest... i przyszedłem zaraz tutaj, alem się zawiódł srodze; chciałem się wcisnąć w tłum za panie... albo za panów,

elegancko ubranych... tymczasem policyanci zmusili mnie stanąć w rzędzie... wśród pospólstwa... przedemną szli węglarz i węglarka... nie warto było sięgać im do kieszeni.

— Węglarz i węglarka! — myślał w duchu Piédouche — ten człowiek nie kłamie.

I dodał głośno:

— Nie dbasz o miedziaki; zrewidowałeś zamożniejszego obywatela.

— Tego właśnie, którego panu opisałem. Szedł przedemną obok węglarzy.

— I tu mówi prawdę — myślał policyant, zgnębiony dokładnością słyszanych szczegółów.

— Potrzebowałem tylko wyciągnąć rękę — dowodził złodziej.

— Ów jegomość bogato na pozór wyglądał?

— Niekoniecznie; nie zabierałem się też zaraz do jego kieszeni, w przekonaniu, że byłby to czas stracony; dopiero gdy spostrzegłem, że ma duńskie rękawiczki, zdecydowałem się na to.

— Tak, rękawiczki duńskie popielate — dorzucił Piédouche z wymuszonym uśmiechem.

— Zauważyłem, że ręką dotykał się często lewej strony żakietu, powyżej serca. To znak, że miał pugilares. My się na tem dobrze znamy.

— Jakże mogłeś ów pugilares wyciągnąć, skoro go strzegł tak pilnie?

— Czekałem, póki nie stanęliśmy przed szklaną ścianą, wtedy on zaczął się przypatrywać zamordowanej kobiecie i nie pamiętał już o pilnowaniu kieszeni. Ta kobieta, jak sądzę musiała być lady angielską, a gentleman... och! był bardzo wzruszony... płakał... trzymał ciągle chustkę na oczach.

— Niema sposobu wątpić dłużej — myślał w duchu Piédouche.

— Skorzystałem więc ,ze sposobności... wyjąłem swój nożyk... ostry, jak brzytwa... może pan się przekonać, przeciąłem ubranie i ściągnąłem pugilares.

— On tego nie spostrzegł?

- Nie — mówił złodziej z uśmiechem zadowolenia. Znam się na swojem rzemiośle. Jeśli mnie przyłapali z ręką w kieszeni tej tłustej baby, to dlatego jedynie, że ktoś z publiczności mnie popchnął, a ja trąciłem ją... zaczęła krzyczeć...

— Czy w tej chwili ów skradziony jegomość był jeszcze przy tobie? — zapytał ciekawie Piédouche.

— Och! nie było go już. Wyszedłszy ze sali, poszedł na lewo, a ja czemprędzej zawróciłem na prawo. Pan rozumie, że mi nie chodziło o jego towarzystwo. Tak się śpieszyłem, że nawet nie zajrzałem do pugilaresu.

— Więc poszedł na lewo — mówił półgłosem policyant.

W tej chwili weszli dwaj sierżanci z oznajmieniem, że żaden z poszkodowanych nie zgłasza się i że tłum rozszedł się spokojnie.

Wejście ich dziwne na Piédouche'u wywarło wrażenie.

— Zaprowadźcie natychmiast tego człowieka do więzienia — mówił z podniesioną głową, rozkazującym tonem. — Poproście głównego dozorcę, żeby go trzymał pod zamknięciem, nie dopuszczając do niego nikogo do jutra rana... Powiedzcie, że prosi o to nr. 29. To mój numer służbowy.

— Bądź pan spokojny; polecimy go czujnej opiece dozorcy.

— Dla pośpiechu weźcie dorożkę. Opłacę ją w więzieniu.

Sierżanci, rozwiązawszy złodziejowi nogi, popychali go ku drzwiom.

Anglik szedł bez oporu i na pożegnanie odezwał się głosem, świadczącym, że ma krew zimną:

— Gentlemanie, dałem ci wszystkie objaśnienia, jakich żądałeś. Polecam się twojej pamięci.

Zaledwie wyszli, Piédouche, chwytając towarzysza za ramię, zawołał:

— Wiesz, cośmy zrobili?

— Cóż cię ugryzło? — pytał Pigache zdumiony.

— Wypuściliśmy na nowo z rąk naszych mordercę. Tak, mordercą był ten człowiek, na którego kazałem ci czekać u wyjścia... Łotr Anglik prawdę mówił... I to przytrafia mi się raz drugi!... Byłem tyle głupi, że nie wzbudziły dostatecznie nieufności mojej jego duńskie rękawiczki, chustka, nieodejmowana od twarzy... Gdyby naczelnik kazał mnie rozstrzelać na podwórzu prefektury, uważałbym to za zasłużoną karę. Ale szkoda byłoby tylko prochu. Jestem zdecydowany utopić się...

— Nie gadaj głupstw, stary... Nie ma do licha nad czem tak rozpaczać. Ptaszek nam uciekł, ale trzymasz pugilares i fotografię. Na odwrotnej stronie musi być adres fotografa.

— Nie inaczej; zakład jego znany w Paryżu, mogę tam być za kwandrans, ale jestem pewny, że nie dowiemy się nic od niego. Kobieta, która każe się fotografować dla swego kochanka, nie podaje nigdy właściwego nazwiska. Zresztą nawet to nazwisko, z dodaniem adresu ulicy, nie objaśniłoby nas wiele.

— A jeśli fotograf widział kochanka owej pani?

— Mogłoby to coś znaczyć, ale namby jeszcze nie wystarczało. Słowo daję, jak mnie tu widzisz, jeśli nie znajdę innych jakich dowodów w pugilaresie, pozostanie mi jedynie starać się o paszport na tamten świat.

— Chwała Bogu, że paszport jeszcze nie podpisany. Zważ tylko, że są trzy przedziały w djabelskim pugilaresie; w środkowym była fotografia. Zobacz, co w bocznych się znajduje.

— Bilety bankowe! — zawołał Piédouche, otwierając jednę z kieszonek — tego tylko brakowało! Wyrok na mnie wydany.

— Dlaczego?

— Jestem zmuszony odnieść pieniądze natychmiast do prefektury i opowiedzieć naczelnikowi całe zajście. Patrz tylko... pięć biletów stufrankowych. To dowodzi, że Anglik nie kłamał. Złodzieje mają przy sobie tyle pieniędzy, ile ich w ciągu dnia ukradną... Nie mogę tych papierków zatrzymać u siebie do jutra... Dość tego, że mnie uważają za głupca... gotowi jeszcze posądzić o nieuczciwość.

— To idź, oddaj pieniądze i kwita.

— Nie rozumiesz, że gdybym chociaż dwa dni nie potrzebował zdawać z nich rachunku, mógłbym jeszcze mieć nadzieję odszukania zbrodniarza... a przysięgałem sobie, że go odnajdę, że odzyskam honor i gratyfikacyę... tymczasem...

W takich słowach wypowiadając rozpacz swoję Piédouche jednocześnie otwierał trzecią kieszonkę pugilaresu. Wyciągnął z niej papier i zaledwie rzucił na niego okiem, zawołał:

— Adres! dwa nazwiska! Och! nie będę dziś jeszcze topielcem w nurtach Sekwany, a malcy w przyszłości będą bogatymi. No, mój stary, mam już na tamtego dobry sposób. Jutro naczelnik podziękuje mi za to, że mu nie odniosłem pieniędzy.

I ciągnąc za sobą towarzysza, Piédouche wybiegł na ulicę, nie pożegnawszy nawet pisarza sądowego.

— On wyraźnie oszalał! — mruczał pod nosem Pigache.

ROZDZIAŁ VII.

Czyste miłości są jak narody szczęśliwe — nie mają historyi.

Od czasu, jak Ludwik Lecoq kochał Teresę Lecomte, żadna chmurka nie zaćmiła cichego i słodkiego życia dwojga narzeczonych.

Niebo ich było pogodne. Bywały nawet chwile, w których syn najsławniejszego *detektywa* naszej epoki żałował prawie, że nie miał więcej przeszkód do zwalczenia, dla zdobycia ręki Teresy.

Poznali się u wspólnych znajomych, w cichem kółku domowem. Podobali się sobie wzajemnie od pierwszego wejrzenia. Kontredans zadecydował o ich przyszłości.

Tegoż jeszcze wieczoru Teresa przyznała się matce, że wysoki brunet, z którym trzy razy tańczyła, podobał się jej daleko bardziej od dwóch zdeklarowanych konkurentów: obywatela ziemskiego z Poitau i bogatego kupca z ulicy Sentier.

Ludwik zaś nazajutrz, skoro świt niemal, poszedł do swego ojca i błagał go na wszystko o zasięgnięcie bliższych wiadomości o swojej tancerce; wyznał mu przytem, że piękne oczy tej panienki zrobiły na nim silne wrażenie, dodał nawet, że gdyby go chciała za męża, gotówby wyrzec się rozkoszy celibatu.

Stary Lecoq znał mnóstwo rodzin i wiedział o nich szczegóły, nieznane innym; nie potrzebował też zbierać informacyi, gdyż poważne i szanowne stanowisko rodziny Lecomte było mu dobrze znanem.

Zresztą taki afekt syna mógł go tylko ucieszyć, albowiem stary policyant marzył już oddawna, by Ludwik mógł wejść do pozłacanej burżuazyi, która już od wieków rządzi Francyą wszechwładnie.

Poszedł prosto do celu, to jest przedstawił się pani Lecomte i oznajmił jej wręcz, że Ludwik kocha szalenie Teresę i że po śmierci ojca swego będzie miał ni mniej ni więcej, jak sześćkroć sto tysięcy franków; że zaś on, ojciec, gotów jest dać mu połowę tej sumy zaraz, aby ułatwić pobranie się młodej parze.

Panna Lecomte miała pół miliona posagu, a milion miał na nią spaść po śmierci matki.

Małżeństwo takie było więc bardzo korzystnem dla pani Lecoq czyli raczej dla pani de Gentilly, albowiem, Ludwik zwykł był odrzucać to pierwsze nazwisko.

Przy swoim majątku i wykształceniu mógł on zostać regentem, wielkim przemysłowcem, a nawet deputowanym.

Oprócz tych wszystkich kwalifikacyi, miał jedną największą zaletę — podobał się Teresie.

Pani Lecomte czyniła uwagi i zastrzeżenia tylko dla formy. Przytaczała naprzód powody banalne: jej córka nie była jeszcze pełnoletnią, młodzieniec nie miał jeszcze stanowiska.

W gruncie rzeczy była rada, że dla Teresy znajduje się mąż wymarzony.

Przytem stary Lecoq, jako zręczny dyplomata umiał podbić i oczarować tę skromną i prostoduszną kobietę.

Przyszły teść może zawsze porozumiewać się lepiej z przyszłą teściową, niż dwaj teście, a zwłaszcza niż dwie teściowe ze sobą.

Wszystko układało się zatem po myśli. W trzy tygodnie po porozumieniu, Teresa i Ludwik byli już zaręczeni, mieli prawo kochać się i powtarzać to sobie w nieskończoność. Ślub był wyznaczony na pierwsze dni lutego.

Co wieczór narzeczony śpieszył do Boulogne, jadł obiad z matką i córką i prowadził konkury, bardzo ożywione i czułe; wracał do domu o dziesiątej.

Po śmierci męża, wdowa Lecomte zatrzymała skromny lokal w Paryżu, a zamieszkała na stałe w Boulogne, w posiadłości, nabytej przez zmarłego bankiera. Pragnęła ona, aby młodzi małżonkowie osiedli tam po ślubie, bo lubiła ciszę i spokój.

Ojciec Lecoq przyjeżdżał na obiad co niedzielę, meldował się zwykle, jako p. de Gentilly. Robił to ustępstwo na rzecz próżności pani Lecomte; chętnie jej dogadzał, nietylko pod tym względem, albowiem to małżeństwo spełniało wszystkie jego życzenia.

Stary policyant studyował od dzieciństwa charakter syna, który był jego pociechą, nadzieją i szczęściem jedynem. Studyował go jednak z taką skrupulatnością, jak niegdyś akta sprawy kryminalnej, wyświetlał wszystkie cechy tego charakteru, wszystkie upodobania chłopca.

Na podstawie długoletnich, drobiazgowych doświadczeń, doszedł do wniosku, że syn ma naturę namiętną i skrytą, że jego chłód i rozsądek były wyrobione, że temperament zadawał kłam powierzchowności. Wychowanie uczyniło z niego młodzieńca statecznego, pracowitego, chłodnego nawet.

Ludwik stronił od towarzystwa kolegów, prowadził się bardzo porządnie, nie słyszano, aby miewał romanse.

Taki statek byłby zachwycił innego ojca, ale p. Lecop był zaniepokojony.

Wiedział z doświadczenia, że cicha woda brzegi rwie, i że ogień tleje pod popiołem i wznieca nieraz straszne i groźne pożary. Bał się takiego pożaru i miał słuszność.

W wieku lat szesnastu, Ludwik, umieszczony w pewnym pensyonacie angielskim o mało co nie wykradł dwunastoletniej panienki, córki sąsiedniego farmera. Pan Lecoq musiał przenieść zbyt zapalonego młodzieńca do Niemiec.

Ale tam było jeszcze gorzej. Chłopak zapłonął do jakiejś Gretchen jasnowłosej i gdyby nie był wszedł ojciec w tę sprawę, mogła się była skończyć skandalem.

Po powrocie do Francyi, Ludwik ustatkował się, ukończył prawo, zdał egzamina i wiódł życie przykładne.

Ale ojciec Lecoq obawiał się zawsze, by grom nie padł w to ciche życie. I oto zamiast burzy, zaświtała sielanka, która miała doprowadzić młodzieńca do matrymonialnego portu.

Ojciec Lecoq dziękował Bogu.

Miłość Ludwika do Teresy nie była wcale spokojną. Rozgorzał dla panienki od pierwszego wejrzenia; było to jakby uderzenie piorunu w samo serce, ten grom miłosny, o którym się tyle czyta w romansach a widuje się go tak rzadko w życiu.

Po pierwszym tańcu z Teresą, Ludwik przysiągł sobie, że ona musi być jego żoną.

I byłby się z nią ożenił, choćby nie miała grosza posagu, choćby sobie tego nie życzyli ich rodzice.

— Bardzo szczęśliwie, że nie urodziła się praczką — myślał ojciec Lecoq, gdy ognisty chłopak przybył mu oznajmić, że kocha się w pannie Lecomte.

Miesiąc codziennych konkurów nie ostudził bynajmniej tego zapału, przeciwnie rozdmuchał go jeszcze bardziej.

Ludwik żył tylko dla Teresy i przy Teresie, a chwile zdala od niej spędzone, były mu udręczeniem.

Musiał jednak zajmować się kłopotliwemi przygotowaniami do rychłego małżeństwa.

Miłość nie uwalnia od pewnych obowiązków, przeciwnie nakłada je i zmusza do myślenia o prezentach, o urządzeniu domu, o likwidacyi kawalerskiego życia.

Przeszłość Ludwika nie nastręczała żadnych trudności w tym względzie. Nie słyszano, aby miał kiedy kochankę, a jego szaleństwa młodociane poszły już oddawna w niepamięć.

A jednak ten przykładny chłopak miewał napady smutku, lecz spojrzenie i uśmiech Teresy rozpraszały je od razu.

Pewnego wieczoru, w kilka dni po owej niedzieli, gdy ojciec Lecoq odmówił kategorycznie współudziału w śledzeniu zbrodni przy ulicy Arbaléte, syn jego przybył do pań Lecomte zafrasowany.

Odzyskał jednak wesołość przy obiedzie, a gdy usiadł z narzeczoną przy kominku, był jeszcze czulszym niż zwykle.

Nie chcąc przeszkadzać młodym, pani Lecomte usiadła opodal i pogrążyła się w czytaniu dziennika. Poczciwa wdowa uprawiała przedewszystkiem rubrykę „wypadków.“ Znalazła też niebawem fakt sensacyjny.

— No! nareszcie wykryją sprawcę podwójnej zbrodni przy ulicy Arbaléte! — zawołała.

— Cóż to za zbrodnia? — rzekła Teresa z roztargnieniem i w dalszym ciągu omawiała projekt podróży poślubnej do Włoch. Narzeczeni opływali właśnie zatokę Neapolitańską, gdy sprawa z ulicy Arbaléte spadła na nich, jak bomba.

— Jakto! — zawołała poczciwa kobiecina do córki — nie słyszałaś, że zamordowano kobietę... że wpakowano jej zwłoki do skrzyni... i że ten nędznik zabił także kupca — niejakiego p. L'heureusa... Znałam go niegdyś... Miał pieniądze, umieszczone u twego ojca.

— Czy znasz *Graziellę?* — pytał Teresę Ludwik.

Wolała rozmawiać z narzeczonym, niż słuchać tej strasznej historyi.

— Nie czytałam jeszcze tej książki... mama nie pozwala, — ciągnęła dalej — wiem jednak od przyjaciółki, że tam mowa o łódce... Kupisz łódkę... prawda? Będziemy na niej opływali zatokę w noce księżycowe.

— Te dziewczęta myślą tylko o głupstwach — mruknęła wdowa, obrażona lekkomyślnością swej córki. Więc cię nic nie obchodzi, że mordują kobiety w Paryżu... Zobaczysz jeszcze nas tu kiedy zabiją... Dom odosobniony wśród lasu, a zimą nie mamy sąsiadów.

— Ludwik nas obroni — rzekła Teresa, spoglądając na ukochanego z zachwytem i dumą.

— Wszak Ludwik będzie cię obwoził po zatoce Neapolitańskiej, ja pozostanę tutaj sama na pastwę rzezimieszków i morderców.

Sądzę, że pobyt w Boulogne nie przedstawia większego niebezpieczeństwa, niż mieszkanie przy ulicy de la Paix; — odparł młodzieniec — zresztą, jeżeli pani boi się zostać, to jedźmy we troje.

— Nie, moje dzieci, przeszkadzałabym wam tylko. Pamiętam, po ślubie z moim mężem nieboszczykiem, spędzaliśmy trzy tygodnie w Fontainebleau... Las tamtejszy nie wyrównywa zapewne pomarańczowym gajom... pamiętam jednak, że było nam bardzo dobrze we dwoje, w zupełnem odosobnieniu.

Teresa nie odzywała się, widać było jednak w jej oczach, że jest tego samego zdania, co matka.

— Zresztą żartowałam; nie boję się wcale — rzekła po chwili pani Lecomte. Mamy dzięki Bogu poczciwą służbę, którąby dała się za nas porąbać. Ale przyznaj, Ludwiku, że policya powinna by zapobiegać takim zbrodniom, a przynajmniej aresztować ich sprawców.

Gdyby pani Lecomte wiedziała, że ojciec jej przyszłego zięcia miał za zadanie tropić przestępców, nie byłaby się odzywała w ten sposób, znając przysłowie: *Il ne faut pas parler de corde dans la maison d'un pendu.*

Ale p. Lecoq de Gentilly nic jej nie wspomniał o przeszłości ojca. Podał się za syna wzbogaconego kupca, bo za takiego sam się uważał. Zresztą wdowa zasięgła wiadomości konkurencyi i otrzymała jak najlepsze.

Prefektura policyi mogłaby jedynie powiedzieć, kim był p. Lecoq, a prefektura w podobnych razach bywa nadzwyczaj dyskretna, z wyjątkiem gdy chodzi o przeszkodzenie jakiemu karygodnemu czynowi, a w tym wypadku nie miała powodu przeszkadzać małżeństwu syna swojego najdzielniejszego poplecznika, który jej służył z wielką energią i nieposzlakowaną uczciwością.

Lecoq był agentem bez trwogi i bez zarzutu i zdobył sobie majątek na drodze prawnej. I czemużby jego dawni zwierzchnicy mieli mu przeszkadzać w skoligaceniu się z rodziną uczciwą? Czemu mieli go czynić ofiarą burżuazyjnych przesądów?

Pani Lecomte miała takie przesądy i gdyby wiedziała o istnem źródle fortuny p. Lecoqua, czułaby się upokorzoną w swej miłości macierzyńskiej.

Ale panna Lecomte byłaby poślubiła Ludwika pomimo wszystkiego, bo go kochała szalenie.

To dziewczę niebieskookie miało także naturę namiętną, ale inaczej niż jej narzeczony.

Ludwik był porywczy, ona wylana.

Ludwik zapalał się, ona się rozczulała.

Teresa stworzona była do poświęceń.

Dając jej piękność, wdzięki i dobroć, Bóg stworzył ją na żonę i matkę.

Chciała poświęcić swe życie ukochanemu i gdyby trzeba było umierać za niego, nie zawahałaby się ani na chwilę.

Ale też nie darowałaby mu, gdyby pokochał inną i wierzyła mocno, że zajmowała jego serce niepodzielnie, że była jego pierwszem, jedynem i wyłącznem ukochaniem.

Wychowana w środowisku burżuazyjnem, w pojęciach trochę ciasnych, ale uczciwych, nie słyszała nawet o zepsuciu, grasującem w Paryżu i pewna była, że jej narzeczony był zarówno niewinnym, jak i ona.

Ale teraz myślała tylko o swojem szczęściu, a przyszłość ukazywała jej się bez chmury.

Straszne opisy zbrodni, któremi przepełnione bywają dzienniki, nie zajmowały jej wcale, mało się też troszczyła o niedbalstwo policyi.

Ludwik, obojętny również na „wypadki“, poczytywał sobie jednak za obowiązek, odpowiedzieć na uwagi pani Lecomte, uskarżającej się, że tyle zbrodni pozostawało nieukaranych.

— Wszak pani mówiła przed chwilą, że policya jest na tropie zabójcy tej nieszczęśliwej kobiety: — spytał ze skwapliwością, świadczącą, jak bardzo chce być miłym swojej przyszłej teściowej.

— Jeszcze nie wykryto mordercy — odparła wdowa. Zabalsamowano już ofiarę i wystawiono w Mordze. Jest nadzieja, że ją ktoś pozna, a wtedy...

— O, mamo! — przerwała jej Teresa — po co mówić o takich smutnych rzeczach! — I zwracając się do Ludwika dodała; — A bransoletka? Chciałeś ją przynieść dzisiaj. Ręczę, żeś zapomniał. Ja nie zapominam o niczem ani nikim. Nie potrafiłabym zapomnieć.

— Przepraszam — rzekł młodzieniec zmięszany. — Chciałem pójść do jubilera przed udaniem się tutaj, ale mnie coś przeszkodziło.

— Cóż takiego? Wszak mam prawo wiedzieć? — spytała Teresa z uśmiechem.

— Zatrzymała mnie sprawa o... kancelaryę regentalną.

— To żadna wymówka.

— Jutro błąd swój naprawię. Dostaniesz bransoletkę, najdroższa.

— Spodziewam się, kochany Ludwiku, — wtrąciła pani Lecomte — że nie będziesz się rujnował na prezenta ślubne. Rozpoczynacie gospodarstwo z piękną fortuną, ale trzeba być rozsądnym i oszczędność nie zawadzi. Mój mąż ciągle mi to powtarzał i miał słuszność. To też proszę was, nie...

Te rozsądne przestrogi zostały nagle przerwane wejściem służącego, tego samego, który przed kilku dniami wprowadził był p. Tolbiaca.

W przedpokoju czeka jakiś człowiek, który chciałby się rozmówić natychmiast z panem de Gentilly — zameldował lokaj.

— Cóż to za jeden? — spytał Ludwik zdziwiony.

— Proszę pana, to jakiś obszarpaniec.

— Żebrak zapewne. Nie pojmuję, czego taki człowiek chce odemnie.

— Musi pan wyjść do niego — wtrąciła Teresa — nie trzeba zapominać o ubogich. Może on z głodu umiera. Pan się zapewne boi, że będę się nudziła w pańskiej nieobecności. Otóż nie. Przeczytam sobie kilka kartek ciekawej powieści „Les Demoiselles du Rouçay“ Alberica Suond. Niech pan bawi długo, bardzo długo, bo chciałabym się dowiedzieć, czy te siostry wyszły za mąż...

— Proszę pana to nie żebrak — wtrącił służący. On powiada, że przyszedł w bardzo ważnej sprawie.

— Czyżby to był ten sam człowiek, który chciał koniecznie ze mną się rozmówić, a którego p. de Gentilly przyjął przed kilku dniami? — spytała pani Lecomte.

— O, nie, proszę pani — zaprzeczył służący. — I ten nie wygląda na ubogiego, ale ma dziwną twarz.

W chwili tej właśnie ta dziwna twarz ukazała się we drzwiach salonu. Teresa ujrzała pierwsza dwoje szarych oczu, wpatrujących się w nią przenikliwie.

Pani Lecomte zobaczywszy intruza, krzyknęła przerażona. Opis morderstwa w dzienniku rozdrażnił jej nerwy. Ludwik był bardziej zdenerwowany, niż wylękniony.

— Wyrzuć tego człowieka za drzwi — rzekł do lokaja.

Ten odwrócił się dla wykonania rozkazu, ale już było za późno. Intruz wszedł do pokoju i drzwi za sobą zamknął. Szedł z kapeluszem w ręku, kłaniając się dokoła.

Nie wyglądał coprawda na gentlemana, a tem mniej na milionera; ubrany był, jak robotnik, ale swą drogą nie robił wrażenia łotra, ani żebraka.

Wdowa, trochę uspokojona, przyglądała się bacznie jego twarzy, tchnącej uczciwością i gotowa była przyjść mu w pomoc.

— Kto panu pozwolił wejść tutaj? — zawołał Ludwik, podchodząc do intruza. — Czego chcesz? Coś za jeden?

— Przepraszam pana... panią i całe towarzystwo — odparł pokornie przybysz. Wszak mam zaszczyt mówić z p. de Gentilly i z panią Lecomte?

— Tak — odparła wdowa, pragnąc zapobiedz gwałtownej scenie. — Wytłómacz pan, o co chodzi?

— Przepraszam panią — zaczął nieznajomy, spoglądając na służącego z pod oka — ale to, co mam powiedzieć, jest poufnem i...

— Tego już za wiele! — krzyknął Ludwik i postąpił krok naprzód z zamiarem wyrzucenia natręta, ale pani Lecomte wstawiła się za nim.

— Ludwiku, proszę cię — szepnęła.

A do starego sługi, rzekła:

— Wyjdź, mój Antoni, tylko się nie oddalaj.

Nieznajomy nie cofnął się przed nachodzącym na niego p. de Gentilly, przeciwnie postąpił o kilka kroków naprzód i przyglądał się bacznie młodzieńcowi. Oględziny trwały kilka sekund, nie więcej, ale ten utrapiony człowiek umiał przeniknąć do głębi ludzkiej duszy.

Teresa pochwyciła to badawcze spojrzenie i zadrżała, jak gdyby jakie niebezpieczeństwo groziło jej narzeczonemu.

Teraz gdy jesteśmy sami — odezwała się pani Lecomte — wytłómacz że nam pan, po co przyszedłeś?

— Rzecz bardzo jasna — odparł nieznajomy. — Znalazłem przed chwilą pugilares.. z pieniędzmi.. dużo w nim bardzo pieniędzy.

— No i cóż?

— Nie jestem ja, co prawda, bogaty, ale za to uczciwy. A ponieważ w pugilaresie było nazwisko i adres pani Lecomte w Boulogne, więc powiedziałem sobie: zamiast złożyć pugilares u komisarza, pójdę do tej pani... oszczędzę tem nocy bezsennej osobie, która ten pugilares zgubiła.

— Postąpiłeś pan bardzo uczciwie — zawołała gospodyni domu. — Ale zachodzi pomyłka. Ani ja ani moja córka nie wychodziłyśmy dziś wcale. Nie mogłyśmy zatem zgubić pieniędzy.

— A więc może p. de Gentilly?... i to nazwisko znalazłem w pugilaresie.

(Ciąg dalszy nastąpi.

Do Moskali.

Nieznany dotąd wiersz Zygmunta Krasińskiego. *)

Wiem — dla mnie Sybir — powróz zgotowany,
Jeśli przed wami nie uniżę czoła,
Gdy duch mój krnąbrny kornie nie zawoła:
„Nie Bóg mi Panem — lecz wyście mi Pany!“

Lecz dajcie pokój — bo ze mnie nie będzie
Sługa pokorny — z ojców mych się rodzę —
War krwi nie hańbą, lecz śmiercią ochłodzę,
I sześć stóp ziemi znajdę sobie wszędzie...

Tam dom mój ciasny, lecz pełen wolności,
Lepszy, niż zamki w których królujecie.
Żaden z was do mnie nie przyjdzie tam w gości,
Pierwszy raz będę bez was na tym świecie..

Wolno wam mówić, żem dziwak, żem dumny —
Prawda, trzymają się mnie dziwne smaki...
Od słońca z wami — wolę ciemność trumny,
Od twarzy waszych — szkieletów robaki!...

Jest iskra we mnie — której nikt nie zdusi —
Jest duma we mnie — której nikt nie skusi,
By pokłon panom widomym oddała —
Niechaj więc ginie — nietknięta i cała!

Gdybym was zdusić mógł w jednem objęciu,
I strącić wszystkich do jednej otchłani...
Chciałbym po waszem zostać wpiekłowzięciu,
I żyć dla ziemi, dla mej drogiej Pani!...

Lecz Pani moja już na marach kona —
Pruchna światełkiem tli jej oko śniade...
Krucyfiks wzięła w ręce bardzo blade,
I trzy sztylety tkwią w głębi jej łona...

Ja nad tem łożem, ja trzymam gromnicę,
Ostatnim błyskiem oświecam Jej lice,
I liczę chwile, gdy umrze ma droga —
I ja z nią pójdę gdzieś tam — szukać Boga.

Nie myślcie o mnie — proszę was — o wrogi!
Daremna praca! — oszczędźcie jej sobie —
Bo hańby nie chcę, a nie umiem trwogi...
Na mnie pokusę trza wynaleźć — w grobie...

A gdy umarłych wy kusić zdołacie,
I podlić serca pod krzyżem cmentarzy —
Wtedy dopiero w mej podziemnej chacie
Ujrzycie podłość — na mej trupiej twarzy!...

Na was więc czekam — tak — gdy serce pęknie,
Ale nie wprzódy — bo z mlekiem wyssałem,
Ze was niecierpieć — jest święcie i pięknie,
I ta nienawiść... mojem dobrem całem!...

Chyba ją sprzedam za polską koronę...
Za co innego — nawet za zasłonę,
Co kryje posąg boga nieznanego —
Wszechwiedzę dobra i wszechwiedzę złego —

Nie chciałbym zostać błękitów aniołem,
I skrzydłem światu panować z oddali —
Gdybym miał wprzódy bić przed wami czołem,
A wy nademną z biczem pańskim stali...

Tak żyłem — żyjąc — tak konając — zginę —
Wiem, że ufacie w wielką przyszłość — [w siłę —
Niech i tak będzie — wam los, gdy przeminę
Da świat ten cały — mnie jedną mogiłę..

Paryż 5. 12. 1900.

Nadesłał „Pracy“ Z. Z.

*)Wiersz ten przysłany był przez ś. p. Zygmunta, w liście pisanym z Karlsbadu do Adama Sołtana.

Ustęp z Pamiętników Ułana z roku 1831.

(Ze starego manuskryptu.)

(Ciąg dalszy.)

Strzelcy nasi z bagnetem w ręku, z okrzykiem hurra!! śmiało rzucili się naprzód, a że zaraz od podnóża Ponary stromą poczynają się ścianą, więc chwytając się za krzaki jedną, a drugą dzierżąc karabin, drapią się jak koty w górę! Moskale spokojnie ich na platformie oczekują, aż dopiero przypuszczonych jak najbliżej pod wierzchołek, kolbami uderzają całą siłą, i masami strącają naszych w przepaście. Tymczasem gdy ich 40 dział miotają wciąż strasznym na nas ogniem, z naszej strony 3 tylko słabo się odstrzeliwają, reszta musiała stać nieczynnie, bo tam nasi rozpaczliwie walczą na przedzie. Nasz pułk stał już od rana samego w assekuracyi dział lekkokonnych pod straszliwym ogniem całej działobitni nieprzyjacielskiej. Dowódzca chcąc nas niejako uchylić, zmienił pozycyą i podsunął nas pod las, u stóp Ponar rozciągający się, ale nam to nic nie pomogło. Nieprzyjaciel bowiem ujrzawszy to nasze poruszenie, rozdzielił swoje bateryе, i połową na działa, a drugą połową na nas przez elewacyą strzelając, za równo, po za tą osłoną, jak i pierwej nas okropnie dziesiątkował, zatem wróciliśmy na nasze dawne stanowisko, a jenerał Chłapowski zasłonił teraz kolumnę naszą owym pułkiem kosynierów litewskich, aby i ich do ognia wprawić i żeby jakoś zamaskować nim obroty naszego pułku. Ale że jak mówiłem, Litwin, gdy się już raz wprawi do ognia, to stoi jak słup, nim to atoli nastąpi, tchórz, jakich mało! owóż tu gdy kula wyrwała im rotę jedną, cały pułk porzucił kosy, plackiem padł na ziemię, i z krzykiem niesłychanym, chyłkiem po za nas się cofając. Skoro się na front dostali, rozpierzchli się na wszystkie strony tak, żeśmy już więcej tych rycerzów nie oglądali. W tem, (a była już może godzina druga z południa, na przedzie bój wrzał wciąż zacięcie i bez żadnej dla obu stron szansy, upał był niesłychany, a pragnienie i głód dokuczał nieznośnie), naraz długim wężem z pomiędzy Ponar poczęły się traktem wysuwać kolumny jazdy rosyjskiej. Były to 3 pułki; z tych jeden ułanów konnopolskich 21szy ułańsko - tatarski i pułk Leibgwardyi kozaków regularnych. Zamiarem ich było zabrać nasze działa. Staliśmy jak się rzekło w assekuracyi, w kolumnie niezmiernie rozwlekłej. Niebawem jazda ta całą masą uderza na nas 1-szy szwadron, który chcąc zasłonić działa, wysunął się na przód i łamie go. Szwadron pierzchnął, lecz że w tej właśnie chwili uderzył nasz drugi, więc się zawrócił, sformował i razem uderzamy. Lecz znowu razem złamani, cofamy się, aż poparci następnie przez 3-ci szwadron, raz jeszcze się zwracamy i wpadamy rozpaczliwie w środek tej nawały, kłując i rąbiąc na wszystkie strony, co się jeno nawinęło pod rękę. A byłoż tam co rąbać i kłuć! Bo to choć już w rozsypce, tak się zrobiło gęsto i ciasno, a od piaskiem pod tylu kopytami wzniesionej kurzawy tak ciemno, żeś na trzy kroki nie rozeznał swego od wroga, więc uderzałeś wciąż, aleś nie zgadł komu się to dostało.

A w tej ciemności i ciasnocie takiej, żeś ręki do cięcia lub pchnięcia dobrze przed siebie wyciągnąć z orężem nie zdołał, borykając się na ślepo z jakie 16 minut, dopiero gdyśmy się szerzej rozsypali i kurzawa opadać nieco poczęła, przedstawił się w całej okropności oczom naszym obraz zniszczenia i zgrozy, jakie ta nierówna walka w tak krótkiej zrządziła chwili. Pole zasiane było trupami i konającymi. Z obu stron więcej atoli nierównie padło Moskali, raz że byli liczniejsi, a powtóre że pułk ich 21 tatarsko-ułański, mając takiż sam prawie uniform jak nasz 1-szy ułanów, t. j. granatowy z amarantem, takież czapki i gniade konie, jedno, że chorągiewki u lanc oni białe z żółtem, a my mieli z amarantowem, na co się jednak w takiej ciemności i ciasnocie nie dawało baczności. — Więc chociaż z naszej strony często gęsto chlasnęło się po swoim, to za to i oni między sobą mordowali się srodze, a że liczniejsi, więc się też i razili gęściej. Okoliczność ta ratowała nas nie mało, bo gdyby nie to, kto wie, czy jedna noga naszych byłaby z tak ciężkiej wyszła sprawy. Więc gdzieś się jeno obejrzał, dokoła rozrzucony na piasku leżał gęstym pokotem trup wojowników stron obu lub też ciężko pasował się ze śmiercią ranny, wzywając ratunku, lub dla ukrócenia męki przez litość dobicia. Gdzie indziej koń z urwaną nogą, na trzech goni, rżąc żałośnie za swoim mijającym go szeregiem i pcha się koniecznie w znaną mu lukę. —

A tam żołnierz pozbawiony swego wiernego towarzysza, pieszo ucieka przed tuż, tuż doganiającym go wrogiem, aż któryś z kolegów znienacka podał mu konia wskoczył lekko i zniknął w kurzawie, a do koła gonitwa wśród ciągłych strzałów, i niby uraganu głucha wrzawa, i pojedyńcze uporczywe walki toczą się wciąż zażarcie, bo tamci nas wytępić chcą co do nogi, a my każdą stopę ziemi z niesłychaną nadludzką bronimy zaciętością i każde życie drogo, bardzo sprzedajemy drogo.

A dramat ten, ileż to efektownych, porywających, zdolnych nawet emocyą zrobić w najtęższej dzisiejszej duszy, scen w sobie zamknął? Oto parę takich ustępów, poważam się wydobyć jeszcze na jaw z długiego zapomnienia. Jeden z plutonów naszego pułku, w nocy przed bitwą, jeździł na patrol i dotarł aż pod Troki. Podoficer tego plutonu, młody bardzo jeszcze człowiek, gdzieś dostał tam wina, a uraczywszy się nie źle już na miejscu, napełnił sobie jeszcze nim na drogę manierkę. Skoro zaś świt, stanął do boju, ale że stał na koniu wśród upału na czczo i nie wyspany przez dzień cały, chcąc się jakoś krzepić, gdy częściej jak należało do swojej zaglądał manierki, skończyło się na tem, że stracił całkiem przytomność i głowę, a w tem wypadła na nas szarża. Tu wśród największego jeszcze zamieszania, dojrzał w poblizkości konia oficerskiego, rozciągnionego na ziemi, a na nim mantelsak, dość niezłej objętości, a że był do tyla pijany, że rozsądek odleciał go całkiem, więc przyszła mu myśl szalona, konia swego wstrzymać, zleźć, i mantelsak odpinać. Alić zaledwo mimo perswazyi kole-

gów, nogę na ziemi postawił i nad poległym koniem się schylił, w tej chwili nadpłynęła nieprzyjacielska znów fala, przed którą nasi pierzchnąć musieli, i w oka mgnieniu biednego szaleńca na bigos rozsiekano! Ten wypadek niech będzie nauką i przykładem, że wśród bitwy utraconej odwagi na dnie butelki szukać nie należy; to raz, a powtóre, że ani się godzi, ani warto łakomić się żołnierzowi na jaką bądź zdobycz, bo ta prócz tego, że jest zawsze hańbiącą, najczęściej mu bokiem wylezie.

Był wtedy jeszcze w szwadronie naszym kadetem mój wielki przyjaciel, a rówieśnik co do służby, Jan Morsztyn, później oficer także. A był on siły niezmiernej, dobry jeździec i tęgi co się zowie ułan. Kiedy nas tak zrazu obskoczono do koła, że to aż zawrzało i zagotowało się jak groch w garnku, on pierwszego, co do niego pędził ułana rosyjskiego, jak pchnął lancą w piersi, tak i grot z chorągiewką przeszedł na wylot plecami, a nie mając już czasu lancy na powrót wyciągnąć, gdy ułan z konia spadł, więc i lancę mu także sobą z rąk wyrwał. Chcąc się tedy czemś bronić, jął się do pałasza, ale pałasz zdawna nie dobywany tak zardzewiał w pochwie, że ani go rusz dobyć. Wprawdzie wisiały mu pistolety na smyczy, ale wystrzelone, czy nienabite, a tu bitwa gorąca wre do koła, a on z gołemi rękami biegnie i woła: Lancy lub pałasza, dajcie kto w Boga wierzy, bo mnie zakolą!... Jakoś tłum rozdzielił nas w tej chwili z sobą, i byłem pewny, że mój Jaś zginął; gdy po skończonej sprawie ujrzałem go, lekko wprawdzie był ranny, ale zresztą cały jeszcze, i z pałaszem tego okrwawionym w ręku, oprócz tego co miał u boku, zapytany, jak sobie poradził? opowiedział nam, że z rozpaczy nie wiedząc już co począć, jakiemuś moskiewskiemu ułanowi, co go mijał pędzony od 2ch naszych, niespodzianie w przelocie wyrwał z pochwy pałasz, i nim później zabijał, i bronił się na przemiany.

(Dokończenie na tąpi.)

SALICHA.

Nieznanego pełna gwaru
Cała okolica,
Ciągnie szlakiem od Lubaru
Wołyńska konnica.

Z bronnych zębów lance kute,
Jak niegdyś przed laty,
Miny gęste, wąsy sute
I dzielne bachmaty.

Ciągnie szlakiem młodzież dziarska,
Koń pod każdym raźno parska,
A po stepie i po lesie
Wicher odgłos pieśni niesie.

Broń chwycili po staremu
Młodzi, ojców śladem,
Co szli tędy, lat już temu
Trzydzieści z okładem.

Różycki im przewodniczy,
Hetmańskie to dziecko!
Po rodzicu on dziedziczy
Sławę staroświecką.

Hej od lasu, po nad wzgórza,
Zbrojny hufiec się wynurza
Od Salichy, tam w oddali,
Dąży szary tłum Moskali.

A naczelnik już na przedzie,
Z okiem rozjaśnionem,
W szyk bojowy szparko wiedzie
Szwadron za szwadronem.

„Baczność!“ W miejscu hufiec mały
Stanął — cisza głucha —
Lance rzędem zajaśniały
Wpół końskiego ucha.

Już nadciąga Moskwy chmura,
I wrzask słychać: hurra! hurra!
Za rowami w strony cztery
Rozbiegli się tyraliery.

Pan naczelnik skinął szablą:
Marsz szwadron Zasławski,
I wiarusy z miną djablą
Już gonią przez piaski.

Niby burza rozszalała,
Łamiąc co napotka,
Hufiec przedarł się jak strzała,
W czworobok do środka.

Jak ognista straszna żmija,
Żwawo w ogniu się uwija,
I moskiewska czerń z hałasem
Rozprószyła się za lasem.

Hej co trupa, na wsze strony,
Nasi tam nasiekli,
A Moskale przez zagony
Gnali jakby wściekli.

I gdzie spojrzeć wszędy w koło,
Nie stało Moskali,
A powstańczy pułk wesoło
Dalej w drogę wali.

I po stepie piosnka płynie
O tej Polsce co nie zginie,
I w dal leci tentent jazdy,
A na niebie świecą gwiazdy.

Dzisiaj — jedni w grobach drzemią,
Drudzy, gdzieś po świecie...
Za rodzinną sławną ziemią
Tęsknota ich gniecie.

Na obczyźnie serca chrobre
Cieszą siebie z cicha:
Hej powrócą czasy dobre,
Powróci Salicha...

Wszak zły urok minąć musi,
Wrócim jeszcze w stepy Rusi.
I znów zabrzmi na rozłogu
Okrzyk stary — Sława Bogu!

T. Z.



Kronika.

Święta Bożego Narodzenia! Na samo wspomnienie tych najpiękniejszych, najrozkoszniejszych świąt w roku — rwie się ze wszystkich ust i piersi do nieba jedna nuta, jeden nieustający okrzyk radości, wesela....

Rankiem już w dzień wigilijny, który jest świętem pokoju i miłości, rozlegają się we wszystkich domach chrześciańskich radosne głosiki dziecięce. Jak pszczoły w ulu, dzieci w dniu tym huczą, rozbrzmiewając tonami wesela; ich niewinne serduszka napełnia uczucie niewysłowionego szczęścia w oczekiwaniu spełnienia długich marzeń, które wcielają się w gorejącą choinkę, ozdobioną mnóstwem podarunków, łakoci i blasków...

Kto z nas nie pamięta tych chwil promiennych? Kto na ich wspomnienie nie doznaje serdeczniejszych wzruszeń?

Dłatego wszyscy tak szczery udział w tem święcie bierzemy; patrząc na radość dzieci naszych, sami wskrzeszamy w sobie wspomnienie własnej młodości i rozkosznego dzieciństwa.

Z ukazaniem się pierwszej gwiazdki na niebie, zasiadamy do wspólnej wieczerzy, ażeby się podzielić opłatkiem z ukochanymi i życzyć sobie szczęśliwszej doli. Ale nietylko w ścisłem kółku rodzinnem zamyka się ta uroczystość, staropolskim zwyczajem łamiemy opłatek także z domownikami, ze służbą naszą, bo w dniu tym wszyscy łączymy się wspólnie, zacierają się wszelkie różnice, czujemy się jedną wielką rodziną.

Choinka zapalona migocze, jak rój gwiazdek na niebie. Dzieciny nie posiadają się z radości: serduszka w ich piersiach biją tak mocno, w oczach łzy się kręcą, błogość niewysłowiona przepełnia ich duszyczki czyste i anielskie.

A obok nich w serdecznym uścisku rodzinnym stoją starsi, zapatrzeni w młode pokolenie, w rzewnej o jego przyszłości zadumie. I nie dziw, bo w naszem biednem, skołatanem społeczeństwie, przyszłość młodzieży nie przedstawia się zbyt różowo, i obiecująco, nie wolno nam jednak załamywać rąk i uginać się pod ciężarem coraz to nowych rozporządzeń i niespodzianek, któremi nas nasi najserdeczniejsi obdarzają. Kto wie, czy nas z ich strony nie czekają znów jakie podarki gwiazdkowe, które smutnem echem odbijają się w naszych sercach i na pewien czas nas przytłumią?

Trudno zwątpić o sprawiedliwości i miłosierdziu Bozkiem, przecież przeszliśmy już tak straszne próby i kary, że chyba i nam zaświeci gwiazdka lepszej doli. To też dzieląc się opłatkiem przyrzeczmy sobie, że odtąd gorliwiej zajmiemy się nauczaniem naszych dzieci, dawajmy chętniej i więcej na nasze czytelnie ludowe i instytucye narodowe. Przyrzeczmy sobie wzajemną miłość i zgodę, rozsądną oszczędność i skromność, a nie sprzedajmy przez ten rok ani jednej morgi ziemi naszej w obce ręce, a sprawimy najmilszą gwiazdkę naszej ukochanej Ojczyźnie!

Wigilja Bożego Narodzenia jest równie miłą dla biednych jak dla bogatych. Pierwsi cieszą się, że szczęśliwsza połowa ludzkości w dniu tym uroczystym pomyśli o swych nędznych nieraz może głodnych współbraciach i wesprze ich jałmużną. Bogaci cieszą się, że będąc od losu lepiej obdarzonymi, rozporządzając znaczniejszemi funduszami, mogą chociaż w części przyczynić się do złagodzenia niedoli, obetrzeć niejedną łzę i uprzyjemnić — chociaż na chwil kilka szare, niewesołe życie nędzarzy. Piękny przykład tej ofiarności dali kupcy nasi zezwalając w swych składach na sprzedaż rabatową. Publiczność kupująca płaci zwykłe ceny, a jedynie panowie kupcy składają pewien procent z osiągniętej sumy na cele dobroczynne.

Słyszę, że komitet „Przytuliska dla dziatwy szkolnej“, „Towarzystwo Stella“ i „Towarzystwo Warty“ krzątają się około urządzenia gwiazdki dla „maluczkich.“

Niech dzień Wigilijny będzie błogosławiony! W dniu tym zda się, iż przed oczyma dusz ludzkich niebo się otwiera, a razem ze śpiewem „*Bóg się rodzi*“ w sercach naszych brzmią pełne akordy pieśni: „*Wiara, Miłość i Nadzieja.*“

W tej myśli dzielę się opłatkiem Wigilijnym z Czytelnikami „Pracy“, życząc Im Świąt zdrowych i wesołych!

Acer.



Z teatru i koncertu.

Zeszłosobotnia premiera zaciekawiła publiczność, ponieważ autorką jej jest kobieta i to młoda panienka, to też teatr był zapełniony i widzowie z całem zajęciem śledzili rozwój akcyi na scenie. W pierwszym zaraz akcie dowiadujemy się, że ojciec bohaterki (panna Wysocka) pan Jastrzembiec odebrał sobie przed dziesięciu laty życie, lecz na łożu śmiertelnem zobowiązał ją przysięgą, że jako najstarsza postara się, aby przynajmniej jedno z dzieci obrało karyerę artystyczną i zyskało sławę i uznanie, której jemu pomimo talentu poskąpiono. Jedyny syn jest inżynierem, ale siostra ogromnie przejęta wspomnieniem ostatnich chwil ojca, spowodowała go, aby napisał dradramat i podał do konkursu. Wszelkie nadzieje spełzły na niczem, dramat nietylko nagrody, ale nawet wzmianki nie uzyskał. Stanisław zrażony i dotknięty tym zawodem odstępuje od zamiaru zostania literatem i powraca do praktycznego życia, ale Janina zahypnotyzowana zupełnie ostatnią wolą ojca, porzuca donośną posadę nauczycielki i pragnie występować na scenie. Nie słucha ani próśb matki (pani Królikowska), ani perswazyi doświadczeńszych przyjaciół brata, samych młodych artystów, którzy jej przedstawiają, że sztuka i talent muszą się same objawić, zrobić się to nie da i kto ją najbardziej pragnie pochwycić ten jej nie znajdzie. Kształci się, lecz pierwszy debiut się nie udaje, a zbyt jest dumna, by jeszcze dalej próbować. Matkę uważała zawsze za osobę niższą umysłowo, żyła życiem własnem i powtarzała przy każdej sposobności, że się nie rozumieją, dopiero po powrocie z teatru i wielkim zawodzie, znalazły się ich serca we wspólnej boleści, matka opowiedziała jej część swego życia i zrozumiały się wreszcie. Pani Jastrzembiec miała jeszcze jedną córkę Winię (panna Teodorowicz) którą cała rodzina uważała za upośledzoną umysłowo; kochano ją, pieszczono, ale tylko z litości. Kiedy tak matka z Janiną pocieszały się wzajemnie w swych smutkach serdecznych, nadeszła i Winia, i zaczęła perswadować siostrze, aby się nie poddawała rozpaczy, bo świat jest taki piękny; bawiąc na wsi tyle się nasłuchała śpiewu ptasząt i te melodye tak czarownie brzmią w jej uchu, że spróbuje zagrać. Istotnie też wyszła prześliczna i rzewna melodya z pod jej palcy. Janina zerwała się odurzona i porwana tą grą dziecka, wołając: To ona artystką! artystką z Bożej łaski. Lecz matka chciała obronić swe ukochane, najmłodsze dziecko od nowych rozczarowań i zaczęła opowiadać Janinie, jak ojciec ich upadł moralnie, że był alkoholikiem, bił ją i wreszcie nieszczęśliwie skończył. Przy tej ostrej wymianie słów i zdań nie spostrzegły obiedwie, że Winia, która nic z przeszłości nie wiedziała, przyszła i była obecna rozmowie, która ogromne sprawiła na niej wrażenie i przyprawiła o chorobę. Starannej i serdecznej pielęgnacyi udało się uratować biedne dziecko, które jeszcze raz swą grą łączy serca matki i Janiny.

Taka jest treść sztuki, która sprawia wielkie wrażenie.

Artyści grali starannie. Tak panie Wysocka, Królikowska i Jakubowska jak i panowie Kawicki, Berski, Czerniak i Wysocki wywiązali się z swych ról dobrze.

W ubiegły czwartek koncertował na sali teatru „Apollo“ Stanisław Barcewicz, profesor przy warszawskim konserwatoryum. — Artysta znany nam już z dawniejszych występów w Poznaniu, nie mam też zamiaru pisania wyczerpującej recenzyi z jego koncertu, wspomnę tylko w krótkich słowach o jego czwartkowym występie, żeby mu złożyć należny hołd i podziękę za to, że nas znów swą grą uraczył. Barcewicz jest dziś prawdziwą chlubą sztuki polskiej, śmiało można go postawić na równi z Pecznikowem lub Sarassatem. Na początek zagrał artysta koncert G-moll Brucha i od razu tyle wlał w swą muzykę liryzmu, śpiewu i uroku, że olśnił słuchaczy. Prawdziwe czarowne tony wydobywał z swych skrzypiec. Perpetuum mobile Riesa dały pole do pokazania niezwykłej techniki Barcewicza. Podziwialiśmy bajeczną wprawę, szybkość, a przytem czystość i pewność w wykonaniu tej iście wyścigowej gry palcy i smyczka. „Fantazya“ Fausta w opracowaniu Sarassatego wypadła równie świetnie jak poprzednie utwory i tutaj pokonał artysta wszystkie trudności techniczne, któremi sztuka ta najeżona.

Istnem cackiem muzycznym był Zephir Hubay'a, zdawało się, że chyba muszka brzęczy po strunach, tak lekkie było pociągnięcie smyczka; chwilami miałem złudzenie, że wietrzyk lekki muska i pieści konary drzew i unosi się nademną, tak przecudnie mistrz naśladował zefir. To też oklaskom nie było końca, obdarzono mistrza wspaniałym wieńcem i zmuszono do dodania „Melodyi“ Paderewskiego. Koncert zakończył się Polonezem Wieniawskiego, odegranym przez Barcewicza z iście polskiem zacięciem, brawurą i rytmem. Publiczność pod urokiem przecudnej gry, wywoływała koncertanta kilka razy i wreszcie mistrz widząc, że rozentuzyazmowana publiczność nie opuszcza sali, dodał Kujawiaka Wieniawskiego.

Widz.

Premia.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, więc *bezpłatnie* **ładną książkę.**

Nadzwyczajna premia.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna dwóch nowych abonnentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premią **piękną powieść historyczną** ***w trzech tomach.***

Premie otrzymają tylko ci abonenci, którzy pozyskali innych nowych abonentów, ci zaś abonenci, którzy zapisali tylko sobie „Pracę“, nie mają prawa do premii.

Początek rozpoczętej bardzo zajmującej i nadzwyczaj sensacyjnej powieści pod tytułem

„Krwawe ofiary“

dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego, dziesięciofenygowego.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Czas największy zapisać

„Czytelnię Polską“

na nowy kwartał

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

Wskutek podwyższenia taryfy pocztowej za przesyłanie gazet i niesłychanego podrożenia papieru zmuszeni jesteśmy podnieść prenumeratę

„Czytelni Polskiej“

od 1-go stycznia 1901 roku o 10 fenygów.

Od 1-go stycznia więc abonament „Czytelni Polskiej“ będzie wynosił kwartalnie

60 fenygów

zamiast 50 fenygów.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

72 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mrk. czyli 1 koronę 32 hal.

Baczność! Kwity abonamentowe pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ zamieszczone są na ostatniej stronie pod okładką.

Wiadomości.

Wesołych świąt życzymy Najprzewielebniejszemu Księdzu Arcybiskupowi, Czcigodnemu Duchowieństwu, Szanownym Ziemianom, Mieszczanom i Kmiotkom — Szanownym Współpracownikom, Czytelnikom, Zwolennikom i Przyjaciołom „Pracy“, oraz wszystkim Rodakom i najbliższym i najdalszym i tu nad Wartą i tam nad Wisłą i nad Niemnem i wychodźcom na obczyźnie

Przyjmijcie wszyscy od nas bratni uścisk — pozdrowienie i serdeczne staropolskie życzenie: *Dosiego roku!*

Redakcya.

Gwiazdkowy numer „Pracy“ kosztuje 50 fenygów — z franko przesyłką 60 fenygów.

Z powodu druku niniejszego obszernego numeru gwiazdkowego, dział „Wiadomości“ zamknęliśmy już dnia 16 b. m. Wszelkie zatem notatki, mianowicie dotyczące składek, które nas doszły po dniu 16-ym b. m., musieliśmy odłożyć do numeru następnego.

Na odbudowanie wieży na Jasnejgórze złożyli w dalszym ciągu: pp. Adam Rerek z Wyrzyska 3 mrk., Wł. L. z Poznania 1 mrk.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 275 mrk. 30 fen.

Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na Czytelnie ludowe złożył w dalszym ciągu p. dr. Kubacki z Pleszewa 7 mrk. 60 fen. z następującym dopiskiem: „Wygrane i zebrane na polowaniu w Kurcewie.“

Dotąd zebraliśmy na ten cel 24 mrk. 80 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Pan S. Krzymiński otwiera dnia 3-go stycznia 1901 r. *nowy kurs handlowy*, obejmujący naukę prowadzenia ksiąg (buchalterya pojedyńcza i podwójna), korespondencyi, rachunkowości, teoryi wekslowej, stenografii i pisania maszyną. Polecamy bardzo instytut p. Krzymińskiego chcącym się gruntownie wyuczyć tych tak niezbędnie potrzebnych wiadomości każdemu, który się poświęcić zamyśla kupiectwu. Jak się dowiadujemy, urządza p. Krzymiński także w tym samym czasie i to w osobnych godzinach, kurs handlowy wyłącznie dla pań i panien.

Technik-dentysta, p. S. K. Grabowski, osiadł w mieście naszem przy ul. Wielkie Garbary nr. 18-ty róg Butelskiej. P. G. praktykował między innemi także dłuższy czas u pierwszorzędnych lekarzy-dentystów zagranicą i jest w swym zawodzie tak wszechstronnie wydoskonalonym, że wszelkiego leczenia, wprawiania i t. d. zębów i wogóle wszelkich prac w zakres dentystyczny wchodzących ze skutkiem podjąć się może. Listy uznania w każdej chwili do dyspozycyi.

Stary renomowany, najtańszy warsztat i skład obuwia K. Maya w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 21. naprzeciw hotelu Francuzkiego polecamy łaskawym względom Szanownej Publiczności. Specyalność: buty długie, kanony dla Wielebnego Duchowieństwa, oraz buty do polowania i gospodarstwa. (patrz anons stale zamieszczany).

Zmienne powietrze (jak obecnie) wpływa bardzo ujemnie nie tylko na organizm ludzki, lecz i na płeć. Każdego zatem obowiązkiem jest nietylko dbać, by się nie zaziębił etc., lecz by i płeć była piękna t. j. nie popękana lub odmrożona. Jak najzupełniej do konserwowania skóry, nadaje się na Wystawie Przyrodniczo Lekarskiej w Krakowie, złotym medalem odznaczone mydełko hygieniczne lanolinowe z fabryki mydła St. Żychlińskiego w Gnieźnie. Mydełko to zawiera pewien nadmiar tłuszczy i składników leczniczych, dlaczego przy dłuższem używaniu tegoż, unika się wszelkich chorób skórnych. Cena mydełka bardzo przystępna, bo tylko 25 fen. Nabyć można w drogeryach i lepszych składach kolonialnych.

Inowrocław. Jak w innych latach tak i w tym roku dało nam zasłużone Towarzystwo śpiewu sposobność do uczczenia pamięci nieśmiertelnego wieszcza naszego Adama Mickiewicza, urządzając z niemałym trudem bardzo piękny obchód publiczny. Program był bardzo doborowy. Publiczność darzyła każdy numer programu gromkiemi oklaskami — co najlepiej dowodzi, iż była z wykonania najzupełniej zadowoloną. Całość stała się prawdziwą ucztą duchową, która podniosła umysł i serca i wpłynęła dodatnio na przygnębione troskami narodowemi i osobistemi usposobienie publiczności naszej. Cześć za to prezesowi Towarzystwa panu dr. Przybyszewskiemu oraz dyrygentowi p. Zarembie — cześć wszystkim wykonawcom! Czysty zysk przeznaczono na „Czytelnie ludowe“.

W Inowrocławiu potrzebnem jest osiedlenie się *bandażysty i rękawicznika* (dawniej było dwóch teraz nie ma ani jednego); potem handlu towarów krótkich, bednarza, składu garderoby gotowej dla panów i dzieci itd.

Z prowincyi. W pewnem mieście powiatowem nad koleją są potrzebni bednarz, powroźnik, stolarz na większą skalę, handel mebli, handel skór.

Miasto i okolica przeważnie polska.

Zanim się osiedli ktoś z innych, dobrze by było, gdyby nasi temu zapobiegli.

Handlu mebli w mieście tem dotychczas wcale niema, a jest wielki czas, aby interes ten został założony.

Bednarz jest tylko jeden, drugi nasz, ale około 80 lat mający.

Co do handlu skór itd. to po śmierci właściciela niema takiego handlu, jak być powinno, i muszą interesenci do innych miast jechać.

Także stolarstwo potrzebne tu na większą skalę, możeby ktoś urządził parową stolarnię, aby można przy budowlach mianowicie dostać spiesznie robót stolarskich.

Zdarza się bardzo często, iż na wykończenie robót stolarskich trzeba czekać tygodniami, co sprawia bardzo wielką niedogodność

Handel mebli zrobiłby bardzo dobre interesa.

Potrzebujący mebli muszą je sprowadzać z dalszych miast, co połączone ze stratą czasu i pieniędzy.

Zgłoszenia przyjmuje Redakcya „Pracy“ pod lit. J. S. J. Na odpowiedź należy dołączyć znaczek dziesięciofenygowy.

Tarnobrzeg, (Galicya.) Staraniem Rady powiatowej w Tarnobrzegu, otwarto pod opieką Wydziału powiatowego Biuro pośrednictwa pracy, którego celem jest bezpłatna pomoc w wyszukiwaniu roboczej klasie ludności za-

robków, a za skromną opłatą pracodawcom doborowych robotników i sług.

Gdy instytucya ta ma doniosłe znaczenie dla ekonomicznych i społecznych stosunków ogółu, spodziewamy się, że pracodawcy wszelkich zawodów poprą takową przez zamawianie za pośrednictwem tegoż Biura sił robotniczych każdego rodzaju i płci. Biuro zaś dołoży wszelkich starań, aby pracodawców najzupełniej i jak najtaniej zadowolnić.

Zamówienia prosimy nadsyłać pod adresem: Powiatowe Biuro pracy w Tarnobrzegu.

Wszystkie pisma polskie upraszamy o łaskawe powtórzenie tego ogłoszenia w ramach swoich pism, zaś pisma poświęcające chętnie ramy swe dla robotników i sług o kilkakrotne ogłoszenie.

Z wysokiem poważaniem
Powiatowe Biuro pracy w Tarnobrzegu.

Od Redakcyi.

Panu A. Z. w Biał. Galicya. Abonament „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ pod opaską wynosi kwartalnie 3 kor 62 ha. Adres „Gazety Codziennej“ i „Przyjaciela“: Toruń. Thorn W. Pr. — tam się Pan dowie, ile pisma te kwartalnie pod opaską kosztują.

Panu Stan. Flaum w Moguncyi. Dziękujemy za list. Co zaś do zbytecznych gazet i książek — to niech Pan zechce je posełać towarzystwu św. Barbary w „Grube Wilhelm“ poczta Trebbchau p. Koethen, na ręce pana Pawłowskiego. Jest to świeżo założone towarzystwo polskie, które ma wogóle niewielką bibliotekę a „Pracy“ wcale nie zna.

Pana Grześkowiaka w Königsludwigshausen prosimy o nadesłanie nam korespondencyi o tamtejszych Polakach.

Imci Ks. Fr. Ł. w O. Tego działu w „Pracy“ na razie zaprowadzić nie możemy, ale pomyślimy o tem w przyszłości.

Panu B. B. w Jeżycach. Wpisane być musi imię po polsku i po niemiecku, więc w tym przypadku Bolesław — Boleslaus.

Panu E. B. w Druhowyżkach (Galicya). O ile nam wiadomo, podręcznik taki w polskim języku nie istnieje. Za przysłane życzenia „Szczęść Boże nad pracą około dobra ludu“ dziękujemy najserdeczniej.

Staremu Druhowi w Poznaniu.. Bez podpisu zamieścić nie możemy.

Panu F. Przyb. w Szubinie. Zapytaj się Pan w księgarni Cybulskiego w Poznaniu św. Marcin.

Panu Leonowi Mer. w Essen. Artykuły o tych wielkich ludziach i obrońcach Ojczyzny były w „Pracy“ zamieszczone — szukaj Pan dobrze, a znajdziesz to, czego żądasz. Wobec nawału pracy nie możemy się trudnić wypracowaniem odczytów.

Staremu Sokołowi z nad Menu. — Będzie po świętach — zastosujemy się ile możności do Jego wskazówek.

Panu Apol. Sz. we Lwowie. — Za wyrazy współczucia i t. d. najserdeczniej dziękujemy.

Panu Aleksandrowi S. w P. p. G. — Na razie jesteśmy zaopatrzeni. Opis Poznania mamy już w naszej tece redakcyjnej.

Czytelnika, pragnącego się odsiedlić jako kuśnierz, prosimy o podanie dokładnego adresu i załączenie znaczka pocztowego, celem przesłania mu bliższych informacyi.

Czytelnika, pragnącego założyć skład kapeluszy, prosimy o podanie dokładnego adresu i załączenie znaczka pocztowego, celem przesłania mu bliższych informacyi.

Panu M Skw... w Essen. — Pan Gładysz — firma R. Barcikowski w Poznaniu, w Bazarze, poinformuje Pana chętnie w tej sprawie.

Panu Michałowi W. w R. (Górny Śląsk). — Ponieważ wiersz na kolendę nam nadesłany p. t. „Idzie wiarus stary“ jest żywcem odpisany z jednego z poprzednich roczników „Pracy“, więc po wędrował do kosza.

Panu Fr. W. w Langenbochum. — W Księgarni Kujawskiej. A. Kompfa w Inowrocławiu. Pieśń, o którą się Pan pytasz, nie jest nam znana.

Panu A. Zwierzchowskiemu w Śremie. — Udaj się Pan w tej sprawie do Towarzystwa „Samopomocy“ w Poznaniu. Prezesem jest dr. Niegolewski, plac Wilhelmowski.

Panu Karolowi K. w Kraszkowicach, J Modr.... w Żółwinach i Antoniemu Z. w Białej. W księgarni polskiej Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu Leonowi K. w Opalenicy. Wobec nawału pracy redakcya nie ma czasu do takich wypracowań. Artykuł odnośny i stósowny był zamieszczony w jednym z numerów „Pracy“ w maju lub czerwcu r. b. Najlepiej zapisz Pan sobie za kilka trojaków broszurkę o śp. Karolu Marcinkowskim w księgarni św. Wojciecha w Poznaniu św. Marcin.

Panu A. Plucie w Chełmcach. — Z powodu braku miejsca tak obszernych sprawozdań zamieszczać nie możemy. Na drugi raz prosimy o treściwe, krótkie sprawozdanie, a chętnie umieścimy.

Panu St. M. w Wolsztynie. O wszystkich i z wszystkich stron.

Zagadka premiowa illustrowana.*)

Ogród sułtański, czyli głowa nieszczęsnego Ibrahima.

Sułtan marokański przywołał niedawno nadwornego ogrodnika Ibrahima i rzekł doń te słowa:

— Ibrahimie, doszło do mej wiadomości, że sułtan turecki posiada ogród, w którym jest 9 prostych, jak strzała aleji i 9 fontan tak doskonale rozłożonych, że na każdej alei stoją 3 fontanny. Rozumie się, że fontanny stoją na przecięciach i tym sposobem jedna fontanna liczy się do kilku aleji, przecinających się w tym punkcie. Masz Ibrahimie założyć mi ogród, w którym będzie 10 prostych aleji i 9 fontan, a na każdej aleji mają stać 3 fontanny. Jeżeli za rok rozkaz mój nie będzie spełniony, to możesz śmiało sprzedać swój turban, gdyż zaprawdę nie będziesz miał na czem go nosić.

Tyle rzekł sułtan, a nieszczęsny Ibrahim poci się od tej pory nad planem ogrodu, ale nic nie może wymyśleć. Gdyby kto nadesłał nam plan ogrodu (aleje możnaby wyobrażać liniami, zaś fontanny kółkami), to wydrukujemy ten plan w „Pracy“, aby Ibrahim, który pilnie czytuje nasze pismo, mógł zeń skorzystać i tym sposobem uniknął ucięcia głowy.

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę tj. książkę powieściową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. Rozwiązanie przyjmujemy do dnia 2-go stycznia 1901 roku włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.
(Przyp. Redakcyi.)

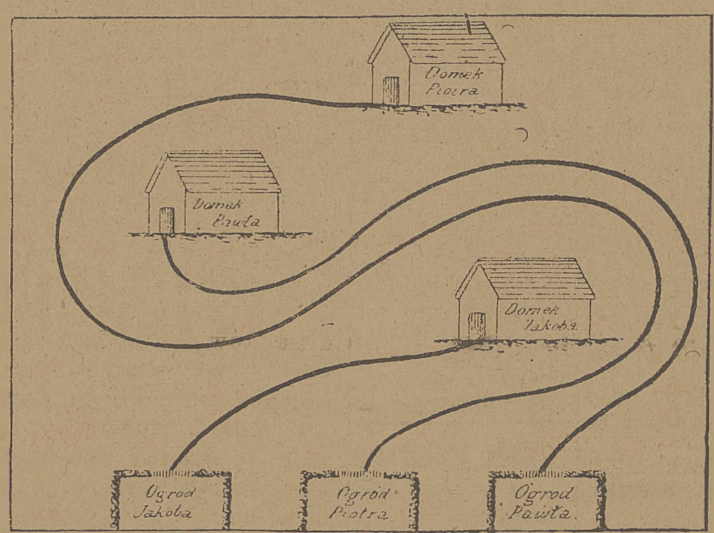
HUMORYSTYKA.



Diagnoza.

— Nie wiem, panie konsyliarzu, co mam tutaj w okolicy żołądka, czuję tam bezustannie takie ciśnienie i tak mi się zdaje, jak by tam coś to opadało, to się podnosiło.

— Przecież pan do licha nie połknął termometra?



Rozwiązanie zagadki illustrowanej z nr. 47-go p. t. „Kłótnia braci:“

Rozwiązanie dobre nadesłano nam z blizka i z daleka w takiej obfitości, że nie możemy dla braku miejsca ogłosić wszystkich osób.

Premię przez wylosowanie otrzymał p. Mieczysław Garstecki z Magdeburga.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Za darmo dostanie każdy książkę ze 100 obrazkami, kto sobie kupi w mej księgarni **Kalendarz Katolika** (50 fen.) lub **Maryański** (60 fen.) **na rok 1901.** Z dalszych miejscowości 20 fen. więcej na porto.
A. Glazowski Rozbark (p. Beuthen O. S.).

Wielki złoty medal na przyrodniczo-lekarskiej wystawie w Krakowie.
Jedyna większa polska
fabryka likworów
i nalewek owocowych
w Poznaniu,
przy ul. Berlińskiej nr. 14/15
pod firmą
Marczyński & Klóskowski
poleca swe wyborne 537
likwory deserowe,
wódki zdrowotne,
nalewki owocowe,
puncze, rumy, araki i koniaki.
Specyalność:
Botanik i Wiślanka.
Telefon 636.

Czem mamy obdarzyć? otóż pytanie będące obecnie na ustach każdego, a ważnością swoją zabierające nawet pierwsze miejsce przed sprawami chińskiemi. Każdy troszczy się o trzos swój, czy on dość napełnionym, by zawartość starczyła na zaspokojenie wszelkich pragnień — każdy chciałby — kupnem korzystnem okazać się praktycznym, a mimo to sprawić wiele radości. Wszystkim tym, co myślą bezradnie nad tą sprawą — polecamy spacer na Wilhelmowską ul., gdzie firma Singer Co. tow. akc. maszyn do szycia — w oknie wystawnem ma okazy wszelkich maszyn do szycia począwszy od najskromniejszych do najwytworniejszych zarówno do użytku zwykłego, domowego jak przemysłowego. Maszyny te zalowolnić mogą każdego pod względem gustownego i znakomitego wykonania... Najwięcej lubione maszyny są V. S. i Central Bobbin, mistrzynie onych pięknych haftów, zapełniających okno wystawowe i świadczących najlepiej o udoskonaleniu przemysłu maszynowego, w czem w ostatnim mianowicie czasie tow. Singer uzyskało pierwszeństwo. — W tem zeznaniu znajdzie każdy odpowiedź na pytanie „czem mamy obdarzyć?“

Posener Credit Verein
eingetragene Genossenschaft m. unbeschr. Haftpflicht.
w Poznaniu, Plac Piotra 3
płaci także niecziłonkom 578
od wpłat do kasy oszczędności stale 4%
od depozytów obecnie 4% i 4½%.

Młody człowiek, w krótkim czasie elektroinżynier, mający widoki na przyszłość, poszukuje znajomości młodej, wykształconej, muzykalnej, postawnej

panny

Oferty wraz z fotografią uprasza się przesyłać p. adr. **Mittweida i. Sachsen** poste rest. **nr. 744.**

Najlepsze mydło
jest z fabryki 14
St. Żychlińskiego
w Gnieźnie.

Złoty medal
Gniezno 1896,
Kraków 1900.

W składach kolonialnych itp. prawdziwe jeśli na każdym kawałku **wytłoczona firma.** Przetłuszczone mydełko lanolinowe z herbem Gniezna (po 25 fen.) upiększa płeć, usuwa piegi itd.
Do nabycia w lepszych składach np. w Poznaniu u p. R. Barcikowskiego, w Inowrocławiu u p. K. Nowakowskiego.

Na reumatyzm!
Premiowane 1894 i 1895 r.
nacieranie Dr. Koszutskiego
Salus
znane od 35 lat jako jedyne i niezawodne lekarstwo na reumatyzm, boleści reumatyczno-nerwowe, bolesność w krzyżach po połogu i t. p.
Butelka **50** fen. i **1** mk. we wszystkich aptekach i fabryce wyrobów hygienicznych, **Półwiejska nr. 1, I.** — Zważać na znaczek ochronny. 647

Futro męzkie
w dobrym stanie mało używane jest tanio do nabycia. **Wrocławska ul. N. 19. I. p. na lewo w podwórzu.** 757

Kołdry 43
(Steppdecken)
w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko ***w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder***
R. Bild'a
a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. **R. Bild'a**
pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**
Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.


Handel
ptaków

C. Seilera
w Poznaniu, W. Garbary 34 poleca swój bogato zaopatrzony skład w papugi i rozmaite tak krajowe jak też zagraniczne ptaki ozdobne i śpiewające po najniższych cenach. 563
Akwaria, żer wszelki dla ryb i ptaków, fretki pp. łapki do chwytania królików, siatki do chwytania ptactwa itd.

Panna
33 lat licząca, muzykalna, inteligentna, która wiele podróżowała, szuka miejsca z powodu stosunków familijnych, jako towarzyszka do starszej Pani. 717
Łaskawe oferty proszę przysłać do Eksp. „Pracy“ pod lit. I. B. nr. 717.

Wozy robocze
i koła do wozów
ma zawsze w zapasie i odstawia takowe tylko z suchego drzewa, dobrze odrobione i po umiark. cenie
Głogowska parowa fabryka stelmachska.
Bredner i Okoniewski,
dawniej **R. Kraus.** 610

Ein freudiges Ereigniss
pflegt man gewöhnlich einen Familienzuwachs zu nennen. Doch wie häufig hat derselbe Trauer oder schwere Sorgen im Gefolge! Ueber Abwendung der Letzteren belehrt in interessanter Weise das Buch: *„Von der Frau für die Frau“.* Nebst Abschriften aus Tausenden von Dankschreiben, gegen 30 Pf. in Briefm. per Kreuzband, 50 Pf. verschlossen, zu beziehen von der Verfasserin Frau *A. Hein,* früh. Oberhebamme an der königl. Universitäts-Frauenklinik zu *Berlin,* 110. Oranienstrase 65. 642
Versandhaus hygien Schutzartikel.

Poszukuje się
dzierżawy
gościńca
i to ilemożności na wsi z dzierżawą roczną około 600 marek i wyżej.
Łask. of. upr. do Eksp. „Pracy“ w Poznaniu p. lit. Dąb...

Grzyby
karpackie,
Grzyby
litewskie
poleca 698
Dom handlowy
Stanisław Gurgul
ces. i król. dostawca nadworny
w Krakowie.
(Sprzedaż tylko hurtowna)

Majętność Trzebawska
w pow. Poznańskim
około 4000 mg.
z gorzelnią
do wydzierżawienia od 1 lipca 1901 na lat 12. Warunki objaśni plenipotent 760
Dr. Celichowski
w Kórniku.

Ważne dla młodych kupców chcących się osiedlić.
HANDEL
jedyny polski w branży **towarów galanteryjnych, trykotaży, artykułów wełnian., białych, krótkich** itp. w najlepszym biegu z powodu niespodziewanego innego przedsiębiorstwa, od zaraz lub później do sprzedania. Objekt do 24,000 mk. Miasto liczy 12,000 mieszk. Położenie lokal. przy rynku, obszar tegoż 6 × 15 = 90 □ mtr. Zgłoszenia do Eksp. „Pracy“ pod lit. O. N. 694. 694

Włódarza
żonatego z zaciężnikiem od zaraz lub kwietnia na wysokie zasługi i ordynaryą poszukuje 759
Sławoszewo p. Podobowice
(pow. Żnin).
Osobiste przedstawienie konieczne.

Ucznia
z odpowiedniem wykształceniem szkolnem przyjmie zaraz
Adam Kompf.
Księgarnia kujawska
Inowrocław. 739

Do sprzedania:
Folwark pod Poznaniem około 400 mórg z zaliczką 20—25000 mk. **Kamienica** niewielka w Poznaniu przy ruchliwej ulicy, przynosząca od 14000 mk. zaliczki przeszło 2000 mk. czystego zysku. **Pensyonat** dla inteligentnej kobiety dający przyzwoite utrzymanie, potrzeba 6000 mk. zaliczki. — **Browar** na prowincyi z dobrą klientelą od dawna istniejący. 745
B. Koczorowski
Strzelecka 3 B.

Panna
w średnim wieku, córka po nauczycielu, bezdomna, pragnie przyjąć miejsce dostarszej, samotnej, lub chorej osoby, za bardzo skromnem wynagrodzeniem. Łaskawe oferty uprasza się pod lit. Z. Z. Ostrowo Bez. Posen Postlagernd. 713

Nasza

Kasa Oszczędności

przyjmuje depozyta od 1 Marki począwszy i płaci już od czasu założenia **bez względu** na stopę procentową Banku Rzeszy i płacić będzie nadal niezmiennie: **4½%** za kwartalnem, **5½%** za półrocznem wypowiedzeniem.*)

Kto u nas ma złożone oszczędności, a kupi grunt od nas, temu wypłaca kasa nasza depozyt nawet bez wypowiedzenia.

Kasa nasza **ma** każdego czasu na sprzedaż pupilarnie pewne

710

pierwszomiejscowe

5% dokumenta hipoteczne.

Bank podpisany **kupuje**

dobra, folwarki i gospodarstwa

większe i mniejsze za gotówkę, a **sprzedaje** takowe w parcelach na długoletnią odpłatę.

Gotowe **folwarki i gospodarstwa** są u nas także każdego czasu do nabycia.

Bank Parcelacyjny

w Poznaniu na Piekarach Nr. 18.

*) UWAGA. Sumy ponad 10,000 marek przyjmujemy tylko za poprzedniem porozumieniem się, podczas gdy mniejsze kwoty każdego czasu pocztą przysłać można, jednakże z wyraźnym dopiskiem za jakiem wypowiedzeniem mają być kontowane.

Złoty medal 317 Złoty medal.



Antoni Rose

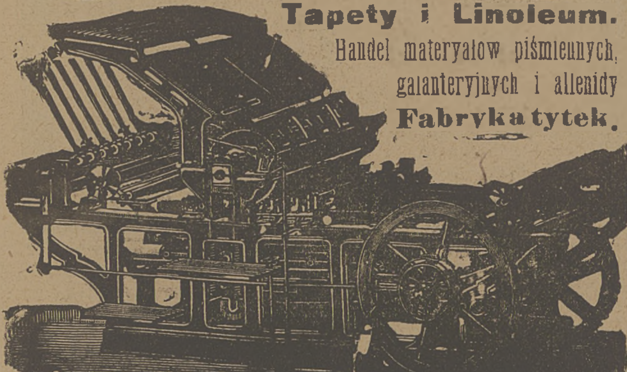
w Poznaniu
w Bazarze.



Tapety i Linoleum.

Handel materyałów piśmiennych, galanteryjnych i allenidy

Fabryka tytek.



Drukarnia, zakład litograficzny

wykonuje za pomocą maszyn pospiesznych wszelkie prace do zakresu litografii i druków należące. Skora usługa. **Ceny nizkie** lecz stałe. **Fabryka rejestrów gospodarskich, książek kościelnych i kontowych**

Skład papieru do opakowań.

Generalne zastępstwo na W. Księstwo Poznańskie w Linoleum z fabryki Delmenhorst.



Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiźnie.

Cena flaszki 2 mk.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach

Do nabycia w Koźminie, w aptece p. Balcerka i w drogeryi I. F. Grochowski Nast.



Najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupu!

K. Kużaj,

Wrocławska ulica Nr. 13

parter, suteryny i I-sze piętro.

Dział I-szy:

Gotowa garderoba męzka i dla chłopców

w olbrzymim wyborze.

678 Dział II-gi:

Wielki skład sukna.

Sprzedaż z łokcia. — Wysyłka prób.

Dział III-ci

Pracownia eleganck. garderoby

podług miary.

Doskonały krój! Staranne wykonanie. Stałe ceny! Tanio! Stałe ceny!

— Zaledwie dwa miesiące, jak jestem żonaty i muszę już sobie sam guziki przyszywać.

— A cóżeś ty myślał, że jak się ożenisz, to ci guziki odpadać nie będą?

Centralna Drogerya

Br. Śniegocki

Poznań, plac Wilhelmowski 10 (narożnik ulicy rycerskiej)

Telefon Nr. 532

238

poleca

„Ambrosia.“ Proszek ten z esencyą rozgotowany w pół litrze wody z 200 gramami cukru, daje szybko wyborną galaretkę, wystarczającą jako deser dla 6—8 osób. 1 kartonik 0,25.

Proszek do pudingu. Rozgotowany w mleku daje znakomity puding. 1 pud. 0,10.

Proszek do pieczywa. Zastępuje drożdże. 1 puszka 0,10.

Esencya do koniaku i wódek. Zawartość 1 buteleczki rozpuszczona w okowicie winnej podług przepisu znajdującego się na każdej butelce, daje tanio znakomite wódki lub koniaki. 1 but. esencyi do wódki ananasowej, benedyktyńskiej, Chatreuse, kminkowej, imbirowej, nordhäuser, miętowej, różanej, waniliowej, pomarańczowej, lub do koniaku, araku i rumu 0,75.

Czysty sok z cytryn, wyciśnięty prasą hydrauliczną, dla dyabetyków, otyłych, chorych na żołądek i reumatyzm, 1 but. pod gwarancyą czystego soku z 12 cytryn 1.00.

„Pastilles d'orateurs“ na chrypkę i kaszel w pud. po 0,35 i 0,60

„Cachou Alberta“ pozostawia w ustach miły, aromatyczny zapach, 1 pud. blaszane 0,40.

„Sól emska“ rozpuszczona w gorącej wodzie i mleku znakomita na kaszel. 1 słoik 0,75.

„Koniak medycynalny“ pod gwarancyą czysty (dorównuje smakiem najdroższym francuzkim) 1 but. 2,50.

Koniak specyalny dla **diabetyków** 1 but. 3,50.

Herbata chińska prasowana w kostkach, znakomita i w stosunku do innych bardzo tania i oszczędna, 5 kostek po 20, 25, 30 i 40 fen.

Kakao Bensdorpa, prawdziwe holenderskie, najsmaczniejsze, luźno 1 funt 2,40.

Prawdziwa woda kolońska nr. 4711 najlepsza w but. po 0,75, 1,40 i 2.50.

Perfumy prawdziwe francuzkie we wszelkich zapachach, sprowadzane z Francyi w naczyniach lekkich aluminiowych, luźno na wagę 1 łut 0,30, 0,50 i 0,75.

Dentipuryna, najlepszy i najrzetelniejszy środek do czyszczenia zębów, 1 słoik 1,00.

Dentin, płynny kit do spróchniałych zębów 1 but. 0,50.

Przyrząd do usuwania ze zębów kamienia winnego, wskutek czego stają się śnieżno białe, nie psując szkliwia, 0,60.

Wata na katar 1 słoik 0,60.

Esencya na loki 1 but. 0,60.

„Serwetki spermacetowe.“ Chroni twarz od złych wpływów powietrza, usuwa pryszcze, 1 tuz. 1.00.

„Pollissoir,“ pudełko z przyrządami i proszkiem do czyszczenia i polerowania paznogci, 1,50.

Pilniczki stalowe do czyszczenia paznogci 1 sztuka 0,75.

„Kaloderma,“ galaretka z gliceryny i miodu na ręce 1 tuba 0,50.

„Aphanizon,“ pasta w tubie do wywabiania plam ze sukna, jedwabi i t. d. 1 tuba 0,40 i 0,60.

Atrament do znaczenia bielizny, bardzo trwały, 1 but. 0,75.

„Flexible,“ płatki preparowane do czyszczenia złota, srebra, i t. d. 1 sztuka 0,50.

„Terpsychore,“ proszek na posadzki do tańca, 1 pud. 1,00.

Lampki z cylinderkiem żelatynowym wypalają przez 12 godzin za $^1/_2$ fen. nafty, nie kopcą, nie eksplodują, 1 szt. 0,50.

Politura na meble, nadaje meblom piękny połysk i świeżość, 1 but. 1,00 i 1,50.

„Kiszki na szczury,“ niezawodny środek nieszkodliwy dla zwierząt domowych, à 0,60 i 1,00.

Canabin, najlepszy środek na odciski, 1 pud. 0,60.

„Pedelin,“ olej na obuwie i różne skóry, czyni je nieprzemakalnymi i konserwuje, 1 but. 0,40.

Aparat fotograficzny „Picolo,“ 4×6 cm wraz z przyrządami, składającymi się z latarki czerwonej, 2 wanienek, ramki do kopiowania, wisiru, płyt, papieru cell., kartoników, wywoływacza, fiksażu i złotej kąpieli, w ładnym kartoniku, M. 3,00.

Aparaty droższe podług cennika, który na żądanie przesyłam gratis i franko.

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu.

Założony 1845-go roku.

Ulica Wilhelmowska Nr. 25, naprzeciw Hotelu Francuzkiego.

K. MAY



poleca obuwie własnego wyrobu, trwałe, piękne i niesłychanie wygodne. Wielki wybór bucików damskich balowych w różnych kolorach. Prawdziwe ruskie kalosze. **Specyalność!!** buty długie, kanony dla Wiel. Duchowieństwa, buty do polowania i gospodarstwa. Wielki zapas pantofelków rannych nadzwyczaj wygodnych. Wszelkie kremy do czyszczenia obuwia czarne i w kolorach. Sudoral jedyny środek. który zapobiega poceniu się nóg. 767

Zamówienia zamiejscowe podług starego bucika.

Ceny umiarkowane! Usługa rzetelna!

Zakład dentystyczny

S. K. Grabowski,

Poznań, 766

Wielkie Garbary nr. 18, róg Butelskiej.

Przyjmuje od 9—11 i od 2—7.

Dom

przynoszący 800 mrk. dzierżawy, w średniem mieście kolejowem Księstwa, w którem znajduje się sąd, gimnazyum, wyższa szkoła żeńska i preparandów, jest pod bardzo korzystnemi warunkami i przy małej zaliczce do sprzedaniaa.

Bliższych szczegółów udzieli administracya „Pracy“ pod lit. **Z. nr. 765.**

Abonentów 13,000.

1901



W białej osłonie, w postaci promiennej,
Z mglistej chmur fali rok powstaje nowy,
Pogrąży starca w otchłani bezdennej,
Sam już do czynu gotowy.
Z nadziei gwiazdą, co mu zdobi czoło.
Migocze tłumom tęczowemi blaski,
I śmiało wchodzi w czarodziejskie koło —
Rozrzucać dary i łaski.
Rok stary, zanim wybije godzina,
Po raz ostatni zwraca swe oblicze,

Szepcąc nowemu słowa tajemnicze,
Jak ojciec, gdy żegna syna:
„Zwolna, młodzieńcze! twój polot zbyt śmiały,
Zapędy swoje hamuj doświadczeniem,
Nie gardź nauką, co wieki składały,
Przeszłości nie gardź wspomnieniem.
Nie sądź, że nowe poprowadzisz tory,
Któremi ludzkość spokojnie popłynie,
A straszne walki i wiekowe spory
W jednej zażegnasz godzinie.

Pomnij, że wszelkie najśmielsze zdobycze,
To trud mozolny minionych stuleci,
I że spełniamy prace tajemnicze,
My — lata, wieków tych dzieci.
Pomnij nareszcie, że choćby ci dano
Największe dobro wyświadczyć ludzkości,
Nie dla cię słodkie dobroczyńcy miano —
Tryumf zostawisz przyszłości!"

A. K.

Rysunek P. Stachiewicza.

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU.



W chwili, gdy wypuszczamy w świat niniejszy numer noworoczny, niewiadomo nam jeszcze, jaki wynik odniosły nasze nawoływania, aby czytelnicy i wierni nasi druhowie zakrzątnęli się energicznie około zjednania nam nowych abonentów.

Obecny termin odnowienia przedpłaty ma dla nas szczególniejsze znaczenie, na które składają się dwa powody: po pierwsze podniesienie abonamentu z jednej marki na 1 mk. 25 fen. na kwartał, a powtóre naturalny rozwój naszego pisma, objawiający się w przyroście czytelników w każdym kwartale. Mianowicie też przekonaliśmy się z dotychczasowej praktyki, że każdy silniejszy atak hakatystyczny na najświętsze dobra naszej narodowości odbijał się na naszem piśmie silniejszym przyrostem prenumeratorów; jest to łatwo zrozumiałe, każdy bowiem z bezpośrednio dotkniętych atakami hakatyzmu, poznawszy jak bezpłodnym jest system paktowania z germanizacyą, zapisywał się pod nasz sztandar **bezwzględnej, otwartej, na szerokim zakresie ludowym opartej, radykalnej obrony narodowości polskiej przed germanizacyą.**

Sądząc zatem z niesłychanych napaści, na jakie pozwolili sobie patronowani przez rząd hakatyści, sądząc z zapowiedzi praw wyjątkowych, z parcia dążącego do sprowadzenia rozłamu wśród katolików niemieckich, z bezgranicznych a cynicznych zarzutów, skierowanych przeciw naszemu duchowieństwu i ks. Arcybiskupowi — moglibyśmy się spodziewać, że i teraz znów powiększy się zastęp ludzi, wierzących w konieczność solidarnej, na wyłącznie polskim gruncie opartej pracy politycznej.

Czy ta tendencya, której realnym wyrazem powinnoby być coraz silniejsze popieranie naszego pisma, **jako potępiającego zasadniczo wszelkie sojusze z Niemcami,** *silniejszą się okaże od przeszkody, wytworzonej podwyższeniem prenumeraty? — Na to pytanie, jakeśmy zaznaczyli wyżej, nie możemy dać jeszcze zadawalającej odpowiedzi. To nie tak jak przy wyborach, gdzie oddawanie głosów musi być ukończone przed pewną godziną. Dziś jeszcze — pomimo nowego roku i rozpoczętego kwartału nowego —* **z pewnością jest jeszcze wielu opieszałych, którzy z dnia na dzień zwłóczą zapisanie sobie pisma polskiego.** *Na tych powinni nasi przyjaciele wywierać szczególniejszy nacisk w pierwszym tygodniu rozpoczętego kwartału. Mówimy to nie w interesie własnym, ale w interesie gazet polskich — i sprawy polskiej — wogóle. Czytelnik „Pracy,“ który w bieżącym tygodniu spotka się ze znajomymi, powinien każdego zapytać, czy odnowił prenumeratę na polskie pismo. Jeżeli trzyma inne pismo polskie, a nie* **„Pracę,“** *niech je z Bogiem trzyma dalej i powinniśmy go zachęcić do odnowienia prenumeraty; my żadnemu z pism polskich nie robimy konkurencyi i cieszymy się z przyrostu czytelników u każdego. A jeśli czytelnik innego pisma jest w stanie zaabonować i* **„Pracę“** *— tem lepiej: znajdzie on może w niej to, czego w innych nie znajdzie.*

O ile jednak obecnie możemy już obliczyć, dwa pocieszające fakta można stwierdzić: oto, że już od 15 grudnia począwszy, t. j. od chwili, gdy można odnawiać prenumeratę, wielka część czytelników zawczasu zapisała sobie „Pracę,“ a przez to ułatwiła ogromnie zadanie ekspedycyi i nie naraziła się na utratę pierwszych numerów; powtóre zaś — **że znaczna liczba nowych abonentów zapisała sobie „Pracę,“** *t. j. takich abonentów, którzy jeszcze pisma naszego stale nie czytali. Wnosimy to z licznie nadpływających zażądań początku powieści.*

Obowiązkiem naszym jest powitać tu wszystkich tych nowych czytelników. Nie znamy jeszcze ich liczby, ani życzeń — jak znamy je u naszych dawnych czytelników — ale **wierzymy, że przyłączyli się do naszego grona z zamiarem wspólnego pracowania nad podniesieniem oświaty i ducha narodowego w naszem społeczeństwie.**

Tem słowem ich witamy! Witamy w nich nowych pracowników na polu uświadomienia ludu, witamy w nich ludzi, którzy wespół z nami usilnie starać się będą o to, **aby nasz lud prosty nauczył się kochać swą polską przeszłość i wierzyć w przyszłość.**

W następnych numerach pisma naszego będziemy mieli sposobność dać naszym nowym czytelnikom poznać nasze ogólne poglądy, dziś ponawiamy tylko życzenia, abyśmy z nowymi czytelnikami tak przylgnęli sercem do siebie, jak się sercem zespoliliśmy z dawnymi. **Celem naszym jest, aby pismo nasze stało się dla każdego, kto chce z nami pracować, prawdziwym przyjacielem i doradzcą.**

A Wy, nasi starzy druhowie, którzy od szeregu lat już co rok stajecie wiernie do apelu — jakichże słów powitania żądacie od Waszej redakcyi, którą tak często nazywacie w listach „kochaną“?

My się rozumiemy wszyscy, nieprawdaż? Pójdziemy zatem naprzód dalej naszym wytkniętym szlakiem, żywiąc wzajemne zaufanie do siebie. **Walczmy wszyscy w imię jednych i tych samych ideałów: jedni piórem, inni pługiem, lub młotem — a przy każdej pracy pamiętajmy, że ostateczne cele nasze powinny być jednolite i ku pożytkowi ogółu obmyślane.**

Redakcya „Pracy.“

Nasze winy.

Tak jest: nasze winy!

Niech nikt z czytelników naszych się nie dziwi. Po raz pierwszy od lat czterech, to jest od chwili założenia „Pracy“ uczuliśmy ochotę uczynienia publicznej spowiedzi, posypania głowy popiołem pokutnym, przywdziania skóry lojalnych i wiernych poddanych pruskich i wyznania wszystkich win, jakieśmy ponieśli wobec „ojcowskiego“ rządu królewsko-pruskiego.

Wina pierwsza — najgorsza.

Nie wyrzekliśmy się i nie wyrzekniemy się ani na chwilę nadziei i wiary w przyszłość narodu polskiego. Wierzymy, że z nędzy i upokorzenia, z krainy łez i smutku wzleci orzeł ku lepszej przyszłości i zwycięzkiego jego lotu nie powstrzyma Hakata, nie powstrzymają edykty cesarskie i ministeryalne, ani ujadanie sfory pruskiej — prasy gadzinowej. To nasza wielka, bardzo wielka wina wobec rządu pruskiego.

A za tą pierwszą, idzie druga wina, niemniej karygodna: Oto ani na chwilę nie wątpiliśmy, że lud polski powoli budzić się będzie z uśpienia, poczuje, że jest polskim ludem, w którego żyłach krąży krew Kościuszkowskich bohaterów... Wierzyliśmy, że lud ten, zakasawszy rękawy, stanie do pracy nad ratowaniem ojczystej ziemi i że krwawym potem swym okupi i utrzyma w swych rękach ziemię ojczystą, a nie da jej Niemcom...

Wierzyliśmy w to i staraliśmy się wiarę tę w naszem społeczeństwie krzewić.

Lecz to nic jeszcze. Winy nasze są większe. Uczyliśmy tysiące obywateli pruskich, że są Polakami z urodzenia, a pruskimi poddanymi z musu, a zatem, że ich obowiązkiem jest zawsze i wszędzie działać na korzyść naszej, rozdartej na trzy części Ojczyzny polskiej, a nie na korzyść państwa pruskiego lub cesarstwa niemieckiego, które nietylko jest nam obcem, ale wrogo dla nas działającem. Wskazywaliśmy na to, kto czyha na język nasz, kto chce z kościoła ojców naszych zrobić posterunek germanizacyjny, kto nas ekonomicznie rujnuje, dobrobyt ludowi polskiemu odbiera, do wychodźtwa go zmusza, z nędzy chce na niego zrobić bicz germanizacyjny, oddzielić różnicą mowy i wyznania ojców od synów, żony od mężów...

Wołaliśmy głośno *hańba!*, gdy za nauczanie dzieci polskich niewiasty polskie szły do więzienia, prowadzone ręką żandarmów, wołaliśmy *hańba!*, gdy jeden lub drugi wyrzutek sprzedawał ojczystą ziemię kolonizatorom.

W ten sposób odebraliśmy państwowej idei pruskiej trzynaście tysięcy rodzin polskich, z których każda dalej szerzy świadomość polskości. Z obywateli pruskich, z lojalnych i wiernych poddanych, z Prusaków mówiących po polsku, zrobiliśmy na zgubę i szkodę państwa pruskiego, tysiące wiernych naszym narodowym tradycyom Polaków. Nie dostanie już ich i ich dzieci moc pruska, przepadli oni już dla państwa pruskiego na wieki.

Zaiste, wielceśmy zawinili wobec pruskiego państwa. I w dodatku niepoprawni z nas grzesznicy: bo oto spoglądając na tę czteroletnią zgubną dla pruskiej polityki na wschodzie działalność naszą, nie żałujemy nic z tego cośmy zdziałali, ani jednego silnego słowa nie cofamy, żałujemy owszem, że zamiast trzynastu tysięcy nie potrafiliśmy dziesięć razy tylu Polaków rozbudzić narodowo, wyrwać ich germanizacyi; wyrzucamy sobie nawet, czyśmy nie za często z obawy przed prokuratorem pruskim niedomówili, lub niedość wyraźnie wypowiedzieli to, co nam leżało na sercu i co było naszem przekonaniem; przyrzekamy sobie święcie, że w tych grzechach wobec państwa pruskiego trwać będziemy, dopóki nam życia, albo pruskiej polityce tchu starczy — —

Takie to z „Pracy“ niepoprawne pismo!

Naturalnie, że rząd pruski, widząc w nas tak niepoprawnych grzeszników, starał się naprowadzić nas karami na drogę pokuty.

Wiemy wszyscy, że wymiar sprawiedliwości, a sprawiedliwość sama — to są dwie rzeczy różne. Nie troszcząc się więc tu o samą sprawiedliwość, która do dziś dnia do Prus trafić nie może, bo — jak wiadomo — ma zawiązane oczy, zajmijmy się wymiarem sprawiedliwości pruskiej wobec tych polskich win „Pracy.“

Maleńkie statystyczne zestawienie nie zawadzi. Nie mówiąc o takich bagatelkach, jak rewizye, lub aresztowania naszych redaktorów odpowiedzialnych, przejdźmy odrazu do procesów.

Mieliśmy ich okrągło *trzydzieści i dwa.* Z tych dwa są jeszcze w biegu, mianowicie o to, żeśmy zanadto pochlebnie się wyrażali o cywilizacyi w Prusach, gdy panna Omańkowska wyszła z więzienia. Rząd pruski na komplementach się nie poznał i skarżył nas o obrazę.

Z pozostałych trzydziestu, *dwa* prokuratorya umorzyła, między innemi proces o zestawienie tego, „co w Prusach wolno, a co nie wolno“, widocznie bowiem przyszła po głębszej rozwadze do przekonania, że artykuł zbyt zręcznie był pisany, aby dał się złapać w siatkę paragrafów karnych. Pozostaje więc jeszcze dwadzieścia osiem procesów. Z tych aż trzy (! o dziwo!) wygraliśmy, dwadzieścia pięć zaś skończyło się skazaniem naszych redaktorów.

A mianowicie *w czternastu procesach* zapadł wyrok skazujący nas na kary pieniężne w następujących rozmiarach: 10 M., 15 M., 60 M., 150 M., 150 M., 300 M., 300 M., 800 M., 50 M., 30 M., 50 M., 20 M., 150 M., 150 M., 150 M., 4000 M., — razem 6235 M., czyli sześć tysięcy dwieście trzydzieści pięć marek.

Jeżeli sądy pruskie dostatecznie szafowały karami pieniężnemi, to ze zdwojoną energią rzuciły się na wyroki, skazujące na więzienie.

W jedenastu procesach zapadły wyroki następujące: 14 dni, 1 miesiąc, 3 miesiące, 4 miesiące, 4 miesiące, 7 miesięcy, 3 miesiące, 4 mie-

siące, 2 miesiące, 6 miesięcy, 3 miesiace — razem zliczywszy czyni 37½, miesiąca *czyli trzy lata i półtora miesiąca.*

Ponieważ „*Praca*“ jeszcze niezupełnie cztery lata wychodzi, można zatem powiedzieć śmiało, że odkąd wydawnictwo istnieje, mniej więcej zawsze bez przerwy jeden z naszych redaktorów jest uwięziony, jedna rodzina pogrążona w smutku i żałobie, bo prokuratoryi i sądom podoba się mieć niejako stałego zakładnika, czy rezydenta „Pracy“ w murach więziennych.

Co do powodów, na podstawie których wytoczono procesy to mieliśmy już: *obrazę władzy, obrazę poszczególnych ministrów i prezydenta ministrów, niedozwoloną swawolę, podburzanie do gwałtów, obrazę komisyi kolonizacyjnej, obrazę pruskich żandarmów, policyantów i nauczycieli, wreszcie naigrawanie się i szydzenie z urządzeń państwowych* ....

Atoli za obrazę majestatu nie byliśmy jeszcze karani.

Dziwna rzecz, że nie byliśmy ani razu karani za „mówienie prawdy w oczy“ choć, sądząc z powyższego zestawienia, to właśnie jest największą zbrodnią w Prusach.

Pozostaje nam wreszcie maleńki rachunek nasz dokończyć.

Otóż jak powyżej wykazano zapłaciliśmy kar 6238 M., więzienia dni było 1143, które jeśli policzymy po 10 Mk., (zwykła taksa sądów pruskich) otrzymamy sumę 11430 Mk., co razem z poprzednią sumą czyni 17 tysięcy 665 marek.

Do tej sumy dochodzą jeszcze koszta sądowe i koszta obrony, które najmniej licząc, wynoszą 12 tysięcy M.

Ogółem więc suma kar, więzień i kosztów, zrównana w markach wynosi 29 tysięcy 665 marek.

Prawie trzydzieści tysięcy marek!

„Toć to przecie majątek!“ zawoła niejeden z naszych czytelników.

„Tak jest odpowiadamy, — majątek kosztuje nas to, żeśmy zdobyli te kilkanaście tysięcy serc, żywiej uderzających dla polskości. Prawie *za każdego obywatela Polaka, którego dotarłszy doń z naszem pismem — na zawsze oderwaliśmy od idei państwowej pruskiej zapłaciliśmy sądom etc. po dwie marki i pół..*

Nasi przyjaciele powinni by się wobec tego postarać, aby przyrost abonentów postępował w szybszem tempie, nie zamierzamy bowiem spocząć, dopóki nie doprowadzimy do 30 tysięcy, a gdybyśmy się sądom musieli opłacać, jak dotychchas, po 2½ M. za każdego, to brakowało by nam majątku.

Sprawozdanie to, określające nasz stosunek do rządu pruskiego, wybraliśmy właśnie na nowy rok dlatego, aby przekonać czytelników, że patryotyzm polski w Prusach kosztuje drogo, a wobec tego każdy człowiek dobrej woli powinien współdziałać z nami w sprawie szerzenia naszego pisma. Czas świąteczny nastręczy niejednemu wybornej sposobności pomówienia o sprawach publicznych ze swymi znajomymi, niechże nikt nie zapomina o tem, aby wtedy nasze pismo poprzeć i zalecić.

Zwracamy też uwagę, że jednym z najlepszych i najmilej widzianych podarków między znajomymi powinnoby być dawanie zapłaconych kwitów abonamentowych na „Pracę“. Niechaj nam życzliwi użyją tego sposobu dla werbowania nowych zwolenników.

A teraz, zamykając niniejszem naszą spowiedź grzechów wobec państwa pruskiego, zaznaczyć musimy, że w pracy naszej ustawać nie zamierzamy.

Od czasu wydalenia przymusowego Dra Rakowskiego (czem rząd chciał główny atut przeciw nam wygrać) liczba abonentów wzrosła o *pięć tysięcy*, a tej wiosny, po ukończeniu budowy domu dla naszej drukarni, stanie *maszyna rotacyjna,* z której z szybkością sześć tysięcy egzemplarzy na godzinę wypuszczać będziemy w świat nasze karygodne wobec Prus artykuły. Obecnie, przy zwykłych maszynach drukarskich, które cały dzień drukować musiały jeden arkusz numeru, szło to nam za wolno. *Pójdziemy zatem całą siłą pary naprzód!*

Nasze „winy“ nam Polska przebaczy. „*Praca.*“

O brzasku dwudziestego wieku.

Z dniem pierwszym stycznia 1901 rozpoczynamy nowy wiek, wiek dwudziesty.

Stary nasz dobry znajomy, wiek dziewiętnasty, w którym my wszyscy dzisiaj żyjący porodzili się i dotychczasowe życia wiedli boje, stoczy się w czasu przestrzenie, zapadnie w tę głębię bez brzegu, bez dna, która się przeszłością nazywa. Dotychczasowe „dzisiaj“ świata, stanie się jego dniem wczorajszym i coraz dalej w przeszłości mgły zasuwać się będzie.

Dziewiętnaście wieków już minęło od czasu, że Chrystus przyszedł głosić ludziom zbawienie w miłości, a i tych wieków dziewiętnaście to tylko część mała życia ludzkiego na ziemi; zapuszczając wzrok w przeszłość po za siebie, gubimy go w jakiejś tajemniczej, niezgłębionej dali, która wstecz sięga na całe wieków tysiące przed przyjściem Chrystusa Pana. Czasy przedhistoryczne, o których ledwo kamień jaki zwietrzały lub żelaza rdzawego kawał nieme nam daje świadectwo, Assyryi i Babylonii dziś w gruzach leżące budowle, Egiptu pyramidy i królów jego mumie w grobowcach, Hellady starożytnej duchowe zwycięstwa i tryumfy, Rzymu rzeczypospolitej i cesarstwa nad ówczesnym światem mieczowe panowanie, wieków średnich zapatrzenie się w niebo z pogardą dla ziemi i życia ziemskiego, Włoszech, a później Francyi duchowe ludom przewództwo, wieku dziewiętnastego międzynarodowe współzawodnictwo — to główne etapy, w których różne ludzkości narody brały brzemię życia i dziejów na siebie, niosły je dalej i wkładały znowu na barki młodszemu następcy, to praca ludzkości — Syzyfa.

Czemże jest w tym potężnym wieków trudzie wiek dziewiętnasty, z którym nam żegnać się dzisiaj przychodzi? Chwilą jedną, *jednem* serca uderzeniem, *jednym* płuc oddechem ludzkości olbrzyma. A przecież i w tej krótkiej życia jego chwili wy-

słyszeć możemy wszystkie drgnienia i uczucia wszystkie całego wszechwiekowego rozwoju. Wszystkie wielkie cnoty i poświęcenia, wszystkie nikczemności i zbrodnie, walkę ciemnoty ze światłem, walkę wolności z niewolą, miłości z nienawiścią, odwieczną walkę szatana z Bogiem, dobra ze złem; tę walkę będącą treścią wiekowego życia ludzkości i każdej jego chwili, mamy niemniej w tym jednym wieku dziewiętnastym jak w całym wieków szeregu.

* * *

Jeżeli kto, to my właśnie, dzisiaj w niewoli, zapomnieniu i pogardzie, mamy o zachodzie wieku dziewiętnastego powód i potrzebę podumać i namyślić się nad dziwną wieku tego koleją, nad strasznym zawodem, jaki wiek ten ludom, a nam w szczególności przyniósł.

Wiek dziewiętnasty wszedł w promiennym blasku wolności; już były padły we Francyi dotychczasowe rządy królów-samowładców przed wolnością i wolą ludu, rewolucya francuska zatrząsła tronami Europy i za przykładem Francyi Europa cała śpiewała:

Liberté, liberté chérie
Combats avec tes défenseurs.*)

Napoleon, ten bohater rewolucyi francuskiej i pogromca jej zarazem rozniósł zwycięskie wolności sztandary po Europie całej i wszędzie rozbudził wolności pragnienia i nadzieje. My Polacy, wówczas już od lat kilkunastu na troje rozdarci i trojakie dźwigający jarzmo więcej od innych uwierzyli w niego, w tego boga wojny i zwycięstw i patrzeli rychło z jego zwycięskiej ręki, która królów starych z tronu strącała, a nowe stwarzała trony, i dla nas wolność spadnie.

Wtenczas to powstała ta pieśń, w której się do dziś miłość ojczyzny i wolności u nas streszcza, ta pieśń, która burzy krew w każdym Polaku i nadzieję w nim wskrzesza, wtenczas naród potrójne dźwigając kajdany śpiewać począł:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!

Upadł Napoleon i umarł cicho na bezludnej wyspie, ale z nim nie zeszło do grobu marzenie wolności. Rok trzydziesty znowu powiał potężnem wolności tchnieniem przez Europę od Paryża aż po Warszawę

*) Wolności, wolności kochana,
Walcz wspólnie z swemi obrońcy.
Słowa z Marsylianki, francuzkiej pieśni narodowej.

i dalej jeszcze na wschód; ale on nie przyniósł nam wolności plonu. Dwa razy jeszcze chwytał naród za broń przeciwko ciemięzcy i dwa razy na próżno; na marne poszły nasze „arcydzieła męztwa,“ jedynie krwią swą użyźniły może ziemię pod lepszą przyszłość.

Im zawodniejsze okazywały się nadzieje, pokładane w orężnej obronie, tem bardziej i tem goręcej począł naród nasz szukać pomocy i obrony u Króla nad królami, u Pana zastępów. Przyszła w życiu duchowem i politycznem narodu ta chwila, której najwymowniejszy może wyraz dał Krasiński, w swoim „Przedświcie“, kiedy w imieniu i w myśl narodu te słowa głosił:

Z razu jam ufał, że Bóg miłosierny
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny,
Z razu jam ufał, że za dni niewiele,
Zlecą zesłane anioły mściciele
I grób ten pęknie co stoi wśród świata!

Inni szli w tym kierunku jeszcze znacznie dalej, niż Krasiński; poczęli tonąć w mistycyźmie, w jakiemś błogiem rozmyśleniu się w Bogu i zapatrzeni w niebo czekali rychło zeń spłynie wolność ojczyzny i ludzkości zbawienie. Ale czekali napróżno! Nie zesłał Bóg swoich aniołów, lecz z niebios wysokości patrząc, kazał ludom samym wywalczyć sobie lepszą przyszłość. I tak „dni płynęły, upłynęły lata“ na marnem czekaniu, aż zwolna dopiero, widząc i czując, że *coraz podlej* na tej ziemi się dzieje, budziliśmy się do tego przekonania, że Bóg bez nas samych nie może nas zbawić, a wraz z tem przekonaniem, budziliśmy się do nowego życia i nabywali doń nowe prawo.

Wiek dziewiętnasty, dzisiaj idący do grobu, nie spełnił tego co zapowiadał. Wszedł on i zajaśniał pod znakiem wolności; zdawało się, że z brzaskiem jego wolność i sprawiedliwość zapanują na świecie dla wszystkich; tymczasem końcowe dzieje wieku tego są urąganiem i pośmiewiskiem wolności, przedrzeźnianiem sprawiedliwości, tryumfem brutalnej siły, gwałtu i ciemiężenia słabszego.

Wiek dziewiętnasty, chylący się do grobu, to wiek, w którym mordowano bezbronnych Armeńczyków, gnębiono o wolność walczących Greków, wymyślano tortury fizyczne i duchowe na Polaków, gwałcono Burów, wyprawiano mordercze wojska za morza do Chin po zabór. To wszystko działo się w wieku dziewiętnastym ze zgodą całej Europy i w imię jej, w imię jej cywilizacyi!

Cóż w obec takiego wyniku znaczy rzekomy postęp, kultura wieku dziewiętnastego? Cóż znaczy zewnętrzna cywilizacya, zasadzająca się na maszynach parowych, na wozach elektrycznych, na telegrafach i telefonach, wygodnych drogach, okazałych hotelach, skoro dusze ludzkie nie tknięte do dna pługiem cywilizacyi, nie przeorane lemieszem dobra i piękna?

Za wieleś zapowiadał, a zamało spełnił, wieku dziewiętnasty! Oby przyszłe, szczęśliwsze od nas pokolenia nie wydały na Ciebie potępienia sądu!

* * *

Witamy wiek dwudziesty; żaden z nas, którzy dziś na wschód jego patrzymy, zachodu jego nie doczeka. Lecz oby ci, którzy za lat sto żegnać go będą, nie potrzebowali mu dawać do grobu bolesnej skargi i gorzkiego wyrzutu, jak my to dzisiaj czynimy. Oby się doczekali wolności brzasku i wymiaru sprawiedliwości! My idźmy dalej na obranej drodze. Brońmy śmiało i hardo zagrożonych naszych zagród i ojców ziemi, walczmy o każdy zagon, o każdą piędź, o każde dziecko nasze, o każdą myśl naszą, którą dzisiaj chcą stłumić. Pod znakiem twardej walki zaczynamy nowy wiek. Ale w walce rosną i tężeją siły. Każdy na swojem miejscu niech będzie żołnierzem i nie da się zepchnąć ze swego stanowiska. Choć małe jego koło działania, błogosławione może praca jego wydać owoce. Droga każdego z nas, to jakby mrówki ścieżyna, a praca jak owo źdźbło, które mrówka do kopca niesie. Ale ze dźbeł tych wielkie powstają mrowiska, ruchu, pracy i życia pełne.

Ruch, praca i zdrowe życie to nasze dzisiejsze hasło. Z niem możemy śmiało patrzeć w przyszłość i śmiało iść w nią w imię naszej polskiej wolności. Wolność nasza to myśl, która leżeć powinna na dnie wszystkich naszych myśli i uczuć, czynów, prac i zamiarów. Wieku dwudziesty, bądźże ty nam wiekiem wolności!

Poznańczyk.

Rok ubiegły w Polsce
pod względem politycznym, społecznym i ekonomicznym.

Rok 1900, tak obfity w wypadki na polu polityki zagranicznej państw europejskich, na polu polityki wewnętrznej, mianowicie w związku ze sprawą polską, nie przyniósł żadnych przełomowych zwrotów. Jakkolwiek jednak w stosunkach żadnej z prowincyi polskich nie można zauważyć faktycznej zmiany na lepsze w stosunkach politycznych, to wszakże pomimo to wszystko koniec stulecia odznacza się podniesieniem a nie upadkiem uczuć patryotycznych we wszystkich trzech zaborach.

Pomimo przeciwności wszelkiego rodzaju, pomimo złego ekonomicznego stanu, pomimo repressalii rządowych, duch polski we wszystkich dzielnicach Polski budzi się i coraz śmielej podnosi głowę.

Stulecie XIX zamykamy przeświadczeniem, że w wiek dwudziesty wnosimy zasób uczuć narodowych, który pozwoli nam urzeczywistnić ideały sprawiedliwości i rewindykacyę praw naszych.

Zabór Pruski.

Rok ubiegły w zaborze pruskim zaznaczył się niesłychanem wybujaniem agitacyi hakatystycznej, która potrafiła wciągnąć w swe wpływy i sfery rządowe, aby je użyć jako narzędzie w celu osiągnięcia swych planów antypolskich.

Hakata święciła wielki tryumf, gdy jej się udało nakłonić mianowicie ministra Studta, do wydania osławionego reskryptu kasującego język polski w szkołach i wprowadzającego naukę religii po niemiecku. Kilka wieców, wśród których wiec urządzony przez socyalistów dla niezwykłości swej powszechną zwrócił uwagę, zadokumentowały oburzenie ludności polskiej z powodu tego niesłychanego ograniczenia praw mowy ojczystej $3^1/_2$ milionów Polaków.

Wślad za reskryptem Studtowskim idzie fakt znamienny w historyi zaboru pruskiego — uwięzienie Polki za nauczanie dzieci polskiego języka bezpłatnie. Uwięzienie panny Omańkowskiej pobudziło do żywego protestu takich nawet ludzi, którzy obojętnie zachowywali się wobec polskości, a robotnicy poznańscy wręczyli wypuszczonej z więzienia adres, publiczność zaś demonstracyjnie przyjęła ją owacyami przed więzieniem.

Do ożywienia ruchu polskiego w Poznaniu przyczynił się świetny zlot Sokołów, którego wspomnienie na długo nie wygaśnie w sercach uczestników.

Z powodu śmierci posła Dziembowskiego, (Niemca) zawakował mandat w okręgu babimojsko-międzyrzeckim. O mandat ten ubiegał się ze strony polskiej postawiony przez centralny komitet wyborczy, a przez wszystkie koła polityczne polskie z zapałem popierany kandydat, mecenas Chrzanowski. Obok dwóch kandydatów Niemców, którzy się zwalczali nawzajem, wystąpił przeciw niemu apostata narodowy ks. Krzesińsky z Kaszczora, Polak z pochodzenia, który chciał karyerę zrobić, kandydując przeciw Polakowi jako reprezentant katolików niemieckich. Przy wyborach zbłąkany ten kapłan poniósł sromotną porażkę, dostał bowiem zaledwie pół tysiąca głosów. Ponieważ w nieuczciwej agitacyi swej posunął się aż do tego, że swą władzę duchowną wciągnął, jako patronkę swych zamiarów politycznych, zrektyfikowany przez księdza Arcybiskupa, ośmieszony wśród swych parafian, pojechał do Rzymu odprawiać rekolekcye pokutne. Z powodu jednak listu pasterskiego ks. Arcybiskupa do ks. Krzesińskiego, hakatyści dopuścili się niesłychanych ataków zarówno na osobę ks. Arcybiskupa Stablewskiego jak na władzę duchowną wogóle. Ataki te otworzyły oczy najbardziej opieszałym i ludowi prostemu wskazały na usiłowania rządu, zmierzające do opanowania kościoła.

Na polu ekonomicznem w roku ubiegłym w Poznańskiem dawała się uczuć poważna depresya ogólna. I tak już liche stosunki rolnictwa nowych szkód doznały wskutek zakazu dopuszczania robotników polskich z Galicyi lub Królestwa. Emigracya robotników Księstwa do przemysłowych okręgów niemieckich nowe wciąż luki robi w zasobie sił krajowych. Stosunki rolnicze przybierają wciąż formę taką, że rolnictwo chyba tylko dla małej własności chłopskiej jest jeszcze dość intratnym zawodem. Tembardziej więc starać się powinno ziemiaństwo polskie o to, aby ziemię tę, o ile samo jej utrzymać nie może, oddawać w ręce drobnych właścicieli, czyli parcelować. Tymczasem w ubiegłym roku wydarzył się szereg sprzedaży majątków rodzinnych na kolonizacyę. Czyny te ciemną, hańbiącą plamą padają na całe społeczeństwo i okrywają je żałobą.

Idea samopomocy i na tem polu doprowadziła do założenia „Związku ziemian“, który uratuje zapewne niejedną piędź ziemi polskiej od sprzedaży w ręce niemieckie.

W innych prowincyach naszego zaboru, a mianowicie w Prusach Zachodnich rok ubiegły dobrze się zaznaczył, mianowicie na polu rozbudzenia ducha narodowego.

Nawoływania gazet, wiece, urządzane po rozmaitych punktach, przyczyniły się do rozszerzenia czytelnictwa polskiego i gazetom naszym coraz szerszy zdobywają teren działania. Z powodu spisu ludności, który hakatystyczni nauczyciele i landraci chcieli przeprowadzić w ten sposób, aby Polaków zapisywać jako Niemców — w Prusach Zachodnich w licznych punktach doszło do tego, że świadoma swej narodowości, a oburzona fałszami ludność polska zmu-

siła spisujących do wydania list i sama wpisała swą narodowość w rubryce polskiej.

Podobny objaw pocieszającego rozwoju polskości spotykamy na Górnym Śląsku. Równocześnie jednak rok ubiegły dał nam poznać wzrost jeszcze dwóch innych doniosłych prądów na Górnym Śląsku. Jednym z nich jest — wzrost socyalizmu, drugim zaś — szerzenie się przekonania, że Polacy by zyskali na tem, gdyby Rosya Prusakom odebrała dzielnice polskie wraz ze Śląskiem. Nie znający historyi ostatnich stu lat naszej niewoli, lud górnośląski zaczyna coraz silniej i coraz pewniej występować ze swemi nadziejami przyłączenia do Rosyi.

Jak powiew świeżego wiatru, oczyszczający powietrze zarówno z prądów socyalistycznych jak i skrajnie rusofilskich, powinien tu podziałać zwrot gazet polskich, mianowicie „Katolika“, na czysto polskie stanowisko. Zerwanie przyjaźni z centrowcami, a postawienie kandydatów polskich jest koniecznością, której zrozumienie dziś coraz bardziej toruje sobie drogę na Ślązku i do tego rezultatu doprowadzić musi.

Przejdźmy teraz do innych dzielnic Polski.

W Królestwie Polskiem

rok ubiegły zaznaczył się powrotem do reakcyjnych czasów Hurkowskich. Kary wymierzane za naukę języka polskiego przez prywatne osoby — były na porządku dziennym. To była smutna rzeczywistość, — w teoryi zaś rząd wprowadzał język polski do szkół.

Cenzura gazet i książek zagranicznych stawała się coraz ostrzejszą, natomiast nieco zmniejszyła się samowola urzędników rosyjskich, pod którą cierpiała ludność Królestwa za czasów Hurkowskich. Energiczny Imeretiński starał się nawet surowość rządów swoich ująć w formę ustaloną, prawną.

Pożar Częstochowskiego klasztoru, zwanego Jasną Górą, wstrząsnął boleśnie całą Polską — i nietylko z Królestwa, ale i z najodleglejszych dzielnic Polski, z pod innych zaborów i z wychodźtwa posypały się hojne składki na odbudowanie zniszczonej wieży. W tem wspólnem ratowaniu klejnotu przeszłości naszej świetnie objawiła się solidarność ducha polskiego, dla którego słupy graniczne nie istnieją.

Dnia 22 grudnia r. b. odbył się w Warszawie uroczysty obchód jubileuszowy dla Henryka Sienkiewicza, znakomitego powieściopisarza naszego, którego wszystkie dzielnice Polski uwielbiają jednakowo. I w tym obchodzie święciły trzy zabory wspólne święto połączenia się duchowego. Telegramy zewsząd nadesłane świadczyły, że gdzie tylko mowa polska dźwięczy, tam jednakiem tętnem biją serca polskie.

Śmierć Imeretińskiego w Warszawie stanowi fakt doniosły dla Królestwa, gdyż od jego następcy zależeć będzie pokierowanie dalszą polityką; obecnie panuje stan zawieszenia.

W Galicyi

sprawy ekonomiczne wysunęły się na czele. Powiązany z krachem galicyjskiej Kasy Oszczędności przełom finansowy odbił się niepomyślnie na gospodarczych stosunkach kraju i tak trapionego nędzą i klęskami żywiołowemi.

W lecie powodzie, zwłaszcza wylew Sanu, sprawiły kolosalne szkody — i niejedna łza powodzian po dziś dzień jeszcze nie została otarta pomimo wyasygnowania pewnej kwoty zasiłkowej przez rząd centralny w Wiednin.

Galicya, rozerwana walką stronnictw, zajadle się zwalczających z zapomnieniem celów istotnie narodowych, pod względem politycznym przedstawia smutny stan rozkładu. Wśród smutnych refleksyi, jakie historya roku ubiegłego w Galicyi nasuwać z konieczności musi, jeden jasny promyk daje się zauważyć: a tym był jubileusz, który święciła wszechnica jagiellońska.

500-lecie istnienia tej wszechnicy zgromadziło przedstawicieli nauki ze wszystkich krańców, dokąd dotarła wiedza. Przedstawiciele zagranicznych uniwersytetów i rządów oddawali życzenia starodawnemu temu polskiemu uniwersytetowi. Lecz i nad tem świętem zaciężyła chmura — nieprzyjęcie daru Górnoślązaków, nietakt uczyniony przez rektora uniwersytetu, p. hr. Tarnowskiego.

Obecnie Galicya znajduje się pod świeżem wrażeniem wyborów do rady państwa. Jakby uznając, że w obecnych parlamentarnych warunkach wybory te nie mają praktycznego znaczenia, szerokie warstwy ludu zachowały się dość biernie, dając tem samem powód do głoszenia zwycięstwa „Stańczyków“.

W październiku r. z. ukończono budowę i otwarto nowy teatr miejski we Lwowie. Sztuka polska dostała nowy przybytek, a rządy w nowej świątyni objął człowiek, w którym sfery artystyczne największe pokładają nadzieje.

Alfa.

Reduta polskości.

W ciężkich żyjemy czasach. Na każdem polu pracy Polak przebojem zdobywać sobie musi kawałek chleba. Gdzie w konkurencyę wchodzą z jednej strony Polak, a z drugiej strony człowiek innej narodowości, to Polak zawsze pewien, że jego przeciwnik ma za sobą poparcie urzędów i władzy.

Jeśli kupiec — to ma z góry zapewnioną klientelę w sferach urzędniczych, jeśli przemysłowiec — to czekają na niego intratne dostawy rządowe, jeśli rólnik — to dostanie wszelkie możliwe kredyty melioracyjne.

A jeśli mu już sfery rządowe *ex oficio* nie mogą nieba przychylić, to usłużny związek hakatystyczny wyrobi mu kredyty, zaopatrzy go w kapitały, da informacye, zrobi mu w pismach reklamę, żądając od niego jednej tylko rzeczy: gospodaruj tak, aby twój konkurent Polak musiał się wynieść z torbami.

To, co w dzisiajszych stosunkach przy oficyalnym systemie „wzmacniania niemczyzny na kresach wschodnich“ Niemiec ma dlatego tylko, że jest Niemcem —

Polak musi wywalczyć krwawą pracą, odmawiając sobie zaspokojenia najgwałtowniejszych potrzeb, oszczędzając na każdym punkcie. Niemiec przychodzi do zastawionego suto stołu — i potrzebuje tylko mieć apetyt, Polak zaś długo stoi głodny, zanim sobie wywalczyć zdoła jakie takie utrzymanie. Jemu nikt nie daje premii „za popieranie niemczyzny“, jemu nikt dzieci bogatemi stypendyami nie zaopatrzy, jemu nikt pomocnej dłoni nie poda, gdy go bieda zmusi do sprzedania majątku.

A więc: że każda piędź ziemi, że każdy niemal pług, warsztat, czy kantor kupiecki w ręku Polaka okupiony być musiał szeregiem olbrzymich poświęceń, nakładu pracy i oszczędności, tem bardziej też cenić winniśmy każdy punkt pozostający w naszych rękach.

Niedawno porównywano już wielokrotnie nasz stan ekonomiczny do fortecy, otoczonej zewsząd posterunkami wrogów, atakowanej przedewszystkiem na punktach najsłabszych. Każdy warsztat, każdy handel, każda wioska lub folwarczek, co przechodzi z rąk naszych w ręce obce — to *wyłom uczyniony w murach tej fortecy.*

Spojrzyjmy pobieżnie choć na kilka lat ubiegłych, a przekonamy się niewątpliwie, że *największe straty ponieśliśmy i ponosimy wciąż jeszcze w ziemi.*

Ta ziemia, z której my wszyscy wyszliśmy jako naród rolniczy, w której przez tyle wieków szukaliśmy oparcia i znajdowaliśmy je, — dziś jest owym najsłabszym punktem w obronnych wałach naszej fortecy. Tam wróg największe porobił wyłomy, tam w pół drogi jeszcze sztandarem zwycięztwa się chlubi i woła szyderczo: za złoto kolonizacyjne kupię od was zwycięztwo!

W chwili ataku na fortecę, dobry dowódzca każe wszystkim obrońcom stawać w miejscu najsłabszem, w tem miejscu, gdzie już w wyłomie murów stanął nieprzyjaciel.

A jeśli u nas owem najsłabszem, najbardziej zagrożonem miejscem, przez które powódź zwycięzka wrażego elementu wedrzeć się może do wnętrza fortecy — jest ziemia, jest rolnictwo, to czyż nie powinniśmy wszyscy garnąć się do obrony tego właśnie atakowanego punktu!

Tak jest. Nie ulega dziś wątpliwości, że gdy w naszych własnych szeregach nieliczne zdeprawowane jednostki sprzedawczykowskie święcą orgie, orgie zdrady narodowej — tembardziej garnąć się powinniśmy do obrony, my wszyscy, którzy czujemy potrzebę walczenia za sprawę, potrzebę gojenia ran, zadanych krajowi przez handlarskie dłonie sprzedawczyków.

A więc wszyscy, wszyscy, kogo stać na to, powinni się garnąć do wykupywania ziemi z rąk niemieckich. Wykupienie zagrody włościańskiej nieraz tyle znaczy, co wykupienie wsi, jeśli ten, co zagrodę wykupił w imię dobrze pojętego obowiązku obywatelskiego, potrafił później między sąsiadami swymi być wymownym tego obowiązku rzecznikiem, zachęcać do wytrwałości, oszczędności, podnosić ducha polskiego!

W wykupywaniu ziemi jest zaszczytne pole zasług dla każdego. Na tem polu każdy może położyć niepojęte dla kraju zasługi obywatelskie, dać przykład dorastającemu pokoleniu, pozostawić najlepszą i najzaszczytniejszą spuściznę swym dzieciom. Każda piędź ziemi polskiej — to posterunek, to reduta polskości. A więc brońmy jej z całych sił, dążmy z całych sił do jej odzyskania.

Verus.

Niech żyje wolność obywatelska!

(Kilka wesołych uwag na znany smutny temat.)

Przed wejściem do jednej z sal, w których zazwyczaj odbywają się wiece, zebrania wyborców i t. d. stoi na ulicy spore grono osób, żywo rozmawiając i gestykulując. Pomiędzy nimi uwija się kilku policyantów, zachęcając do rozejścia się. We drzwiach policyanci, na chodniku policyanci, na środku ulicy także policyanci. Z za węgła ulicy najbliższej połyskują pikelhauby, na dachach przeciwległych kamienic pikelhauby, z kominów domów dyskretnie ukazują się pikelhauby. Pomiędzy publicznością uwija się pełno poprzebieranych po cywilnemu szpiclów, którzy nadsłuchują, dają sobie znaki porozumiewające, zapisują w notatnikach.

Kilku przechodniów mimowoli staje i patrzy na zbiegowisko.

— Niech panowie idą dalej! — woła na nich policyant, który wraz ze sztabem swoich pomocników zajął całą szerokość trotuaru, tak, że niepodobna inaczej przejść jak tylko środkiem ulicy, narażając się na przejechanie przez dorożki.

Przechodnie jednak stoją. — Niech panowie idą dalej — tu nie wolno tamować przejścia, do milion djabłów! — krzyczy policyant.

— Co tu ma być? — pyta jeden z przechodniów stojącego opodal obywatela.

— To będzie wiec polski w sprawie nauki polskich dzieci — odpowiada zapytany.

— A to i ja zostanę — mówi przechodzeń i chce sobie torować drogę pomiędzy armią policyantów, którzy obstąpili wejście.

— Dokąd pan idzie? — ryczy pierwszy policyant. — Pan miał przecież iść sobie dalej.

— Ja chcę na wiec.

— To dlaczegóż pan mi odrazu tego nie mówisz?! Wiec się nie odbędzie, bo gospodarz lokal zamknął i gdzieś poszedł, — mówi policyant.

— A na cóż my czekamy zatem? — pyta przechodzeń swego sąsiada.

— A no przecież poszło kilku naszych do gospodarza po klucz. Umówił się, wziął pieniądze, a teraz lokal zamknął!

Po chwili zjawia się trzech obywateli Polaków, którzy prowadzą gospodarza lokalu. Wyciągnęli go prawie przemocą z łóżka, w którem się skrył, twierdząc, że jest chory.

— Dawaj pan klucz! — wrzeszczy tłum, coraz się powiększający.

Gospodarz przerażony groźną postawą tłumu składa ręce jak do modlitwy i załośnie mówi: — Ja wiem, że panowie mają racyę i żem postąpił jak marny szubrawiec, ale to pan komisarz policyi mnie wczoraj zawezwał i kazał pod karą odebrania koncesyi odmówić panom lokalu, aby wiec się nie odbył!

— Dawaj klucz, nam nic do tego! — ryczy tłum.

— Panowie na miłość boską, woła gospodarz, jam nie winien. Ja klucza nie mam.

— Kto więc ma klucz? — odzywają się groźne głosy.

— Klucz kazał sobie oddać pan komisarz — odpowiada gospodarz.

Trudna rada. Urządzający wiec idą z piśmiennem upoważnieniem gospodarza po odbiór klucza do komisarza. Po chwili wracają z kwaśnemi minami. Relacya krótka. Komisarz powiedział, że klucz zgubił, a ponieważ piśmienne upoważnienie gospodarza było bez notaryalnego stempla, więc skazał ich na 3 marki każdego.

— Posłać po ślusarza! — krzyczą głosy. — Otworzyć lokal!

Posyłają po ślusarza. Ślusarz przychodzi z narzędziami i zabiera się do otwierania drzwi, gdy zbliża się wachmistrz i kładąc mu ciężką dłoń na ramieniu, pyta głosem groźnym:

— Pokaż świadectwo przemysłowe! Pokaż *Gewerbeschein!*

Ślusarzowi opadają ręce. Przecież on w kieszeni tego papieru ze sobą nie nosi, bo ma naprzeciwko swój warsztat. Rzuca narzędzia, idzie po świadectwa. Zebrani klną pruską sprawiedliwość w żywe kamienie. Ślusarz wraca, okazuje świadectwo, otwiera drzwi.

— Hura! — z radosnym okrzykiem zebrani wchodzą do sali.

Za stołem prezydyalnym zasiada komitet. Obierają przewodniczącego.

Przewodniczący zaczyna:

— Panowie!

Przerywa mu wachmistrz dozorujący:

— Proszę okazać pozwolenie, na odbycie wieca!

— Ależ panie wachmistrzu, przecież pan mi sam je wręczył przed paru godzinami — odpowiada przewodniczący.

— To wszystko jedno. Jeśli go pan nie okaże, rozwiążę zgromadzenie!

Przewodniczący okazuje papier, wachmistrz siada.

Przewodniczący zaczyna swą mowę:

— Panowie! W Prusach, które chcą uchodzić za kraj równości obywatelskiej! — —

— Halt! — woła wachmistrz, — nie mogę pozwolić na zebranie, ponieważ nie widzę tu dostatecznej ilości lamp do oświetlenia.

— Ależ panie, wołają komitetowi — przecież teraz jest trzecia popołudniu, jasny dzień, a do ósmej widno! To jest dzienne, a nie wieczorne zebranie! Przy świetle wcale nie będziemy radzić!

— To mi wszystko jedno — woła wachmistrz — lampy muszą być!

Przyniesiono lampy. Przewodniczący rozpoczyna dalszą przemowę.

— Panowie! Są to niesłychane stosunki, aby...

— Halt! — woła żandarm. — Nie mogę pozwolić na zebranie, ponieważ drzwi się otwierają na wewnątrz. To jest karygodne! —

Szczęściem drzwi niegdyś były podwójne i od dawnych, na zewnątrz się otwierających, są jeszcze zawiasy. Obecnych kilku stolarzy drzwi wyjmuje z jednych zawias i po pewnej pracy umocowuje je na zewnętrznych.

Zebranie trwa dalej.

— Wzywam wszystkich panów na świadków, że naruszone tu zostały nasze prawa obywatelskie — —

— Przepraszam — woła wachmistrz Nie mogę pozwolić na zebranie, bo podług przepisu powinny się tu znajdować drzwi do ustępowego miejsca, gdyż może być potrzeba —

— Żebyś tam cholery dostał — mruknął ktoś ze zebranych pod nosem.

Pokazuje się, że drzwi, o które się tak troszczył wachmistrz, są, lecz były jedynie przykryte dyskretnie kotarą. Przeznaczają więc wachmistrzowi miejsce przy samych tych drzwiach tajemniczych. Lecz to mu nie wystarcza. Widzi on popiersie Mickiewicza i każe je wynosić, ponieważ „Mickiewicz jest obcym poddanym i nie ma prawa pobytu w państwie pruskiem“.

Mickiewicza wynoszą. Zebranie się rozpoczyna.

— Polityczne warunki wśród których żyjemy, są tak ohydne, że — —

— Rozwiązuję zgromadzenie! — woła żandarm. O politycznych sprawach mówić nie wolno!

— Więc cóż nam wolno? — pytają głosy pełne oburzenia

— Wszystko wolno, na co policya pozwala — namaszczonym głosem odpowiada żandarm.

— A kiedy policya na nic nie pozwala! — wołają wiecownicy.

— A cóż to panowie myślicie, odpowiada tryumfująco żandarm, że policya na to jest, aby pozwalała?! — i każe salę opróżniać.

Rrr...

Z TYGODNIA.

A więc minął wreszcie wiek 19-ty; zamknął się on przed nami, zapadł w wieczność i tylko na kartach dziejów, w księgach krzywd pisanych tam u Najwyższego i w umysłach ludzkich zostanie pamiątka tego, co on zdziałał i czem był dla ludzkości, mianowicie dla nas uciśnionych. Niewątpliwie wiek 19-ty był też jednym z najważniejszych dla ludzkości: w rolnictwie, w przemyśle, w naukach dał on człowiekowi tyle wynalazków, że na ich podstawie długo jeszcze rozwijać się i pracować będą przyszłe pokolenia. Koleje żelazne, które z niesłychaną dotąd szybkością przenoszą ludzi; telegrafy, po których myśl ludzka szybciej idzie, niż wszystko, elektryczność, która oświetla wielkie miasta, porusza maszyny i koleje; wynalazki w rolnictwie: maszyny, nawozy sztuczne, wreszcie dokładne poznanie przyrody, ziemi i roli, oto co nam dał wiek 19-ty.

I jeszcze jedno dał nam zapadający w mrokach wieczności wiek 19-ty. Dał nam on takie udoskonalenie druku, taką łatwość rozszerzania się książek i gazet, że jak nigdy, dostały się one pod strzechy najuboższych nawet wieśniaków. Tam zaś dokonały one cudu: oto ów ludek wiejski, który dotąd żył w ciemnocie, nie znając świata i tworów Bożych, oraz zawartych w nich tajemnic Stwórcy, jakby przypuszczony do stołu Pańskiego, zaczął je poznawać, rozpatrywać i dla swego pożytku oraz wygody używać. Bo czy słyszane to były rzeczy, nawet przed laty 30—40, iżby gospodarz małorolny znał przyrodę swego gruntu i roślin uprawnych; czy wiedział on o koniczynach, o przedplonach różnych, o płodozmianach, które znakomicie pomagają pracy narzędzi?

Albo któż dawniej wiedział, czem są chmury, czem błyskawice, czem pioruny, zaćmienie słońca lub księżyca? We wszystkiem rej wodziły wówczas czary, wróżby, baśnie, ale tej świadomości rozumnej, która robi człowieka panem otoczenia — nie było.

A czyż mało znaczy, że dziś każdy chłopek zapadłego kąta, co chwila, co dzień, co tydzień, może wiedzieć, co się dzieje nietylko w jego chacie i u najbliższego sąsiada, ale w całej Polsce, na obczyźnie i het za morzem.... Możność zaś zdobywania tych wiadomości kształci go i urabia i czyni doskonalszym, mądrzejszym, a zatem użyteczniejszym dla siebie i innych.

Czem będzie wiek 20-ty, zwłaszcza dla Polaków?

Wiek 20-ty będzie dla nas zwycięstwem, bo lud nasz, raz wszedłszy na dobrą drogę, pójdzie dalej i zdobycze ojców rozszerzy ku pożytkowi swojemu. Tak jest wiek 20-ty będzie zwycięstwem dla nas, bo jeżeli w końcu dogorywającego wieku kształciła się i czytała gazety oraz książki mała stosunkowo garstka polskiego ludu, to ta garstka będzie rosła aż do tego stopnia, że szukając najpilniej, nie znajdziesz i jednej chaty i jednego ogniska rodzinnego, gdzie życie ludzkie istnieje, żeby w niem nie było poczciwego drukowanego słowa.

Mową drukownego słowa dowiadujemy się oto, że na przedświątecznym konsystorzu jawnym w Rzymie Ojciec św. wygłosił allokucyę, w której przedewszystkiem wyraził radość swoją z tego powodu, że Najwyższy pozwolił mu dożyć „Miłościwego Lata“ i dał możność pobłogosławienia licznym rzeszom pielgrzymów, jakie podążyły w Świętym Roku do Stolicy apostolskiej i Wiecznego Miasta. Z tej wędrówki pątników należy się spodziewać dobrych skutków dla Kościoła i religii. Równocześnie jednak istnieją także liczne objawy bolesne, które wielką Ojcu św. sprawiają przykrość. Jednym z nich to konflikt między Włochami a Kościołem, którego skutki, jak się obawia Ojciec św., będą bardzo poważne. Jest to dla nas rzeczą prawdziwie bolesną — powiedział Papież — że pontyfikatowi zabrano gwałtem dawne i słusznie należne mu prawa państwowe, że pontyfikat znajduje się pod władzą trzeciego i od woli trzeciego jest zawisły. Ten ból nasz powiększył się jeszcze, gdy niedawno temu panowanie nad Rzymem przeszło z jednej ręki do drugiej, tak jak gdyby się to stało de jure, a nie na podstawie niesprawiedliwości. Chcemy, aby prawa Papieztwa pozostały nietknięte i całe, i oświadczamy, że praw tych znieść lub naruszyć nie może ani czas, ani prawo sukcesyjne panujących. Następnie Ojciec św.

wyznaczył kardynałów, którzy mają zamknąć bramy święte, poczem nastąpiło prekonizowanie kilku biskupów, między innymi metropolity hr. Szeptyckiego, arcybiskupa ks. Bilczewskiego i biskupa ks. Pelczara, wreszcie ks. sufragana Nowaka z Krakowa na biskupa in partibus infidelium w Irenopolis.

Na tem ograniczamy uwagi nasze przy schyłku roku; miejmy nadzieję i wiarę w rok nowy, w sprawiedliwość i w zwycięstwo. — — *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Policya nasza nie zapomniała i o nas w czasie gwiazdkowym; posypały się bowiem znowu kary policyjne i to na panie poznańskie. Rzecz się tak miała: Towarzystwo „Warta“, zbyt znane, aby się o jego pracy rozpisywać, miało przez długie lata lokal swych posiedzeń w lokalu „Czytelni dla Kobiet“ przy ulicy Wiedeńskiej. Gdy z październikiem „Czytelnia“ przeniosła się do Bazaru, wówczas i „Warta“ posiedzenia swe tamże odbywać zaczęła, ale popełniła tę „straszną zbrodnię“, iż zarząd towarzystwa zaniedbał zgłosić przeprowadzkę swą prześwietnej dyrekcyi tutajszej policyi.

Na mocy zeznania i świadectwa sekretarza policyi politycznej, pana Günthera, rozesłano więc mandaty karne na 15 grzywien każdej pani ze zarządu „Warty“, przyczem chciano ściągnąć nawet grzywnę z osoby, która, jak się w terminie wykazało, wcale do zarządu nie należała. Oskarżone panie Auówna, Chrzanowska, Leitgebrowa, Omańkowska, Rzepecka, dr. Stasińska i Tułodziecka, nie zapłaciły atoli kary policyjnej, lecz udały się po rozstrzygnięcie na drogę sądową.

O tym procesie pisze **„Goniec Wielkopolski“** co niżej:

„W ubiegły wtorek odbył się termin przed izbą ławniczą. Oskarżonych bronili pp: mecenasi Chrzanowski i Woliński. Charakterystyczną jest, iż policya nie zadowalniając się oskarżeniem zarządu „Warty“ nałożyła także kary na gospodarzy lokalu to jest na zarząd „Czytelni“ oraz na administracyą „Bazaru“.

„Tu widocznie w zapędach swych panowie z policyi poszli za daleko, gdyż sąd uwolnił administracyą „Bazaru“, a skazał dwie panie z zarządu Czytelni za zaniedbanie doniesienia o przeprowadzce „Warty“.

„W obronie oskarżonych wywodził p. mecenas Chrzanowski, iż „Warta“ raz na zawsze doniosła była policyi, że zebrania odbywają się w lokalu „Czytelni“, a skoro „Czytelnia“ zgłosiła przeprowadzkę swego towarzystwa, natenczas dalsze doniesienie o „Warcie można by uważać za zbyteczne. Pan Günther udał się w obowiązku kontrolowania zebrania na ulicę Wiedeńską, ztamtąd przybył do Bazaru, zatem nie miał trudności w odnalezieniu lokalu, to też uważać trzeba nareszcie kary w podobnym przypadku po prostu za „szykanę“.

„Mimo tej dobrej obrony skazał sąd ławniczy oskarżone panie każdą na 15 m. kary, przyczem jednak koszta sądowe nałożył fiskusowi.“

Z powyższego wynika dla towarzystw naszych nauka, aby zarządy „znały“ swoje obowiązki i sumiennie je wykonywały. Każda strata pieniężna w naszych organizacyach społecznych jest krzywdą wyrządzoną narodowi; wcale bowiem nie wchodziłoby w rachubę tutaj „kto“ karę zapłaci, lecz jedynie sam fakt starczy na skonstatowanie, iż im więcej fiskus zbogacony, tem bardziej osłabiamy siły żywotne nasze.

Z powodu dokonanego w dniu 1-ym b. m. spisu ludności dochodzą nas ustawiczne skargi. W wielu miejscowaściach nie pytano się nikogo o wiarę i język ojczysty i nikt też nie wie, jak go zapisano. Najwięcej bodaj dokazywali hakatyści na Górnym Slązku.

Do **„Dziennika Śląskiego“** piszą z powiatu Bytomskiego:

„O tegorocznym spisie ludności donosi nam pewien abonent co następuje: Był u nas pewien pisarek, ale nie przybył do pomieszkania, lecz poszedł do gospodarza czyli właściciela domu i ztamtąd kazał nas zawołać i wypytywał się. Mnie w domu nie było. Gdy się dowiedziałem o tem, jak było, rozgniewałem się, gdyż tyle przecież jestem wart, żeby do mnie przybył spisywać. Jak tam pisarek spisywał, tego nie wiemy. Podobno się wcale nie pytał, czy ma kogo zapisać do niemieckich, czy do polskich ludzi. Moja cała rodzina jest polska. Biada człowiekowi, któryby się podał za Niemca, gdy jest Polakiem. Ja Polakiem pozostanę do śmierci. Tu gdzieniegdzie szkolarki (dziewczęta, spisywały. Czy to słusznie, że się na dzieci spuszczają przy tak ważnej sprawie? Jak tam nauczyciel zapisał, Bóg wie najlepiej.

„Głupstwem jest, że są jeszcze tacy, którzy się wstydzą, że są Polakami. Naród polski jest wielki i sławny. A największem głupstwem jest używać nazwy „Polak“, jako nazwisko, np. gdy się gniewają na kogo. Według mego zdania dziś to ani chłopcom na granicy nie uchodzi, gdy się bydło pasąc kłócą z chłopcami z Królestwa Polskiego. Żadna granica nas nie może rozdzielić, skoro Bóg stworzył nas jednym narodem. Ja moim dzieciom mówię od pierwszych dni, że są Polakami, że mają Polakami pozostać, bo Bóg tak chce, — a zasię ludzkiej złości, która nas uczy gardzić nazwą „Polak“, a o tem opowiadam wszędzie, gdzie mogę, aby jak najprędzej nastał czas, żebyśmy wszyscy z dumą nazywali się Polakami.“

Wobec tych szykan i krzywd ze strony hakatystów budzi się coraz bardziej w ludzie naszym idea samopomocy i obrony praw naszych. Swiadczy o tem wiec w Kartuzach, odbyty świeżo, wśród ogromnego udziału rodaków z miasta i okolicy. Zagaił go i przewodniczył mu ks. prob. Szotowski z Chmielna. W mowie swej zacny kapłan wykazał przewrotność usiłowań hakatystycznych, zmierzających do tego, ażeby księża po za kościołem z życiem prywatnem i publicznem parafian nie mieli żadnej styczności. A właśnie — tak dowodził ks. Szotowski — obowiązkiem kapłana jest wszędzie łapać złe za rogi i usuwać na stronę, a w miejsce tegoż wprowadzać co dobre. Duchowieństwa rzeczą działać podczas wyborów, aby swego posła przeprowadzić, zakładać towarzystwa i do nich lud przyciągać i dla tego ludu starać się o dobre książki, pisma i t. d.

Następnie przemawiał do wiecowników w podniosłych słowach poseł Janta Połczyński.

Radują się serca nasze, na widok, że z dniem każdym zwiększają się szeregi przodowników między duchowieństwem, ziemianami, mieszczanami i włościanami, którzy walczą dla sprawy słusznej i sprawiedliwej, a taka sprawa, da Bóg, w końcu odniesie zwycięztwo. Jest to bodaj najlepsze nasze noworoczne życzenie.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Od jednego z Czytelników naszych, zasługujących na zupełne zaufanie, otrzymujemy list poniższy z opisem faktu, który nam się wydaje prawie że nieprawdopodobnem nadużyciem:

Z obczyzny.

„Był to czas wielkanocny, gdym po długim pobycie na obczyźnie powrócił na krótki czas z kraju do Czerska, w Zachodnich Prusach.

„Ponieważ na obczyźnie, wśród Niemców nie miałem sposobności spowiadania się, więc poszedłem w tym celu do kościoła. Zastałem dużo ludzi, którzy się wszyscy chcieli spowiadać. Ponieważ to była pora wielkanocna, a ścisk był wielki, ludzie otrzymywali od organisty karteczki, aby się mogli spowiadać za karteczkami. Poszedłem więc do organisty. Było tam już kilkoro ludzi, którzy tak jak i ja przyszli po owe karteczki. Za kartę taką, bez której ksiądz nie wyspowiadał, trzeba było płacić dwadzieścia trzy fenigi, *piszę wyraźnie: 23 fenigi.* Była otóż jedna kobiecina, która miała tylko 22 fenigi, to z wielkiemi lamentacyami dopiero dostała kartkę, bo jej feniga brakowało, a drugiemu, co mu dwóch fenigów brakło, rzekła organiścina: „Ja nie mogę być stratna, jeżeli nie masz dwóch fenigów, to możesz się nie spowiadać.“ Chłopek rad nierad musiał odejść, bo bez kartki do Stołu Pańskiego nie mógł przystąpić. Wobec tego frymarczenia Sakramentem św. zmieniłem natychmiast mój zamiar i choć parę lat na obczyźnie się nie spowiadałem, opuściłem dom organisty, wydając ego karteczki. W kilka dni potem wróciłem na obczyznę i kraju od tego czasu nie widziałem, a to smutne wspomnienie do końca życia mnie będzie prześladować.“

(Przytaczamy list powyższy, aby dać możność zbadania całej sprawy i prosimy Szanowne Duchowieństwo, aby zechciało skandaliczny ten fakt zbadać i praktyki gorszące prawowiernych katolików usunąć. Nie 23 fenigi, ale 23

marki dalibyśmy z własnej kieszeni, aby módz to przykre wspomnienie z duszy poczciwego emigranta wymazać.)

Dr. Kazimierz R.

* * *

Bremena.

Szanowna „Praco“

Widując przez rok cały listy Twoich Czytelników z rozmaitych stron, ogłaszane na tem miejscu, nadsyłam i ja też Ci wiadomość o naszych rodakach, bawiących tu w Bremenie. Dawno już zbierałem się, aby to uczynić, dopiero jednak stanowcze ujęcie się za wychodźcami zachęciło mnie do tego.

Zanim więc w krótkich słowach opiszę tutajszą Polonię, wyrażę życzenie serdeczne „Pracy“, jako pismu, które najmniej ze wszystkich nosi cechę wyłącznie poznańską, a stara się wszystkim warstwom i wszystkim Polakom bez różnicy pochodzenia być szczerym i oddanym przyjacielem.

Niechajże „Pracy“ w tym nowym roku przybędzie drugie tyle abonentów, a niech jej w tem rozpoczynającem się nowem stuleciu przyświeca przez cały szereg lat gwiazda powodzenia zarówno w kraju, jak na obczyźnie. Polacy w Bremenie zawsze o to starać się będą.

W Bremenie Polaków jest kilka tysięcy. Zazwyczaj szacują ich liczbę na cztery do pięciu tysięcy. Naturalnie wobec rozstrzelenia w wielkiem mieście i wobec ciągłego ruchu przyjeżdżających i odjeżdżających z portowego miasta, jakiem jest Bremena, trudno cyfrę tę sprawdzić i ustalić.

Towarzystwo „Kościuszko“ jest najstarsze z towarzystw polskich, ale obecnie jest poniekąd w upadku, gdyż znajduje się pod wpływem księdza germanizatora, który uważa za zadanie tego Towarzystwa, aby ono było niejako stacyą germanizacyi i prowadziło już wprost do niemieckich towarzystw katolickich. Rezultat z tego jest taki, że liczba członków w tem Towarzystwie jest mała, bo silniejsze pod względem narodowym jednostki należą do towarzystw o tendencyach wybitnie narodowych, a słabsi duchem Polacy, których liczba jest bardzo znaczna, należą już do niemieckich katolickich towarzystw i germanizują się powoli. Jak prawie wszędzie tak i w Bremenie znajdujący się pod opieką księży niemiecki „*Männerverein*“ jest w wielkiej części złożony z Polaków. Towarzystwo „Kościuszko“ jest niejako filią tego „*Männervereinu.*“

Powstanie innych towarzystw polskich ściśle jest związane z losami towarzystwa „Kościuszko“. Otóż gdy w towarzystwie tem pod wpływem księdza-germanizatora, którego większość obrała sobie honorowym prezesem, wyraźny narodowo-polski charakter się zatracił, członkowie założyli towarzystwo „Jedność“, pracujące obecnie najruchliwiej na polu przeciwdziałania germanizacyi. Podobny charakter ma i towarzystwo „Bratnia Pomoc“.

„Towarzystwo socyalistów polskich“ składa się z kilku ludzi inteligentnych, oraz kilku rzemieślników. Ma ono bardziej narodowo-polski niż socyalistyczny charakter, z kolonią polską żyje w zgodzie, a z niemiecką socyalną demokracyą się nie brata, a większość członków tego towarzystwa należy do „Jedności“ i „Bratniej Pomocy“. Tym wyjątkowym wśród socyalistycznych towarzystw charakterem narodowym tłomaczy się, że gdy celem zliczenia głosów polskich postawiono narodowego polskiego kandydata przy wyborach do parlamentu, uzyskał on około tysiąca głosów.

Towarzystwa polskie w Bremenie żyją z sobą w zgodzie i tworzą „*Związek towarzystw polskich*“.

Dla charakterystyki nadmienić wypada, że gdy w roku 1895 Polacy zbierali składki na ołtarz polski w jednym z kościołów, socyaliści od składkowania się nie uchylali.

Jedynie sprawa opieki duchownej przedstawia ciemną stronę życia bremeńskiej kolonii polskiej. Historya polskiego ołtarza jest typowym przykładem tego.

Wobec braku opieki duchownej księży-rodaków walka z krzewiącym się coraz bardziej socyalizmem jest coraz trudniejszą. W tym celu grono ludzi dobrej woli pracuje tu w Bremenie nad rozszerzeniem „Pracy“ — a to w tem przekonaniu, że budzenie żywego narodowego uczucia jest jeszcze jedynym ratunkiem przed zgermanizowaniem. I dlatego wiernie stać będziemy zawsze przy „Pracy“, bo ona pamięta o tysiącach rozsianych wśród Niemców Polakach i stara się tlejące wśród nich uczucie przywiązania do kraju rozdmuchać w płomień wielki, dzięki któremu, jeśli nie oni, to ich dzieci powrócą do kraju — Polakami.

Z pozdrowieniem

Er.

* * *

Z Ostrzeszowskiego.

Szanowna Redakcyo!

Nie narzucam się ja zazwyczaj z korespondencyami, widząc wszechstronną działalność „Pracy“, ale nie mogę sobie odmówić tego, aby teraz oto, przy nowym roku nie złożyć redakcyi noworocznych życzeń w imieniu wszystkich czytelników naszego powiatu. Czytamy tu „Pracę“ pilnie, bo znajdujemy w niej to, czego potrzebuje dusza nasza. Znajdujemy w niej zachętę do pracy nad oświatą, pogląd na wszechstronne działanie germanizacyi i wynikające ztąd obowiązki dla Polaków; znajdują i ojcowie nasi poważne polityczne artykuły, a matki obok zachęty wypowiedzianej do kobiet polskich w słowach jasnych i łatwych — znajdują piękne wiersze i powieści. I takeśmy się przyzwyczaili do tego pisma, że gdy z innych gazet często się dowiadujemy o jakiejś rewizyi lub procesie „Pracy“, to jakby nas samych kto skrzywdził, a gdy raz widocznie cała paczka numerów w Ostrzeszowskiem abonowanych zaginęła, tak że w niedzielę nie dostaliśmy „Pracy“ to wielu nas chodziło markotnych, bośmy się obawiali, że tam prokuratorya albo policya swą rączkę w tem umaczała i że numer wcale nie wyszedł. A dopiero gdy wyszedł numer o pannie Omańkowskiej! Toć to miły Boże, jakby nam z serca kto wyjął wszystko, co o tej sprawie Redakcya napisała. Zwłaszcza pomiędzy Polkami ten numer był rozrywany i swoją powinność sprawił.

I niech kochana Redakcya będzie pewna, że ani jedno słowo serdeczne, które w swem piśmie do Czytelników wypowiada, nie pada na nieurodzajną glebę. My potrafimy się odwdzięczyć za tyle trudów i serdecznem przywiązaniem dla pisma, a uznaniem dla jego pracowników odpłacimy. Więc w tym Nowym Roku życzę dużo, dużo powodzenia. Będzie to powodzeniem wspólnej naszej sprawy.

Czytelnik z Ostrzeszowskiego.

* * *

Z Bydgoskiego.

Szanowna Redakcyo!

(Germanizacya za pomocą urzędu stanu cywilnego na Wilczaku (Schleusenau) *pod Bydgoszczą.)*

Mimo częstych upomnień w gazetach nasi Polacy jednak germanizują dzieci swoje. Pisano już obszernie w „Gazecie Bydgoskiej“ i innych pismach polskich o wykroczeniach urzędnika stanu cywilnego p. Rogalla na Wilczaku i zdawało się, jakoby p. R. przestał germanizowania imion i nazwisk polskich. Lecz niestety germanizacya płynie szerokiem korytem i niemczy imiona i nazwiska polskie masami. Niedawno temu konduktor kolei elektrycznej, p. Bielski, zameldował nowonarodzonego syna swego i chciał mu dać imię Wacław, lecz p. Rogalla uparł się i wpisał „Josef“.

Kobiety, które przychodzą do niego w sprawie urzędowej, zniewolone są podpisywać się końcówką „ski“ zamiast „ska“ a więc zamiast Bolewska „Bolewski.“

Dnia 15go bm. zameldował robotnik Walenty Jenczek syna tamże i życzył sobie imię Wacław. Pan Rogalla wystawił dokument; „Bescheinigung über Eintragung eines Geburtsfalles (poświadczenie urodzenia), które brzmi w tłomaczeniu polskiem jak następuje: W księgę urodzeń urzędu stanu cywilnego na Wilczaku (Schleusenau) z r. 1900 pod nr. 356 wpisano z Zuzanny Jenczek, z domu Dallmann, żony robotnika Walentego Jenczeka, wyznania katolickiego, zamieszkałych na Leśniczówce (Jägerhof) na dniu 14go listopada 1900 r. przed południem o godzinie 10, zrodzone zostało dziecko męzkie, które imienia jeszcze *nie dostało.*

Wilczak, 15 listopada 1900 r.

Urzędnik stanu cywilnego

(S. S.) Rogalla.

Z ciekawym tym dokumentem udano się do chrztu św. i dano dziecku imię Wenzislaus — (Wacław) zaś w nawiasach. Ciekawiśmy, jak to będzie, gdy synek p. Jenczekowi podrośnie. Jaki to będzie galimatiasz.

Ponieważ takie wypadki często się powtarzają, przeto należy zwrócić uwagę, aby każdy ojciec obstawał przy swojem i żądał koniecznie wpisu imienia takiego, jakiego sobie życzy, a urzędnik *musi* to imię wpisać — tak rozstrzygnął najwyższy sąd administracyjny w Berlinie. Jeżeliby zaś imienia nie wpisano, to radzimy się udać do p. Stanisława Tomaszewskiego, redaktora „Gaz. Bydgoskiej“ w Bydgoszczy; on już bowiem kilkakrotnie zmusił urzędnika stanu cywilnego p. Rogallę do wpisu w księgę stanu takiego imienia, jakiego sobie rodzice życzyli.

Zwracamy jeszcze raz uwagę wszystkich ojców rodzin na Wilczaku na bezprawne postępowanie p. Rogalli, ażeby dobrowolnie nie germanizowali dzieci swych.

W. W.

Nowy Rok.

Rok Nowy! witajmy Rok Nowy!
Choć włos nam siwizna przyprószy,
Choć cierniem opasze nam głowy,
Choć łzy wyciśnie nam z duszy,
Rok Nowy! witajmy Rok Nowy.

Choć prawda się zaćmi na chwilę,
Choć fałszu nas wrzawa zagłuszy,
Choć prawo da złamać się sile,
My wiarą tą krzepmy się w duszy,
Że każda łza w krzywdach przelana,
To lepszej przyszłości jest ziarno,
Że wszystkie zliczone u Pana
I żadna nie pójdzie na marno.

Więc choć nas smagają katusze,
Choć burzą nam grozi rok nowy,
My w górę i serca i dusze
Podnośmy i oczy i głowy,
Witajmy, witajmy Rok Nowy!

Józef Ignacy Kraszewski.

Nowy Rok.

Starożytne narody rozpoczynały nowy rok na wiosnę, w marcu, chrześcianie zaś poczęli liczyć go od Bożego Narodzenia, a Kościół postanowił święcić oktawę narodzin Chrystusa, to jest 1-szy stycznia, w którym nadano Mu imię Jezus. Wszystkie ludy obchodzą dzień ten wesoło i uroczyście. Ostatni wieczór starego roku, północ i narodziny roku nowego mają w sobie coś dziwnie uroczystego i tajemniczego. Nadchodzi chwila, w której rok stary kona i ukazuje się nowy. Czas, jako pojęcie abstrakcyjne, przybiera tu niejako postać zmysłową, Rok nowy — jakim będzie? jest tajemnicą i zagadką. A więc rzecz prosta, dla tych, co go dożyli, jest to pora życzeń, powinszowań i wróżb. Podług starego zwyczaju proboszcz w kościele po kazaniu winszuje parafianom Nowego Roku, a po nabożeństwie na plebanii przyjmuje sam życzenia od wszystkich, i udaje się do kolatora, gdzie znowu i winszują sobie wzajemnie. Ojcowie nasi dbali o życzenia noworoczne, jak o ważną żywota sprawę. bo płynęły one z prostego, szczerego serca i z sąsiedzkiego afektu. Wiedzieli wszyscy, czego komu życzyć należy, a rozum, dowcip, grzeczność, cześć, wdzięczność, serce i zażyła przyjaźń, siliły się na wysłowienie życzeń. Dawni Polacy witali się w Nowy Rok słowami: „Bóg cię



stykaj“, co oznaczało polecenie opiece Wszechmocnego. Rolnicy obsypywali się owsem na znak pożądanej obfitości zboża, a ci którzy obchodzili domy innych z powinszowaniem, nosili owies w rękawicy i na wszystkie rogi stołu sypali po szczypcie, aby tak całe stoły założone były chlebem w nowym roku. Dzień ten powinien zawsze zastać bochen chleba na stole domowym w świetlicy, jako znak obfitości daru bożego, który przez rok cały nie powinien schodzić z jego stołu, ale zawsze przysłonięty obrusem służyć na powitanie gościa i ubogiego.

Dzieci i żakowie szkolni prawili rodzicom, dobroczyńcom i przełożonym powinszowania prozą lub wierszami, po polsku lub po łacinie. Gdy dawniej prawie wszystkie szkoły w kraju znajdowały się w klasztorach, bywało wielu ubogich chłopców ze wsi i miasteczek oddawanych tam na naukę, których zakonnicy uczyli bezpłatnie i dawali im mieszkanie, a poczciwi ludzie żywili biedaków. Wyrobił się więc taki zwyczaj, że ci uczniowie, czyli jak ich nazywano żaki, mieli własne garnuszki i przychodzili z nimi po obiad, lub wieczerzę do mieszkańców miasta. Na Nowy Rok zaś, zebrawszy się w gromadki, obchodzili wszystkie domy, winszowali nowego lata i starali się zaśpiewać coś takiego, żeby pobudzić do wesołości i hojności zarazem. Oto jedna z tych starych a wesołych pieśni żaków kolędujących:

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały
Dobrej z alembika i do niej piernika,
Hej kolęda, kolęda!

Chleba pytlowego i masła do niego,
Każ stoły nakrywać i talerze zmywać,
Każ dać obiad hojny, boś Pan Boga hojny,
Hej kolęda, kolęda!

Kaczka do rosołu sztuka mięsa z wołu,
Z gęsi przysmażanie, zjemy to mospanie,
I udzik zajęczy, i do niego więcej,
Hej kolęda, kolęda!

Indyk do podlewy, panie miłościwy,
I to czarne prosię, pomieści i to się, —
Każ upiec pieczonki, weźmiem do kieszonki,
Hej kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu domowy szafarzu,
Każ dać gąsior wina, bo w brzuchu ruina,
Nie długo się bawcie i drugi postawcie —
Hej kolęda, kolęda!

Dla większej ochoty, daj czerwony złoty,
Albo talar bity, będziesz znakomity,
Daj i żupan stary, byle jeszcze cały,
Hej kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ spichrze otworzyć i miechy nasporzyć,
Żyta ze trzy wory i woły z obory,
Hej kolęda, kolęda!

Na piwo jęczmienia, koni do ciągnienia,
Jagły jeżli macie, to nam korzec dajcie,
Tatarki na kaszę, kocham przyjaźń waszę,
Hej kolęda, kolęda!

Grochu choć z pół woru z tutejszego dworu,
Na mąkę pszenicy, zjemy społem wszyscy,
Owsa ze trzy miary dla większej ofiary,
Hej kolęda, kolęda!

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera,
Hej kolęda, kolęda!

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Bacz w jakim to czasie i daj dwie kiełbasie,
Które kiedy zjemy, to podziękujemy,
Hej kolęda, kolęda!

Bób — jak żłób,
Owies — jak skopiec,
Len — jak pień.

dziękujemy za kolędę:

Za kolędę dziękujemy,
Zdrowia, szczęścia, wam życzemy,
Byście państwo długo żyli
Zdrowi i weseli byli
Na ten Nowy Rok,
Co nam dał go Bóg.



Żaków miejskich naśladowała dziatwa wioskowa, obchodząc chaty i dwory „za nowem latkiem“ i za powinszowania dostając smaczne kąski na noworoczną biesiadę. Życzy ona i winszuje najczęściej w ten sposób:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,
Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!
Aby was nie bolała głowa, ani bok,
Aby wam się rodziła i kopiła
Pszenica i jarzyca, żytko i wszystko,
Abyście mieli w każdym kątku do dziesiątku,
W stodole, w oborze, w komorze i na górze.

lub:

Żeby wam się rodziło:
Żytko — jak korytko,
Pszenica — jak rękawica,

Jeżeli nic nie dostaną, co jednak nader rzadko bywa, odchodząc wołają:

Żeby wam się rodził kąkol, stokłosa
Babie do pół nosa.

Lud żegna rok stary i wita nowy z wielką wesołością. Figle i dowcipy młodzieży sypią się jak z rękawa. Chłopcy i dziewczęta czynią sobie psoty wzajemnie. Zamazują szyby gliną, wciągają na dymnik bronę, lub drzwi chaty pniem zakładają, żądając okupu za usunięcie jego.

W wigilię Nowego Roku wieczorem dziewczęta czynią wróżby zamążpójścia. Więc leją na wodę roztopiony wosk lub ołów, dopatrując w krzepnącym wosku i ołowiu kształtu symbolicznych przedmiotów. Tej odlał się koń, miecz lub podkowa — pójdzie za rycerza; tej habit — zostanie mniszką; innej wieniec — przepędzi rok w panieństwie; tamtej krzyż — to najsmutniejsza wróżba... mogiły. Wybiegają przed dom nabrawszy w warzęcnę lemieszki i słuchają psów dalekiego szczekania: z której strony on doleci, z tej młodzian w zaloty przybędzie. Jeżeli słychać z dwóch stron, to podwójne przybędą swaty: jeżeli cicho wszędzie, to rok przeminie w panieństwie; a jeżeli od strony cmentarza, to wróżba ze wszystkich najgorsza. Zapalają lekkie wiechetki lnu; u której w górę wzleci, ta wysunie się za mąż niebawem. Szczęśliwych dziewcząt gałki chleba pies wpuszczony do izby najpierw chwyta, a kogut ziarnka pszenicy, trzewiki ich w niecce do góry podrzucane, najpierw na podłogę wypadają. Dziewica, która w wigilię Nowego Roku doczeka północy, siedząc przy świecach jarzących (woskowych) przed zwierciadłem i ani razu nie obejrzy się za siebie, ujrzy w zwierciedle stojącego za nią przyszłego męża. Skromne jednak i pobożne dziewczęta nigdy tej wróżby nie próbowały, bo pod postacią męża ukazuje się w zwierciedle szatan, a do spełnienia wróżby potrzeba było siedzieć w rajskim stroju Ewy.....

U nas w Wielkopolsce jest zwyczaj powszechny, już starodawny, a bardzo pożyteczny i dotąd zachowywany, że proboszczowie i ich wikaryusze odwiedzają „po kolędzie“ około Nowego Roku wszystkie strzechy swoich parafian. Ksiądz ogłasza z ambony, kiedy do której wsi przybędzie. Dawniej wizytę taką odprawiał w asystencyi organisty i kilku uczniów szkółki parafialnej, która przy każdym znajdowała się kościele. Organista z chłopcami dzwonił i odśpiewywał kolędy o Narodzeniu Chrystusa Pana, tchnące ową niezrównaną sielską prostotą i dziwną szczerością uczuć, których tyle ułożyli w minionych wiekach nieznani poeci domorośli. Pasterz, przybywszy do chaty, winszuje Nowego Roku, wypytuje o zdrowie i powodzenie, spisuje domową ludność, wgląda w pożycie rodziny przy jej ognisku i porządek domowy, radzi, napomina, godzi, utwierdza w miłości, egzaminuje dzieci, naucza, grzecznym rozdaje obrazki świętych i książeczki, wszystkim daje krzyż do pocałowania i błogosławi strzechę i owieczki swoje. Odwiedziny takie dla duchownych, pojmujących swe posłannictwo, dają wyborną sposobność do działania na oświatę i moralność ludu.

Kto mógł, jechał na łowy w wigilię, aby z polowania wróżyć o szczęściu myśliwskiem i powodzeniu zamiarów w Nowym Roku. Wieczoru Sylwestro-

wego nie obchodzili Polacy, chyba modlitwą dziękczynną, za łaski w ciągu roku od Boga doznane. Z rana w dzień Nowego Roku gromadziła się czeladka i rodzina około głowy sędziwej, ojca a pana, winszowali wszyscy, składali życzenia, ściskano się wzajemnie, nie obywało się bez płaczu. Wieśniacy, starszyzna gromady, przychodzili z kurą, z ręcznikiem, z bułką chleba i oracyą, obsypywali jegomości i jejmość wszelkiem zbożem, aby rok był plenny a obfity.

Do dnia noworocznego odnoszą się przepowiednie i przysłowia starodawne:

Nowy Rok pogodny — zbiór będzie dorodny,
Gdy na Nowy Rok jasno — w gumnach będzie [ciasno.
Gdy Nowy Rok mglisty — jeść będą zboże glisty.
Na Nowy Rok — przybyło dnia na barani skok.

Zyg. Glog.

Z nowem stuleciem.

Szczęść Boże Wam! gdy nowy świt
Gdy nowe witają zorze!
Na dalsze dni, na dalszy byt —
Szczęść Boże Wam! szczęść Boże!

Szczęść Boże tym — do których czas
Pogodne dzwoni chwile!
Szczęść Boże tym — co trudów głaz
O własnej kruszą sile.

Szczęść Boże tym — co młodą dłoń
W zapału zbroją czary!
Szczęść Boże tym — co siwą skroń
Podnoszą pełni wiary!

Szczęść Boże tym — co mają dach!
I tej bezdomnej rzeszy!
W powszedniej doli, w rojeń snach
Niech wesprze Bóg! pocieszy!

Szczęść Boże Wam! gdy świeży zdrój
Z wiekowych trysł podłoży...
Przez dobrą myśl, przez czyn, przez znój,
Niech wiedzie Was Duch Boży!

Winc. Szm.



Noworoczna bajka.

Przyszła raz do nas dawnymi czasy z za morza straszna cholera. Marli wtedy ludzie, jak muchy. Chodziła śmierć po wsiach i miastach od drzwi do drzwi, a skąd ją jałowcem wykurzono, tam właziła kominem i kosiła, kosiła — niby trawę na siano.

Ludziska modlili się mocno do Pana Jezusa, żeby cholerę wygnał od nas hen, aż za morze znowu i za góry; i Mateczki Najświętszej prosili, żeby dokumentnie Synowi swemu wyłożyła, jaka to szkoda naszych tak morowem powietrzem mordować, a jako lepiejby było puścić cholerę na pogan... Wszystko jednakowoż nie pomogło.

Ale ci przecież raz, po strasznie długiej spiekocie, spuścił Pan Jezus deszcz.

— Dziękujcie Bogu — mówili dobrodzieje z ambony — może się teraz od nas odwróci nieszczęście.

Ba, ale tu lało tak z nieba, że naród na nowo zaczął narzekać. Śmierć bestyja kosiła i w deszcz! Jałowca już brakło na cholerę, ale i ludzi brakło zarazem do pola. Żniwa już tuj, tuj miały się zaczynać, a deszcz dalej prał zboża, jak baby kijanką koszule. Naród w płacz....

Aż tu pastuchy wpadają do wsi z krzykiem, że Warta wylała. Litości, Jezu! Cholerze nie koniec — a tu jeszcze powódź!...

Aliści Pan Bóg wie, co robi.

Właśnie przyszło Kostusi przeprawić się przez Wartę, kiedy rzeka wezbrała ogromnie i rozlała się szeroko. Widzi to śmierć i skubie się w głowę markotnie. Tędy jej droga wypadła do drugiej wsi. Mosty pozrywało — co tu robić?...

Akuratnie deszcz ustał trochę. Śmierć tedy, niewiele myśląc, naostrzyła kosę na kamieniu rzetelnie, potem drzew nacięła i w mig zrobiła sobie łódkę. Spuściła ją na wodę i cieszy się. Potem wsiadła w nią Kostusia — jakby jej to nic nowego nie było — i płynie, a kosą wiosłuje, niby flisak z pod Krakowa.

Widzi to Pan Jezus i powiada sobie: „Na to ja rzeki rozlałem, żebyś ty czółnem przepłynęła? chciałabyś ty i mnie w pole wyprowadzić? Poczekaj!...“

Dostała się śmierć na drugą stronę.

W tem miejscu, wśród pola, jeszcze nie zalanego, stała ogromna stara lipa, która właśnie zakwitła cała i rozpachniała się, że ino było patrzeć i wąchać.

Rok w rok tak kwitła, ale tym razem już Pan Jezus zrobił, że taka szła od niej woń mocna, iż ani się waż przystąpić do lipy...

Śmierć wyłazi z swego czółenka, pewna, że zaraz zacznie machać kosą na nowo wśród biednego narodu. A tu jej coś w nosie kręci, kręci...

Kostusia obejrzała się na wsze strony i widzi, że jałowcem nikt jej nie zamierza wykadzać, chce więc iść dalej, ale ani rusz — nie może. W nosie coś kręci, ba — i w głowie się jej kręci, aż się zachwiała, jakby ją zemgliło.

To ją tak woń lipowego kwiecia odurzyła strasznie.

Za chwilkę przewróciła się pod lipą, jak długa i dźwignąć się nie mogła.

Zobaczyli to od wsi pastuchy. (wili w polu krowięta.

Wlezie która w pańskie — a niecl

Pobiegli pod lipę, nawołując inny z daleka.

— Mamy cię, złodziejskie nasieni — wykrzyknęli radośnie, a widząc, ż się śmierć nie rusza, schylili się nad nią i zaczęli tarmosić bestyję, co się wlazło.

Potem w kilku podźwignęli ją z ziemi i wpakowali w ogromne dziupło w lipie. Zatarli ręce, szczęśliwi, że się śmierci pozbyli na zawsze, zatkali dziurę czółeńkiem Kostusi i popędzili ku wsi z wesołą nowiną.

Cóż, kiedy jedno głupstwo zrobili: zamurowali śmierć razem z jej kosą...

Cholera wprawdzie ustała i powódź opadła, a ludzie całkiem nie wymierali; ale trwało to tylko przez lipiec, dopóki śmierć w dziupli czuła kwiat lipowy i spała.

Ledwie sierpień nastał, zbudziła się ona w swem zamknięciu, kosą przerznęła czółenko i wylazła na świat Boży.

I dalej bestyja kosi, jak kosiła po swojemu...

Skoro zaś tylko usłyszy, że zegar niebieski wydzwania godzinę Nowego Roku, Kostusia niby karbowy na kiju — robi sobie na swej kosie tyle nowych karbów, ile tysięcy ludzi wyprawiła na tamten świat w ciągu ubiegłego latka.

Kazimierz Kalinowski.

Krakowiaczek noworoczny.

Gonią latka za latkami, jak za parą para,
Czas im pięknie przyśpiewuje, choć piosenka stara.

Dwa kółeczka przeskoczyły, z tyłu „1“ staje.
Z kąta djabeł rozsierdzony na basetli graje.

Od wyrwasów gardła wyschły, wszyscy się zmachali,
Czasem, rznący na skrzypeczkach, anioł ich pochwali.

Gonią lata za latami... gdy się zbierze setka,
Czas odkrząknie i na wiwat nowy Wiek odetka.

Niechno latka się napiją tej nieznanej cieczy,
Będzie wiele cudnych rzeczy i wiele — od rzeczy.

Deotyma.

O przygodzie noworocznej panien Skiwskich.

(Z pierwszych lat XVIII-go wieku).

Jako pamiątka z czasów pierwotnego bytu Słowian, kiedy ich plemiona w ustawicznej będąc z sobą niezgodzie, żyły często wzajemną grabieżą (mianowicie stad i dziewcząt), pozostał zwyczaj i mniemanie, że jeżeli komu powiedzie się żartem okraść inną osobę w ostatnim dniu starego roku, to do-

statek będzie do niego płynąć obficie w roku nowym. Z tej okoliczności ks. Karol Antoni Żera, Franciszkanin z Drohiczyna, w wieku XVIII-tym, w zebranym przez siebie zbiorze własnych wspomnień i opowiadanych na Podlasiu wydarzeń, tak pisze między innemi o zdarzeniu z początku XVIII-go wieku:

„Imć pani Katarzyna ze Skiwskich Kryńska, burgrabina drohicka z Leszczki, opowiadała mi takowe wydarzenie z lat swoich młodych: „Było nas u rodziców dwie sióstr pannami. W blizkiem sąsiedztwie mieszkał kawaler, który w domu naszym często bywał, a miał konia drogiego. Raz w Nowy Rok pojechałyśmy z naszą panią matką kuligiem do niego a chcąc zażartować, ile że przy nowym reku wiadomy jest wszystkim zwyczaj kradzenia i wykupna cudzych rzeczy, aby, jak to mówią, w nowym roku szczęściło się w przybytku, więc wzięłyśmy z sobą naszego masztalerza i dały mu kilka złotych dla stajennego u tego kawalera, iżby konia onego wydał naszemu masztalerzowi, a po naszym wyjeździe o psocie naszej panu swemu oznajmił. Gdy koń już był wzięty, pożegnałyśmy się, jakoby nigdy nic i wyjechały kontentując, że się dobrze powiodło.

Mróz był trzaskający, sanna kopna, niebo gwiaździste i od świecącego miesiąca widno jak w dzień. Wyjeżdżamy z lasu w pole, aż tu widzimy blizko drogi gromadę wilków z wilczycą. Masztalerz jechał na podjezdku, prowadząc ukradzionego wierzchowca na powodzie, a że koń był żartki i w obcem ręku, więc zoczywszy zgraję wilków, jak nie wyrwie się gwałtownie z rąk masztalerza. My w wielkim o konia strachu, bo bestye rzuciły się z wilczycą, prąc biedaka w zaspy głębokie i cigęć leśną, gdzie ratunek był niepodobny. A tu ani żadnej strzelby, ani broni przy nas i przy ludziach naszych, — więc go prawie w oczach naszych zadławiły. Z płaczem i w srogiem utrapieniu powracamy do domu, jak umarłe, nie śmiejąc ojcu nic powiedzieć, aż się rodzic nasz sam dowiedział pomału o wszystkiem. Otóż nam żarty przy nowym roku w lament i szlochanie zamienione. Kopałyśmy dołek i same weń wpadły. W kilka dni potem kawaler przyjeżdża do nas, ale nie okazując frasunku, wesoły, jakby nic nie zaszło. Pan rotmistrz Skiwski, nasz rodzic, jął przepraszać go za krzywdę, zdziałaną przez płochość i pustotę panieńską. My to słysząc, drżymy, jak liście klonowe, ale kawaler miasto jakiego żalu oświadczył panu ojcu, że wszystko to poczytuje za zrządzenie samej Opatrzności, która uczyniła go kredytorem serca panny Katarzyny. Rozezwolił na nasz związek i w sześć niedziel po nowym roku gody weselne wyprawił. A tak rzec można śmiało, iż ona bestya wilczyca, która całej gromadzie wilków przewodziła, pierwszą była dziewosłębiną i długoletnią szczęśliwość naszego pożycia małżeńskiego przyspieszyła.“ *Ks. Karol. Ż...*



Na zaczęcie Nowego Roku.

Znów upłynął w toń wieczności
Jeden rok —
Przesłonięty mgłą przyszłości,
I obfity w zdarzeń krocie,
Już drugi staje na progu —
To oddajmy pokłon Bogu;
Ku nauce i ku cnocie
Wstecz ostatni rzućmy wzrok!

O tam ciemno! bo w tym roku,
Nie wiem, czyśmy lepsi byli,
Czy wyszliśmy z chwałą?
Żeglując w życia morzu, czyśmy ster dzierżyli,
Czy dotrzymaliśmy kroku,
Gdy Boży grom lśnił w oku,
A w piersiach gdy nam Boże natchnienie zagrało?

O bracia! młodość nasza piękna jako wiosna,
Kiedy zielona szata doliny odzieje,
Kiedy niebo błękitne, pogoda radosna
Błogie obudzą nadzieje!

Ale biada, gdy mroźny północnym podmuchem,
Wicher zaszumi słowo powszechnej zagłady,
I mróz zmrozi plon przyszły i wytłuką grady!
O bracia! bądźmy czyści i podniośli duchem,
Jako to niebo jasne, cisi jak pogoda,
Promieniący nadzieją — głęboccy jak woda,
Co spokojna osiadła w łożysku jeziora!

Przed nami świat otwarty! — przeszło ciemne wczoraj.
Pogodne jutro wdzięki nam swoje odsłania,
A Bóg serc naszych patrzy i wygląda plonów,
Które wkrótce nieść mamy...

To strzeżmy ognia z nieba w tę chwilę zarania!
Pilnujmy pracy ducha, krzepmy go światłością;
Rozprzestrzeńmy miłością ojczystych zagonów,
Rozświećmy dziejów naszych świetnymi obrzaski,
Pochwyćmy bóle wieków w piersi naszych bramy,
Stańmy silni jednością,
Wysocy pokorą, wytrwali miłością,
Tryskający ożywczą strugą Bożej łaski!

Bo czas pracy — bo już przyłożone
Żelazo do pnia drzewa — tож czuwajmy mili,
Byśmy z drzewa żywota odcięci nie byli
Ku spaleniu, jak martwy, przebutwiały parość;
By nie rzekł Bóg: — Tam młodych ducha gniecie starość,
Odejmę od nich berło, wezmę światło moje,
Dam innym, kędy goreć będzie nieskażone!
O Ojcze! weź nam wszystko — weź słodycz żywota,
Wszelakie na nas dopuszczaj cierpienia,
Wszelakiego od nas żądaj poświęcenia —
Wszystko damy, byle nam pozostała cnota
I siła Twa i światło Twoje!

Wincenty Stroka.

W nowy rok na wsi.

Dla nas, żyjących w gorączce wielkomiejskiej, dzień Nowego roku bywa zazwyczaj świętem, podobnem do tylu innych w kalendarzu dwunastu miesięcy, a mija tak niepostrzeżenie, iż mało kto znajduje chwilę czasu na zastanowienie się nad tem, co zawiera księga ubiegłego roku, zamknięta z dniem 31-ym grudnia, a co znajduje się na kartach nowej księgi tajemniczej, otwartej w dniu 1-ym stycznia.

Inaczej na wsi.

Lud wiejski bardziej od nas zastanawia się nad tym dniem wyjątkowym, który jest niejako latarnią wśród morza, czasu i w ludzkich myślach stanowi poniekąd granicę pomiędzy starym a nowym, między przeszłym a przyszłym, bez względu na to, że w stosunku do wieczności każdy dzień rozpoczyna jakiś rok nowy...

Na wsi Nowe latko — jak zwykł lud nasz nazywać dzień Nowego roku — bywa dotychczas uroczystością tej wagi, co u dawnych żydów święto pierwszego dnia w roku, jako dnia sądu Bożego, a zarazem rocznica stworzenia Adama; co u Rzymian *Dies faustus,* poświęcony Janusowi; tej wagi, co Nowy Rók u wszystkich wogóle ludów w starożytności i wiekach średnich, pełen tradycyjnych obchodów uroczystych, podyktowanych bądź przez religię, bądź przez zababon.

Poza obchodami kościelnemi, przywiązanymi do dnia 1-go stycznia, lud nasz zachowuje po dzis dzień wiele jeszcze tradycyjnych zwyczajów noworocznych z dawnych czasów.

Jak ongi, tak i teraz jeszcze chodzą dnia tego parobcy po wsi „po kolędzie,“ jakby dla przypomnienia owych czasów, kiedy to żaki, duchowni, słudzy kościelni i bakalarze z dziećmi chodzili po kolędzie... Jeno ze zmianą czasów zmieniła

się i kolęda. Dawniej magnaci obdarowywali winszujących puzdrami wódki gdańskiej, piernikami toruńskiemi i t. p. Dzisiaj na wsi naszej dostają za to kolędnicy albo kilka groszy, albo wódki kieliszek, a na zakąskę po niej kawałek strucli lub kiełbasy, tej samej kiełbasy, którą na łokcie wymierzano za dawnych czasów na kolędę.

Na Nowy rok krąży po wsi młodzież od chaty do chaty z szopkami liczniej, niż w czasie Bożego Narodzenia, pokazując jasełka i wyśpiewując kantyczki.

Zarówno kolędnicy, jak gospodarze składają życzenia noworoczne w różnych słowach, najczęściej zaś w następujący sposób: „Sto lat, sto chat, a na każdej chacie po złotej łacie," albo; „Sto lat, sto chat, beczka wina i pięknego syna" (szesnastoletnia dziewczyna).

Również utarte a najczęściej właśnie na Nowy rok używane przez naszych wieśniaków jest życzenie, wypowiadane przez gościa w progu zaraz na wstępie: „Ile liści na kapuście, ile bab jest na odpuście, ile kropel wpada w morze, tyle szczęścia daj wam Boże". Na to często gospodarz odpowiada: „Lepiej mało a dobrze, niż wiele ladaco." ;

Gdzieniegdzie parobcy do swoich ukochanych dziewcząt mawiają tego dnia przy powinszowaniu: „Chociaż teraz chodzisz w płachcie, obyś mi potem chodziła w hafcie." Starsi zas do młodych odzywają się przy tej okazyi w ten sposób: „Rządź się rozumnie, sprawuj się poczciwie, a w każdym razie będziesz żyć szczęśliwie."

Zamożniejsza gospodyni, przyszedłszy na Nowe latko do uboższej, przynosi jej nieco pożytecznych gałganków, mówiąc: „Kto ma dziatki, temu potrzebne szmatki."

Gospodarz zaprasza przybyłych z życzeniami w gościnę do stołu na poczęstunek. Nie wolno wymawiać się od tej gościny; urażony gospodarz bowiem gotów rzec natenczas: „Kto ze mną chleba jeść nie chce, ja z nim kołacza nie będę." Również nie wolno wypraszać się przy tej okazyi od napitku, chociażby się ślubowało nie brać do ust spirytusu: nie pomoże nawet tak przemądre tłumaczenie: „Od wódki rozum krótki, od piwa głowa się kiwa; od wody człowiek zdrów i młody." Gospodarz grozi: „Zobaczymy się u kuśnierza na kołku," co ma oznaczać, że przyjaźń zerwie i nie zobaczą się wcześniej, aż po śmierci.

Dobrze jednak w gościnie nie dokończyć jadła i napitku, bo „kto nie doje, nie dopije, ten mądrze i długo żyje." Należy również cokolwiek z poczęstunku noworocznego zabrać ze sobą, ponieważ schować zawsze co nie wadzi, nie dla siebie, to dla czeladzi."

Zły gospodarz, gdy goście po pijanemu zaczną mu wytykać różne wady, za odchodzącymi klnie z progu: „Idźcie do licha, na suche lasy, na gęste bory, na rozstajne drogi!" Poczem do żony powiada: „Lepiej ze swoimi płakać, niżeli z cudzymi skakać."

Tego rodzaju niesnaska z sąsiadami wywołuje tego dnia znacznie większe niezadowolenie, niż kiedykolwiekindziej gdyż wieśniak nasz wierzy, iż „jakie było nowe latko, takie będzie całe latko."

Na tem właśnie polega tysiąc zabobonów, mniej lub więcej wśród naszego ludu rozpowszechnionych, a przywiązanych do dnia Nowego Roku i rozpoczynającej go nocy Sylwestrowej. Noc ta bowiem, jako będąca zarazem zakończe-



niem starego roku, ma także wielkie znaczenie u chłopa, który powiada, że „nie ten majster, kto zacznie, ale ten, co skończy."

Więc już z wieczora po dniu św. Sylwestra wpatrują się wieśniacy w niebo z zabobonną trwogą, zali dobre będą wróżby na przyszłe latko. Posmutnieją rychło wszyscy, gdy za śnieżnemi chmurami nie widać nieba w ów wieczór tajemniczy; nic dobrego Nowy rok nie przyniesie, gdy przychodzi dla ludzi niewidzialny. Trzeba zaś wiedzieć, że każdy rok ma swoją na niebie gwiazdę, która jaśnieje dla ludzkich oczu przez dwanaście miesięcy. Ledwie zmierzchać się zacznie dnia 31-go grudnia, wysyła Pan Bóg św. Sylwestra na pole gwiaździste, po którem święty godzinami szuka i szuka, aż odnajdzie dogorywającą gwiazdę kończącego się roku. Zdejmuje ją z nieba i idzie z nią dalej, między gwiazdy jeszcze nie zaświecone, o północy zapala jedną z nich za pomocą resztki światła z gwiazdy starego roku, która w tejże chwili gaśnie zupełnie, a odtąd przez następne dwanaście miesięcy świeci jasno na niebie gwiazda Nowego latka. Starą gwiazdę zagasłą zawiesza św. Sylwester w innem miejscu nieba, między ciemnemi gwiazdami, których jest tam tyle, ile lat minęło od stworzenia świata. W drugiej stronie nieba widnieje również wielkie pole ciemnych gwiazd, wyglądających nieco inaczej od poprzednich, a jest ich tyle, ile lat pozostało jeszcze do skończenia świata.

Ludzie w ową noc Sylwestrową mogą się dowiedzieć z gwiazd, jaki będzie tego lata urodzaj. Jeżeli gwiazdy wogóle widać, to rok zły nie będzie; jeśli tych gwiazd liczba wielka i świecą świetnie na niebie, to reszta zimy będzie mroźna i śnieżna, lato zaś bardzo urodzajne. Tylko nadarmo będzie kto szukał tej nocy gwiazdy Nowego latka: świeci ona jasno na niebie, lecz nikt się nie dowie, która to w gwiazd milionie.

Jeżeli w Sylwestrowy wieczór świeci księżyc, należy baczyć, czy błyszczy silnie, wtedy bowiem wróży mroźną pogodę na dni następne, a urodzaj wielki na rok cały.

W noc Nowego latka należy czuwać do północy, żeby w chwili, gdy na niebie św. Sylwester zapali gwiazdę noworoczną, pomodlić się, gdyż „kto z Bogiem zacznie, uczyni bacznie". Nie trzeba jednak modlić się w łóżku, lecz doczekać północy Nowego latka, stojąc i chodząc, ponieważ „kto mówi pacierz leżący, tego Pan Bóg słucha śpiący", tym razem zaś od wysłuchania modlitwy zależy powodzenie całego roku.

Mimo późnego udania się na spoczynek, każdy powinien wcześnie wstać w Nowy rok rankiem: „kto długo lega, tego chleb odbiega" — a odnosi się to tym razem do całego roku.

Wieśniacy uważają bardzo na to, kogo się pierwszego dnia tego zobaczy rano po wstaniu, a najpóźniej po wyjściu z chaty. Parobek ledwie oczy otworzy, chciałby dziś pierwszą ujrzeć jaką dziewczynę; dziewka zaś pragnie najpierw zoczyć jakiego chłopca młodego: to dla nich dobre na ten rok wróżby. I starsi mężczyźni rankiem dbają o to, by pierwsza osoba, jaką zobaczą, była niewiastą, a kobiety chcą widzieć mężczyznę; w jednym i drugim wypadku ztąd wróżba, że nowe latko będzie pomyślne. Ale nieszczęśliwy będzie rok dla tego, kto

Nowe lato.

Jak afisz różowy, jak motyl tęczowy
Z krainy przyszłości wyleciał Rok Nowy!
Nadziei uśmiechem każdego obdarza
W pałacu bogacza i w chacie nędzarza,
I starzy i młodzi i chorzy i zdrowi,
Składają swe hołdy Nowemu Rokowi,
A każdy mu ufa w swych żądań zakresie,
Że sypnie kwiatami, że złoto przyniesie!

Syrokomla.

Nowy rok kościelny, święty albo liturgiczny, rozpoczyna się z pierwszą niedzielą adwentu. Wypadający przeto w dniu pierwszym stycznia Nowy Rok (po staremu: nowe lato) jest nowym rokiem cywilnym. Mimo to wszakże adoptował go Kościół i uzacnił osobną uroczystością, pragnąc we wszystkich ważniejszych okolicznościach życia zachować macierzyński stosunek z wiernymi. Jak wiele innych zwyczajów, tak i termin Nowego Roku przejął Kościół z prawa rzymskiego, zkąd adagium: Ecclesia vivit lege romana.*)

Z uroczystością noworoczną łączy się pamiątka Obrzezania Pańskiego. W rzeczy samej bowiem, w ośm dni po swem narodzeniu poddało się „Boże Pacholątko“ mojżeszowemu prawu obrzezania, będącego chrztu św. figurą. Przy tym też obrzędzie „nazwano jest imię Jego Jezus“ (Łuk. II, 21). Imieninami przeto Pana Jezusowemi rok nowy się otwiera, zapoczątkowując cały szereg imion świętych, którzy się przez to Imię Jezusowe uświęcili. Wszakże, ponieważ Najświętsze to Imię samo przez się nader wielkiej jest wagi, przeto je Kościół wyosobnił, i z uroczystości noworocznej — dostatecznie już obciążonej swem znaczeniem — przeniósł na niedzielę drugą po Trzech Królach, ku szczególnemu wiernych rozważaniu.

Z dniem też noworocznym, świątynie katedralne, jako matki kościołów dyecezyalnych, rozpoczynają czterdziestogodzinne nabożeństwo. W myśli Kościoła nabożeństwo to staje antytezą przeciw nadużyciom karnawału, któremu wypisały tradycyjną „tezę“ pogańskie lupercalia i bacchanalia.

Przypomnieć wreszcie trzeba, że Kościół żegna konający rok stary dziękczynnem nabożeństwem wieczornem, które się kończy procesyonalnem *Te Deum laudamus.*

Skonał rok stary; z jego popiołów wykwita
Feniks nowy: już błyszczy w złotej wschodu bramie,
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita.
. . . .

Mickiewicz.

Ach, te życzenia dzisiejsze! Spoganiały one, ugrzęzły całkiem w doczesności!

Rzadki człowiek ma poczucie, a jeszcze rzadszy odwagę wynurzenia swych życzeń po chrześcijańsku. To trąci prostactwem, to wyszydziłyby echa salonu. Sądzę jednak, że moi Czytelnicy widzą w tem nie prostactwo, lecz wzniosłą prostotę, i dlatego kończę życzeniem:

Daj Wam Boże — Czytelnicy — doczekać dosiego**) Nowego Roku, po nim jeszcze wielu innych, a po skończonem tem życiu — nieba!

Ks. Ignacy Charszewski.

*) Dosłownie Kościół żyje prawem rzymskiem. Nowy Rok na pierwszy stycznia wyznaczył już Numa Pompiliusz. Neron chciał przenieść początek roku na pierwszy grudnia, jako na dzień swoich urodzin, lecz mocno zakorzeniony zwyczaj przemógł jego zabiegi.

**) Gołębiowski tłumaczył, że wyraz ten pochodzi od jakiejś długowiecznej Doroty — Dosi w. Krakowie ongi żyjącej. Lecz w takim razie mówiłoby się: Dosinego, i nie *roku*, ale *wieku* lub też *lat*. *Dosiego* jest raczej wyrazem złożonym z: *do* i *siego*, a znowu „siego“, to drugi przypadek od archaicznego zaimka: si, siego, siemu i t. d.

Pod nową zorzą.

Niech łaskawie a bogato
Miłościwe spłynie lato!
. . . .
Niech nam droga się wyprości
Przez boleści — ku miłości..

W. Pol.

Hej, wyjdę-ci ja rankiem przed chatę
Witać te nowe zorze,
Jak one idą w światłości bogate,
Z pod tronu Twego, Boże.

I aż lęk ma spojrzeć w te głębie,
Zkąd mary w smugach płyną,
To jak gołębie, to jak jastrzębie,
Nad śpiącą mknąc krainą.

Jedne na licach mają uśmiechy,
Na piersiach kwiaty niosą,
Inne twarz smutną chylą nad strzechy
I łez błyskają rosą.

Więc, wedle Ojców naszych zwyczaju,
Krzyż kreśli drżąca ręka,
A wzrok przypada, gdzie na rozstaju
Pochyła Boża Męka.

I jużci śmielej w szerokiem kole
Człek patrzy precz przed siebie,
Gdzie one miasta, sioło przy siole,
I ziarno w twardej glebie.

Hej, hej, ty ziemio, słodka Macierzy!
Choć rok wciąż świta nowy,
Ty wiecznie jednych uczysz pacierzy,
I jednej uczysz mowy.

Przypadli do cię na pierś żywiącą
I możni, i prostacy,
A ty ich uczysz kochać gorąco,
I jednej uczysz pracy.

Więc pod tą zorzą, jako przed laty,
Nad owe czarne smugi,
I ode dwora, i od tej chaty
Precz z wiosną pójdą pługi.

A jeśli wskażą wyroki Boże,
Nim noc nas czarna zdyba,
Zanim rozbłysną wieczorne zorze,
Przybędzie nowa skiba.

To nasza duma i nasza troska
Ta skiba — taka czarna,
I aż się zbudzi uśpiona wioska,
Gdy padną pierwsze ziarna.

Więc w ciężkim, Panie, błogosław znoju
I niech się droga prości,
Wszem uczestnikom zbożnego boju
Przez trudy — ku miłości...

A spłynie oto w blaskach świtania
To miłościwe lato,
Wedle skromnego ludzi żądania —
Łaskawie a bogato.

A pod tą strzechą, w tym Nowym Roku,
Prosimy najgoręcej,
Daj mniej choć jedną, Boże, łzę w oku,
A promyk słońca — więcej!

. . . .

Już lęk nie ima pojrzeć w te głębie,
Zkąd mary w smugach płyną:
To jak gołębie. to jak jastrzębie,
Nad śpiącą mknąc krainą.

I tylko, wedle Ojców zwyczaju,
Krzyż kreśli drżąca ręka,
A wzrok przypada, gdzie na rozstaju
Pochyła Boża męka.

Bożydar.

Niepocieszony Wojtek.

Umarła Wojtkowi żona Małgosia, mąż wraz z sąsiadami pochował ją przykładnie, a z pogrzebu, jak to niekiedy bywa po wsiach, zaprosił Wojtek wszystkich na poczęstunek do karczmy. Żałobna kompania wypiła po jednym i drugim, podchmieliła sobie, a Wojtek rozebrany gorzałką, żałośnie lamentował sobie:

...Oj! pochowali ci ją, jagodę, Magdusię moją, pochowali! Zasypali ziemią niebogę, a ja sam zostałem na tym świecie. Sierota! Sam jeden, jak kołek w płocie, zgorzkniały, jako ten chrzan, co w polu rośnie... Oj, dolo, dolo moja! Jak tu żyć na świecie przez kochania, przez jadła i przez opierunku! Ni się z kim przemówić, przekomarzyć... ni... nic. Psu lepiej żyć na świecie, niż mnie, sierocie biednemu!... Powiadacie Mośku: „trza wypić“ — i wy kumie, Pietrze, mówicie, że potrza, i wy, stryjno Jagato, rzekliście: „napij się, Wojtusiu...“ Ha, dajcie Mośku kwartę! Niech ta!... Robak we człowieku siedzi i wierci, a w chałupie dziecisków troje, a w obórce ogonów pięcioro, a w chlewie gadziny dwie i wieprzak, a lnu dwa zagonki, a konopi zagon i to wszystko nic nie gada, jeno lamentuje i płacze: „niema naszej gosposi! niema naszej gosposi! a kto nam źreć da? kto nam pod gębę podetka? kto nas, sierotki biedne, napoi, nakarmi, wydoi?“ Jedno ci ryczy, drugie piszczy, inne kwiczy, a po mnie żałość chodzi niby ból po kościach.

Oj, kumie, kumie! sprawiedliwie powiadacie, jako nic nie rozłączy męża od żony, jedno rydel, a motyka; rozłączyła mnie ona z Magdusią moją rozłączyła! A żyliśmy we zgodzie i sprawiedliwości, jako mąż z żoną. Bywało, żem ją nieraz zeprał na kwaśne jabłko, bo od tego mężowskie prawo, ale zawdy z kochaniem to prawo było, bom jej nigdy ani zęba nie wybił, ani oka nie naruszył, ani najmniejszego gnatka w niej nie przetrącił...

w ów dzień ujrzał rano najpierw starą babę.

Kto dzień noworoczny przepędzi w zdrowiu, będzie zdrów przez cały rok; komu wtedy co dolega, z pewnością będzie chorował ciągle przez całe latko, które nawet może być dla niego ostatniem w życiu.

Na nabożeństwo do kościoła należy w dniu tym wychodzić z pieniędzmi w zanadrzu, jeżeli chce się mieć dużo grosza w nowym roku. Wróciwszy zaś z kościoła, trzeba trzykrotnie obejść swoją zagrodę, pobrzękując grosiwem, co ściągnie do domu dużo dobrego, a majątek pomnoży w trójnasób. Niektórzy wieśniacy zamożni rzucają w Nowy rok rano srebrną monetę w naczynia, służące do gotowania, jedzenia i picia; sam zaś gospodarz wlewa sobie wodę na miskę ze srebrnemi pieniędzmi i twarz sobie w niej obmywa, poczem pieniądze chowa, lecz twarzy nie obciera, dopóki nie przeschnie sama.

Wieczorem ci sami gospodarze obchodzą trzykrotnie zagrodę z niezapaloną gromnicą w ręce, aby w ciągu roku nikt w domu nie umarł, a pożoga nie dotknęła chaty ani zabudowań gospodarskich.

Inni znowu sądzą, że ich urodzaj nie minie, jeżeli o świcie w sadzie będą trzęśli grusze i jabłonki, w południe zaś, wracając z mszy noworocznej, przejdą przez swoje pola; broń Boże jednak obchodzić dokoła własne pola i łąki, gdyż miałoby to ten skutek, że gospodarstwo nie powiększyłoby się w ciągu roku ani o piędź ziemi.

Rolnicy z pogody w dzień Nowego roku wróżą o pogodzie całego roku. Aliści w każdej okolicy niemal wróżby te mają inne podstawy. I tak np. według jednych rok będzie urodzajny, jeżeli w dniu 1-go stycznia jest suchy mróz, według zaś innych — jeżeli właśnie sroży się śnieżyca. Zdaniem wielu: „Nowe latko po wodzie, ziemia nie urodzi“, gdy inni mówią: „W Nowy rok taje, będą urodzaje“. Niebo w dniu tym czerwone ma zapowiadać straszne wiatry w sierpniu. Słupy, ukazujące się około słońca, zwiastują tego dnia na lato następne długą posuchę. Gdy przy zachodzie słońca chmury są złocistej barwy, lato będzie takie, jakiego będzie rolnik potrzebował. To samo wróżą także kury, gdy się tego dnia bardzo wcześnie udają na spoczynek; wróble, gdy się zbierają na drzewach nader licznie i świergocą hałaśliwie; gdy psy szczekają mocno i często; gdy zając tego dnia zrywa się wcześnie i daleko pomyka.

Słoneczna pogoda w dniu 1-ym stycznia ma, według jednych, zapowiadać dobry zbiór ziemniaków, według innych lato urodzajne, albo śliczną pogodę w sierpniu.

Powiadają niektórzy, że jaki Nowy Rok, taki będzie pierwszy dzień lata, inni zaś mówią: „Nowe latko widzi, jaki będzie święty Idzi“, co ma znaczyć, że jaki Nowy rok, taka pogoda będzie w dniu 1-ym września.

Kazimierz Kalinowski.

Balada noworoczna.

Deszcz potokiem spada z góry,
Wyje burza, pluszcze słota,
A czarnemi, jak noc, chmury
Rozhukany wicher miota.

Jakby wąż u żerowiska,
Sznury rowów napęczniały
I wzbierają rzek łożyska,
Strasząc błyskiem piany białej.

Już niziny w wodzie toną,
A na łąkach jedna fala,
I z wściekłością niezwalczoną
Topi, znosi i rozwala.

Pękły tamy, drgnęły mosty,
Rwą się groble, łamią drzewa...
Wśród ponurej deszczu chłosty
Powódź wokół się rozlewa.

Po nasypie parą całą,
Ekstrapociąg pędem mknie,
Pociąg krótki — świateł mało —
Ledwie widny w czarnej mgle.

Jeden wagon pierwszej klasy,
W nim pan możny drzemie snać,
Lecz tym nie czas na wywczasy,
Co przy ogniu muszą stać.

Z potępionej zgrzytem duszy
Pruje pociąg mroku mur,
Ale słota turkot głuszy,
Głuszy wichru dziki wtór.

Przejechali dróg czterdzieści
Wśród siekących deszczu rózg...
U nasypu coś szeleści,
To złowrogi wody plusk!

Rzecze palacz: „Wilcze Kąty!
Nie przejedziem tej topieli,
Most na drodze pięćdziesiątej
Już pewnikiem djabli wzięli.“

Maszynista zbladł jak chusta,
Chmura zwisła mu u czoła,
Skrzą się oczy, zaciął usta,
Czasem tylko — węgli woła...

Deszcz potokiem spada z góry,
Wyje burza, pluszcze słota,
A czarnemi, jak noc chmury
Rozhukany wicher miota.

Pędzą... Nagle z każdej strony,
Jak źrenice potępieńcze,
Błysły światła — znak czerwony!
To sygnały — stój, szaleńcze!

„Daj kontr-parę! Co się stało —
Krzyczy palacz — runął most!
Stań, na Boga! czasu mało!“
„Nie! nie stanę, mówię-ć wprost.

Żadna mnie nie wstrzyma siła,
Niebios blask! czy piekieł dym!
Skacz! gdy tak ci dola miła,
Ja przez most pojadę z nim.

Pan pasażer ekstracugu,
Jaki żądał, niech ma bieg,
Ha! wypłacę mu się z długu,
Co tak długo serce piekł.

Pilno jemu! Do rozpusty
Nowej pilno — w nowy brud!
Czekaj! sprawię ci zapusty
Tam, na dnie tych czarnych wód!

Miałem, bracie, swą dziewczynę —
Do ołtarza wieść ją miałem...
On się spotkał w złą godzinę
Z tem ptaszęciem mojem białem...

Rzucił ją — rok mija piąty...
Biedna! Do mnie przyjść nie śmiała...
Tu, na drodze pięćdziesiątej,
Woda tak, jak dziś, huczała.

Tu-m jej martwe znalazł ciało,
W trzcinach — po szukaniu długiem...
Ot! przez niego co się stało,
A on jeździ ekstracugiem!

Jazda! lecz po raz ostatni!
Z pod kół trzeszczą już petardy —
Sam się dostał dziś do matni!...
Życie miękkie — koniec twardy.

Węgla! mnie bo teraz pilno!
Długo czekał na ten dzień.
Bronisz? Odstąp! — dłoń mam silną...“
. . . .
W mroku mignął biały cień.

Jakaś postać bladolica
Staje nagle... czar czy cud?
Ha! to Hanka, topielica
Wypłynęła z łona wód.

Przezroczystą, lekką dłonią
Obróciła korbę wstecz...
Staje pociąg nad fal tonią...
Powstrzymany zemsty miecz.

Bo za krzywdy i za męki
Karę sam wymierzy Bóg,
Lecz przez zbrodnię z ludzkiej ręki
Niech nie ginie nawet wróg.

Ignacy Baliński.



I ona, chudziaczka, bywało nieraz, jakem się, na to mówiący, w karczmie upił, to ona, chudziaczka, chociaż i przy ludziach, nic nie pyta, jeno z pazurami do mnie, jak kocica; i nieraz mi się wpiła we włosy jak, nie przykładając, kleszcz w owcę, albo żypie w bydlęcy ogon... Mocna to kobieta była i na grosz chytra i w kochaniu zawzięta.

— Slepie ci — powiada, — Wojtku, wydrę, gębę ci podrapię, cały łeb z wełny oskubię, jak się będziesz upijał i grosz po karczmach tracił.

Inny ksiądz z ambony tak dokumentnie nie przetłómaczył, jak ona; a niechnoby zaś kto na mnie co powiedział, oj, dałaby mu duchu, nie zważając na osobę... Niema cię, Magduś moja, oj, niema, a ja przez ciebie sierota i jako kaleka przez ręki i przez nogi, a sprawiedliwie to i przeze łba, bo ani ja chodu, ani ja roboty, ani pomyślunku żadnego (płacze). Powiadacie Janowa: „nie płacz Wojtek....“ a jušci nie mam płakać! A kto mnie, biedakowi, i dzieciom moim, sierotkom, jeść ugotuje? kto krowiny wydoi, kto gadzinie zielska usieka? kto kiele chałupy? kto kiele ogrodu? kto naprzędzie? kto utka? kto uszyje? kto do pielenia? do grabi? do sierpa? do motyki? do pieca wylepienia, do izby wybielenia? do chleba upieczenia? kto w żarnach zmiele? kto podsieje? kto barszczu nakwasi? kartofli naobiera? kto kiele kapusty? kto len zbierze? kto go wymoczy, wysuszy, wymiędli? Już mnie chyba albo do łasu pójść z postronkiem, albo grzdykę sobie kosą poderznąć, albo we wodę skoczyć, albo też sobie śmierć zrobić! (Po chwili). Grzech, powiadacie, kumie, a jušci grzech. Panie miłosierny, odpuść... Powiadacie, kumo, że babów na świecie dość — toć prawda... Dziewki łażą po świecie, jak muchy, a każda za chłopem, jak za miodem; dość niby się wstyda, a żeby jeno palcem kiwnąć, to już się do wesela sposobi... Prawda i to, ale jak koń koniowi, tak baba babie nie równa. Insza będzie insza, a insza znowu inaksza, zaś mało która jak się patrzy...

Ej! Mośku! dajcie jeszcze kwartę, bo już z tej żałości w gardle zaschło i język zdębiał jak podeszew... Pijcie, kumowie, krewne i przyjaciele, na zdrowie, pijcie, nie żałujcie, niech ta nieboszczka wie, żeśmy ją sprawiedliwie opłakali, żeśmy ją nie suchą gębą wspominali.

Po pewnej chwili: Janowa mówi, że niby Zośka Pędraczanka... Jušci, niby krów będzie miała ze dwie i grunta po ojcach ze cztery morgi... Nie, niechcę! Latawica jest i zęby szczerzy, jak szkapa na pastwisku. Nie chcę ja takiej... Walkowa zaś, po Walku Dzięciole wdowa, kobieta letnia, na matkęby mi prędzej pasowała... Jušci ta podobniejsza, niż Zośka, bo jej grunt akuratnie przy moim, a ta łączka jej, co klinem w dworskie wchodzi, to już do nocnego szkapy pasienia, jak na urząd dowodna... Pytacie tedy — „i czegój?“, a jušci „czegój?“ Toć synów ma trzech, mało odemnie młodszych, a choć po ojcu grunt już wzięli, o matczyno życie nie byłbym pewny... Nie namawiajcie: na wszystko bym przystał: na lata — bajki, baba nie koń, nikt jej w zęby nie będzie zaglądał: na urodę — też bajki, jušcić jej pewnie z pięćdziesiąt patrzy, ale babsko obsadne jak dzieża, za dwie młode podźwignie; że skrzynkę napija, to też bajki; sprałbym rzetelnie raz i drugi — oduczyłaby się; jeno już tych synalków nie chcę. Jušci ożenić się trzeba, ale skoro mój taki ies, to zawdy wolę z jedną babą ślub wziąć, niźli z trzema chłopami. Oj, Magdusiu, moja Magdusiu! bez co, że ty pomarłaś i bez co na taki czas pomarłaś, kiedy robota największa w polu i w ogrodzie, i kiele chałupy! Z sercem bolejącem i z żałości dusznej, po sprawiedliwości, jak oto przy tej kwarcie siedzimy, dopraszam się grzeczności waszej, kumie Janie, i waszej, kumie Piotrze, idźta zaraz dziś z flaszką do Grochala Marcina, gospodarza naszego i sąsiada. Ma ci on córkę Baśkę, niechże mi ją podług stanu małżeńskiego za żonę da — i żeby zaraz w niedzielę zapowiedzi wyjść mogły, bo już mi się ckni z onej żałości dusznej i podług dobytku opatrzenia. Nie uważam ja, że Baśka na jednę nogę utyka, boć baby do brony ani do woza nie zaprzęgnę; nie patrzę, że krzynkę zawiędła i że ją na gębie ospa zeszpeciła; jeno, aby wymówcie u Marcina te dwie jałówki graniaste, i wieprzaka czarnego i gruntu, żeby Baśce odpisał zara u adukata, siła jej się patrzeć będzie, podług działu z ojczynego i z matczynego. Obrachowałem ja ci, choć i w żałości mojej, że powinno być bez mała czego pięć morgów. Nie tak mi o ten grunt chodzi, bo ja na majątek nie chytry, jeno chciałbym tych zagonków, podług żalu mojego owdowiałego, żebym miał chociaż czem oczy obetrzeć.

Powiadacie „prawdziwie;“ prawda, jušci nie co, ino prawda prawdziwa i sprawiedliwa. Hej, Mośku jeszcze kwartę gorzałki! boć pan młody funduje, a na wesele szykuj z dziesięć garncy, bo choć cierpię w sercu, ale zawdy gospodarskie wesele przez poczęstunku nie będzie. Muszą ludzie pić, tańcować bez trzy dni, żeby pamiętali, jako nie byle kto, ale Wojciech Mucha, gospodarz sprawiedliwy, z gospodarską córką się żeni. Prawda kumie? Dyć sami powiadacie, że prawda... Będziemy tańcowali na weselu, aż drzazgi z podłogi się posypią... Ej, dolo, dolo moja, losie zatracony! A ty, Mośku, muzykantów sprowadź z miasta, żeby grali pięknie — i piwa beczkę i gorzałki, żebyśmy się weselili, jak się patrzy.

Oj, Magdusiu, Magdusiu, pocóżeś ty pomarła i bez to na takich godach nie będziesz? i nie zobaczysz już swego Wojtka, jak będzie z Baśczynych zagonów snopki do stodoły woził... Na przekorę ty mi zrobiłaś kobieto... ale zawdy... zawdy... mi ciebie żal, Magdusiu!

Klemens Junosza.



Nasi redaktorzy — we więzieniu.

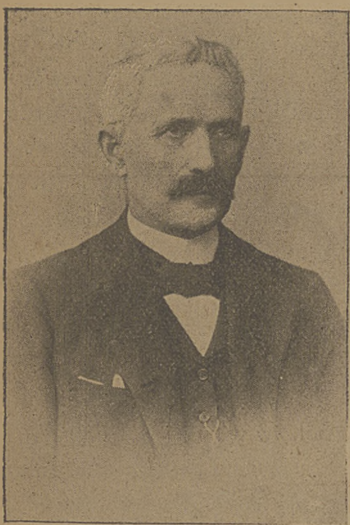
Praca dziennikarska, redaktorska, chociaż i w normalnych, spokojnych podjęta warunkach, zawsze jest pracą bardzo meczącą, wyczerpującą siły ducha i ciała więcej, niż inna praca umysłowa, bo taka praca dziennikarska nigdy nie daje spokoju i wytchnienia, zawsze jest naglącą, gorączkową. Cóż dopiero mówić o tej pracy, o tem natężeniu sił, jakiego wymagają obowiązki redaktorskie u nas, przy naszych polskich gazetach, w których się broni spraw i interesów naszych, polskich, a więc spraw, któreby rząd pruski najchętniej z powierzchni ziemi wymazał; broni ich się przeto w ciągłem przeciwieństwie z rządem, który tylko czyha na to, by redakcyi wytoczyć proces i redaktora do więzienia zaprowadzić.

Krzesła redakcyjne polskie w naszych dzisiejszych warunkach, to najbardziej na sztych i napaść wystawione placówki nasze. Czytelnicy „Pracy“ wiedzą z poprzedniego artykułu „Nasze winy“ w niniejszym numerze — ile procesów, szykan i prześladowań przez pruską władzę nasze pismo już przeszło; nigdy dotąd nie zawisło jednak naraz tyle kar więziennych nad naszymi redaktorami, ile właśnie w czasie obecnym. Odsiadują obecnie karę więzienną pp.: W. Leitgeber, redaktor „Gazety Ostrowskiej“, Bahrke, redaktor „Gazety Ludowej“ w Ełku, dalej długoletni odpowiedzialny redaktor „Gońca Wielkopolskiego“, p. Szyperski, a w końcu odpowiedzialny redaktor naszego pisma, pan Siemiątkowski, skazany *na 8 miesięcy* więzienia i na zapłacenie znacznych kosztów. Po za tem toczą się dwa nowe procesy przeciwko „Pracy“ za obrazę „wielkości Prusów.“

Jak na raz, to trochę wiele; zapewnić jednak możemy wszystkich nam życzliwych i nieżyczliwych, że damy temu radę, bo mamy bardzo zdrowe, strawne żołądki, które się z tem iście pruskiem „menu“ uporają...

Władysław Siemiątkowski urodził się 8-go maja 1841 roku w Dębiczu pod Środą, gdzie ojciec jego, Franciszek, b[illegible] przez lat 40 plenipotentem u p. W[illegible]niewicza. Ojciec dał synowi stara[illegible] wychowanie i wykształcenie, oddaw[illegible]go do gimnazyum realnego w Pozna[illegible] do którego uczęszczał do sekundy wła[illegible]nie. Następnie poświęcił się agronomii, a poślubiwszy pannę Helenę Sypniewską, córkę dziedzica dóbr i radcy ziemstwa, Maksymiliana Sypniewskiego, i Anieli z Gryzingerów, nabył mały majątek w powiecie Mogilnickim, który z powodu stosunków familijnych sprzedał po kilku latach i poszedł w obowiązki jako urzędnik gospodarczy.

Na tem stanowisku pozostawał do września 1899, w którym to czasie wstąpił do naszej redakcyi i bez przerwy — aż do ostatniej chwili uwięzienia to jest do dnia 30-go października r. b. był wiernym naszym współpracownikiem, stojąc wytrwale na posterunku jak żołnierz waleczny, poświęcający się za sprawę naszą, za sprawę dobrą. —



Władysław Siemiątkowski.

I oto dziś, gdy piszemy te słowa serdecznego współczucia — wspominając Czytelnikom o naszym redaktorze panu Siemiątkowskim, on tam za kratami zamknięty na 8 miesięcy — również nas wszystkich ma na myśli i łączy się z nami duchem nieugiętym z pełną wiarą w lepszą przyszłość. — To też w dniu Nowego Roku — w tym czasie szczęścia i nadziei, w którym się wszystko cieszy i weseli, niech i nam wolno będzie w myśl wszystkich Czytelników p. Siemiątkowskiemu złożyć hołd i nasze najszczersze życzenia, wołając z całej piersi po trzykroć: „Cześć męczennikowi!“

Kronika cywilizacyi pruskiej nie kończy się jeszcze na poprzednich słowach. Oto w tych dniach dopiero opuścił więzienie polski szermierz niestrudzony, na polu dziennikarskiem wielce zasłużony obywatel, p. Wiktor Kulerski, właściciel i wydawca „Gazety Grudziądzkiej“ z Grudziądza. Za to, że p. Kulerski w piśmie swem wypowiedział to, co nas boli i co nam dolega, a więc za słowa prawdy — skazano na go 9 tygodni więzienia. Drakońska to kara za słowa prawdy, bo co p. Kulerski pisał, to podzielali i podzielają ludu tysiące, podziela ogół cały...

Wiktor Kulerski urodził się 20 marca 1865 w Grucie pod Grudziądzem jako syn nauczyciela Tomasza i Maryi z Mauzolfów Kulerskich. W domu otrzymał wychowanie przeważnie niemieckie i językiem polskim władał w młodości słabo. Najprzód uczęszczał do gimnazyum w Lubawie. Ojciec życzył sobie, aby został nauczycielem i oddał go w r. 1882 do seminaryum nauczycielskiego w Grudziądzu. Tutaj w duszy jego nastąpiła ważna zmiana. Prawa antypolskie i heca polakożercza popchnęły go do studyów historyi i literatury polskiej, które to studya zrobiły z niego gorącego patryotę. W roku 1883 jako seminarzysta urządził obchód jubileuszowy zwycięstwa pod Wiedniem, za co został ze seminaryum wydalonym. Ponieważ ojciec obstawał przy tem, aby został nauczycielem, złożył w Tucholi w r. 1886 egzamin nauczycielski jako ekstraneusz. Od r. 1883—86 pracował jako nauczyciel domowy w rozmaitych domach obywatelskich w Prusach Zach. i w Księstwie np. u Działowskich i Siemieńskich. W tym czasie zawładnął językiem francuskim i angielskim i oddawał się gorliwie studyom klasycznym. W r. 1887 ożenił się z gorącą patryotką, Józefą z Kolskich z Turku w Królestwie Polskiem. W tym samym roku przyjął za namową radcy prowinc. Völkera, posadę jako nauczyciel w Copotach, ale wnet zbrzydził sobie zawód nauczycielski, bo pruski system pedagogiczny nie zgadzał się z jego przekonaniami. Złożył tedy po drugim egzaminie nauczycielskim w roku 1887 swój urząd. Odtąd już nosił się z myślą założenia gazety, ale brakło



Wiktor Kulerski.

mu na to środków. W roku 1890 kupił z zaliczką 3 tysiący marek domy w Copotach i założył pensyonat dla polskich gości „Dom Polski“. Tymczasem pracował dalej gorliwie nad zbogaceniem wiedzy. W roku 1892 redagował przez zimę „Gazetę Polską“ w Berlinie, założoną ku zwalczaniu socyalizmu. W roku 1893 pracował przez krótki czas przy „Gazecie Gdańskiej.“ W tym czasie wartość domów w Copotach podniosła się znacznie i wtedy mając kredyt założył 1-go października 1894 r. „Gazetę Grudziądzką“ w Grudziądzu. (Czynność literacką resp. dziennikarską rozpoczął w r. 1887 korespondencyą napisaną do „Kuryera Poznańskiego“). Jako redaktor „Gazety Grudz.“ obecnie po raz drugi siedział w więzieniu; pierwszy raz zasądzono go w r. 1895 na 3 miesiące więzienia. Około 20 Towarzystw Ludowych zawdzięcza mu swoje powstanie. *Oto są „grzechy żywota“ pana Kulerskiego.*

Słaby na ciele, bo po ciężkiej chorobie, szedł p. Kulerski do więzienia, by cierpieć za swych czytelników, w imieniu których niezawahał się wyświetlić podłą robotę hakatystów pruskich — i wycieńczony powrócił właśnie do swoich, osłabiony na ciele, lecz tem silniejszy na duchu; tego ducha silnego, żadna moc hakaty złamać nie zdoła, wymknie on się zawsze z pod pazurów drapieżnych, i będzie targał sidła zastawione, będzie on im jeszcze bardziej niż dotąd krzyżował plany zniemczenia i zlutrzenia ludu polskiego, którego prawdziwym doradcą i opiekunem jest „Gazeta Grudziądzka,“ wydawana przez p. Kulerskiego.

Koleżeńskie, serdeczne uściśnienie dłoni, uznanie i cześć ogółu niech będą zapłatą p. Kulerskiemu, walczącemu bohatersko i bez ustanku za sprawę czystą, za sprawę świętą.

Przy wyjściu z więzienia witało p. Kulerskiego liczne grono obywateli, a dziewice polskie wręczyły mu piękne laurowe wieńce. Jest to najwymowniejszy dowód, że lud nasz umie już dziś ocenić sprawiedliwość pruską, biedny lud polski wie, kto jego opiekunem i przyjacielem serdecznym...

Wszyscy redaktorzy, ofiary systemu pruskiego, odsiadujący kary więzienne, mogą być pewni, że im do ich celi w dniu Nowego Roku towarzyszy współczucie szerokich kół społeczeństwa i głębokie uznanie za ich ciężką służbę i za ofiary, do jakich w niej są gotowi.

M. B....

Kronika.

Jesteśmy pod znakiem Sienkiewicza. W Warszawie żyją w tym tygodniu pięknemi wspomnieniami wzniosłych chwil. Ileż tam było szczerego zapału, ile głębokiego podziwu, ile prawdziwej miłości dla wielkiego pisarza, dla twórcy „Trylogii“, „Bez Dogmatu“, „Połanieckich“, „Quo vadis“, „Krzyżaków!“ I słusznie.

Nikt bodaj tak nie rozsławił imienia polskiego, jak właśnie Sienkiewicz. Opatrzność zdaje się opiekować losami narodów, podległych, a już nad naszym szczególniejszą ma pieczę, bo powołuje co chwila do życia mężów roznoszących szeroko po świecie sławę naszą

Sięgnijmy myślą wstecz. W chwili, gdy wszystko nad nami zdawało się zapadać, powstaje Kościuszko — wielki, czysty, waleczny — i imię jego staje się nie tylko dla Polaków drogiem, lecz jest ono po dziś dzień symbolem bohatera ludowego. Dalej wspomnę rycerskiego Poniatowskiego i genialnego Dąbrowskiego. A wśród bohaterów myśli i ducha jaśnieje największa na słowiańskiem i polskiem niebie gwiazda *Adam Mickiewicz.* Dzieła jego jednak są tak wielkie i potężne, że cały świat żywić się niemi może — to też Mickiewicz należy dziś do literatury *całego świata.* Przez niego właśnie zyskuje ta nasza literatura miejsce poczesne wśród literatur kulturnych narodów. *Mickiewicz staje obok Goethego.* — *A Sienkiewicz?*

Jeszcze nie zamknięta karta jego żywota. Lecz dziś już powiedzieć mogę, że jego to dzieła sprawiły, że Polska, wprawdzie żywa zawsze, większej nabrała siły, większego znaczenia, że spada na nią aureola sławy zdobytej przez wielkiego mistrza pióra.

Dziś gdy nie tylko hakatyści, ale także ministrowie pruscy zaprzeczają istnieniu polskiej narodowości, dzieła Sienkiewicza kłam zadają tym nienawistnym twierdzeniom wobec całego świata.

Nie ma dziś kraju na całej kuli ziemskiej, gdzieby nie czytano dzieł Sienkiewicza. I każdy czytając te dzieła, pozostając pod ich urokiem, zapytuje się, jakiż to naród szczyci się takim genialnym pisarzem, który tak do głębi umie poruszać duszę, a tak potrafi zająć uwagę, że dnie i noce czytałoby się, aby nie stracić wątku, aby dobiedz do końca opowieści.

I zawsze odpowiedź brzmi jednakowo: „*To Polak pisał!*“

I wtedy ludzie, którzy pojęcia nie mają, że istnieje naród polski, że żyje kwestya polska, zaczynają się nami interesować, a ci, co o nas zapomnieli, zaczynają sobie przypominać, jaką to mamy za sobą świetną przeszłość.

Przypomina im się szereg naszych królów, naszych bohaterów, przypominają się im bohaterskie nasze walki o niepodległość, dzieje naszego męczeństwa — słowem ów naród za martwy uważany nabiera w ich oczach nowego życia.

Ale nie tylko to. — Inne przychodzą rozwagi. Niejeden z wielbicieli Sienkiewicza słyszał, że naród polski to organizm przeżyty, niedołężny, strupieszały, niegodzien ani bytu ani litości.

A tu spotyka się naraz z dziełem Sienkiewicza, świadczącem o wysokiej kulturze naszego ducha, o wysokim poziomie umysłowym polskim, o sile, o potędze, o wierze i ufności — świadczącem o tem wszystkiem, co sprawia, że pomimo tylu klęsk żyjemy i się rozwijamy.

— A więc — powiada sobie Czytelnik dzieł Sienkiewicza — okłamano mię. *Takiego ducha, jak Sienkiewicza* **nie wyda organizm zużyty,** taka literatura świadczy o **żywotności** narodu, taki *polot* jest dowodem, że naród ten ma **przyszłość.**

I właśnie pod wpływem dzieł Sienkiewicza zaczyna się przeobrażanie pojęć o nas, świat nas sobie przypomniał i tak prędko nie zapomni. To jest niezaprzeczona i niespożyta zasługa Sienkiewicza pod względem stosunku Polski do cywilizowanego świata.

A czem jest Sienkiewicz dla naszej literatury? — *Ożywczem źródłem!* — A dla naszego języka? *Najwspanialszym dobrodziejem.* Dlatego cześć mu!

Acer.



Z teatru.

Dyrekcya teatru dała nam w ubiegłym tygodniu cykl utworów naszego znakomitego pisarza i poety, Henryka Sienkiewicza. Pierwsze trzy sztuki są już znane poznańskiej publiczności z dawniejszych przedstawień, dlatego obszerniej o nich nie piszę. Nader starannie urządzonej uroczystości jubileuszowej, w sam dzień obchodu tejże w Warszawie, można panu dyrektorowi Rygerowi prawdziwie powinszować, bo się świetnie pod każdym względem udała. To też publiczność zebrana nader licznie, bo widownia była po brzegi przepełniona, grzmiącemi i przeciągłemi oklaskami wyrażała swe zadowolenie, a zarazem i wdzięczność, że Poznań na równi z innemi teatrami polskiemi, miał sposobność podziwiania w dniu tym, najnowszego utworu Jubilata, umyślnie na ten dzień napisanego p. t. „Zagłoba swatem“.

Program tego złożonego przedstawienia bardzo dobrze był dobrany. Na początek dano obrazek sceniczny w 1 akcie „Czyja wina“ H. Sienkiewicza. Po tem nastąpiły prześlicznie ugrupowane obrazy, wyjęte z historycznych dzieł mistrza, mianowicie z „Ogniem i mieczem“ napad Bohuna na dom Kurcewiczów, — z „Potopu“ pojedynek Wołodyjowskiego z Kmicicem — z „Krzyżaków“ sąd Boży. Wszystkie postacie w strojach dawnych czasów, ładnie ustawione, tak zachwycały i entuzyazmowały widzów, że oklaskom nie było końca i kurtyna coraz się podnosić musiała, aby odsłonić spragnionym oczom publiczności sympatyczne postacie naszej świetnej przeszłości, postacie naszych junaków i bohaterów, uwiecznionych mistrzowskiem piórem Sienkiewicza.

„Zagłoba swatem“ — komedya w 1-ym akcie zainteresowała w najwyższym stopniu wszystkich, a niezrównany w niej dowcip i humor pobudzał do ciągłej wesołości, słowem na jej ocenę dość powiedzieć, że wyszła z pod pióra Henryka Sienkiewicza. Treść jej taka:

Pan porucznik Zaremba (pan Knapczyński), kocha się w córce zamożnego obywatela ex-palestranta pana Oliwiusza (pan Jakubowski). U panny Zofii (panna Mirska) znajduje wzajemność, ale ojciec odmówił mu swego pozwolenia, a nawet zakazał bywać i przestępować próg swego domu. Ten ostatni zakaz omija Zaremba w ten sposób, że wskakuje oknem d[illegible] komnaty i pod nieobecność ojca prz[illegible] bywa, aby się z ukochaną porozum[illegible] W domu pana Oliwiusza bawią d[illegible] krewne nieboszczki żony, starsze j[illegible] panny (pp. Niwińska i Szumlańska), kt[illegible] również nie sprzyjają Zarembie, ale m[illegible] dzieniec bierze je na fortel i opowiada im, że Zofia dała mu odkosza, więc chcąc się na niej zemścić, ożeni się z jedną z nich. Dotąd jednakże nie uczynił wyboru, czem obie zupełnie pozyskał dla siebie. Tymczasem przyjaciel pana porucznika, stojący o milę z tatarami, Zagłoba, (pan Ryger) przebrany jako Turek pod nazwą Łykaj Beya, napada na dom i pod grozą uzyskuje o[illegible] Oliwiusza pozwolenie na ślub młod[illegible] pary, który się natychmiast odbyw[illegible] Chcąc zupełnie ułagodzić Turka, ka[illegible] pan ex-palestrant przynieść starego wi[illegible] aby Łykaj Beya ugościć. Zagłoba pop[illegible] jając, przyznaje się, że nie jest Turkie[illegible] lecz zwyczajnym łykajem Zagłobą. [illegible] to Oliwiusz zaczyna odzyskiwać swa[illegible] i odwagę, grozi, że pozwie o naja[illegible] a pozwolenie dane pod przymusem cof[illegible] lecz Zagłoba, jak zawsze dowcipny, [illegible] godził go obietnicą, że przyjaciel[illegible] Zarembie przekaże swe wielkie do[illegible] w Arabii, gdzie pieprz rośnie. Pa[illegible] usłyszawszy o dobrach natychmiast udzielił błogosławieństwa, dzieci uściskał i przy wiwatowych salwach i ogólnej wesołości, wypili zdrowie państwa młodych.

Artyści i artystki grali dob[illegible] a przedewszystkiem zasługuje na w[illegible] szczególnienie pan dyrektor Ryger, jako Zagłoba.

Zakończenie jubileuszowego przedstawienia stanowiła „Apoteoza Mistrza“. — W środku sceny znajdował się uwieńczony laurami portret Sienkiewicza z liczbą 25 u dołu, a w około portretu pośród zieleni malowniczo ustawione, główne postacie męzkie i kobiece z dzieł Jubilata.

Z wielkiem uznaniem godzi się wsp[illegible] mnieć, że do urozmaicenia i uświetnie[illegible] nia programu, przyczyniło się w wielkiej mierze, tyle u nas zasłużone Koło Śpiewackie, pod dyrekcyą pana Czyżewskiego. Usłyszeliśmy piękną pieśń „W stary[illegible] dworku“ Z. Noskowskiego — i „Morze“ Wł. Żeleńskiego.

Widz.

Nekrologia.

S. p. Stanisław Motty,

radzca i prezes Koła polskiego, w sejmie pruskim i poseł do parlamentu niemieckiego, umarł w mieście naszem dnia 21-go b. m.

Ś. p. radzca Motty urodził się dnia 18 października 1826 r. z ojca profesora Jana Mottego i z matki Apolonii z Herwigów. Z trojga rodzeństwa był najmłodszym. Starszym jego bratem był zmarły przed kilku laty profesor Marceli Motty, a siostra jego Walentyna poślubiona była znakomitemu obywatelowi, drowi Hipolitowi Cegielskiemu. Studya gimnazyalne odbył w tutejszem gimnazyum Fryderyka Wilhelma, w którem olegował z Władysławem Niegolewskim. żenił się w r. 1868 z najmłodszą córwówczas już nie żyjącego oficera wojsk kich z r. 1831., Danysza. Pozostawił sobie trzy córki, z których pierwsza t za adwokatem i właścicielem dóbr emskich Ciświckim w Lublinie, druga szambelanem i posłem Stefanem Cegielskim.

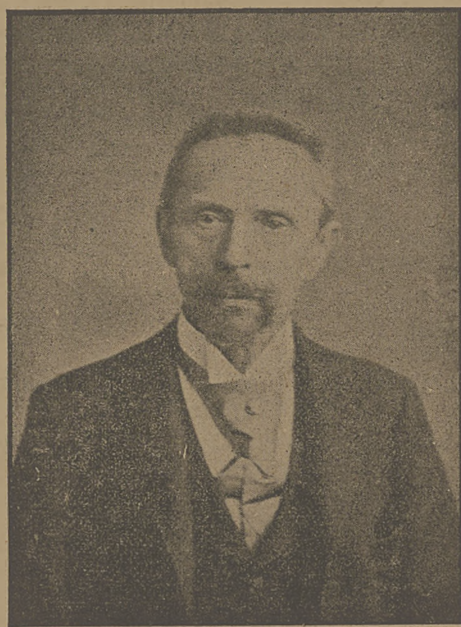
Do sejmu pruskiego należał od roku 1865—1868 jako reprezentant okręgu poznańsko-obornickiego, a od 1885 r. reprezentował w nim aż do dzisiaj okręg jarocińsko-pleszewski, który mógł też być prawdziwie dumnym, że posiadał takiego posła, bo zaufanie i uznanie kolegów poselskich wyniosło go przed niej więcej 10 laty na zaszczytne stanowisko prezesa Koła, najwyższy urząd obywatelski, jaki biedne społeczeństwo asze może ofiarować swym najlepszym nom. A był nim zaiste w całem znaczeniu tego słowa.

Wraz z rodziną zmarłego i społeczeństwem opłakiwać będzie szczególnie miasto Poznań ciężką stratę tego męża, bo związany najściślejszemi węzłami ze ojem miastem rodzinnem, które go już roku 1867 wysłało jako wybrańca go do północno-niemieckiego parlamentu i które go w r. 1898 na schyłku ego żywota uczyniło wybrańcem swoim, aby na trybunie parlamentu niemieckiego bronił spraw stolicy rodzinnej prowincyi i polskiego społeczeństwa.

Jak on tam praw naszych bronił, ak dzielnie, odważnie i mężnie mówił prawdę w oczy rządowi i wrogim nam stronnictwom, jak nie wahał się nawet wyzwać na rękę posła Gerlicha, gdy ten poważył się obrazić honor imienia polskiego, to wszystko w żywej i wdzięcznej mamy pamięci i tę wdzięczną pamięć społeczeństwo zachowa mu długo poza grobem.

Całe życie spędził ś. p. radzca Motty na usługach dla swego społeczeństwa. W żadnej ważniejszej sprawie nigdy jego nie brakło, do niego wielki i mały dawał się po radę i pomoc. Nikomu jej nie odmówił, dla każdego Polaka miał serce otwarte i wylane. Wykwintnie wychowany, wykształcony wysoko, był wzorem uprzejmości względem każdego.

Za dawniejszych czasów, kiedy urzędnikom nie robiono ztąd trudności, zajmował się żywo rozwojem naszych Towarzyst. On należał do reorganizatorów Towarzystwa Przemysłowego, które go też w uznaniu jego zasług na swym złotym jubileuszu przed 2 laty mianowało członkiem honorowym. Ś. p. radzca Motty był w tem Towarzystwie inicyatorem założonego w jego łonie Towarzystwa Pożyczkowego, z którego dziś wyrósł wielki nasz Bank Przemysłowy, on wtedy pierwszy rzucił myśl zakładania Spółek pożyczkowych z ograniczoną poręką. On wraz z Władysławem Niegolewskim należał do założycieli Towarzystwa Przy-



Ś. p. Stanisław Motty.

jaciół Nauk w Poznaniu. W młodości swej nie wahał się także życia swego nieść dla sprawy narodowej. Brał czynny udział w ruchu r. 1848 i uczestniczył w kilku bitwach, mianowicie w słynnej bitwie pod Miłosławiem.

Redakcya „Pracy“ straciła w zmarłym gorliwego czytelnika i zwolennika, a składając na trumnie wieniec, złożyła winny hołd i uznanie za jego miłość dla Ojczyzny, za jego służbę iście obywatelską, za jego życie pełne trudów, cierpień i bólów, a wraz z złożonym wieńcem zanosi modły do Boga, by mu ta ziemia, na której i dla której żył i pracował, lekką była.

Dzielimy smutek pozostałej a stroskanej żony, dzieci i rodziny.

Redakcya „Pracy.“

* * *

S. p. ks. lic. Jan Nepomucen Bartoszkiewicz,

kanonik honorowy, dawniejszy proboszcz chełmiński i szynychski, zmarł w Chełmnie w 88-ym roku życia a 58-ym kapłaństwa.

Nieboszczyk pochodził z archidyecezyi poznańskiej a urodził się 16 maja 1813 roku w Pobiedziskach. Wyświęcony na kapłana 23 go września 1843 roku, był najprzód wikarym w Gdańsku. W czerwcu 1846 roku otrzymał instytucyą kanoniczną na probostwo w Chełmnie. Tam urzędował przeszło 26 lat a po złożeniu urzędu dziekańskiego przez ks. prob. Machorskiego, jako dziekan. W r. 1868 ś. p. ks. biskup Marwitz mianował go kanonikiem honorowym. Obarczony ciężką pracą duszpasterską, nie występował głośno w pracach społecznych i narodowych, ale zawsze służył wytrawną radą swoją.

W latach 1862 i 63 ś. p. ks. kanonik Bartoszkiewicz posłował do sejmu pruskiego, wybrany w powiecie lubawskim. W roku 1869 należał do zwołujących głośny wiec szkolny, który się odbył w Chełmnie. Skutkiem obrad była petycya do sejmu pruskiego wystosowana, domagająca się, aby wykład wszystkich przedmiotów dla dzieci polskich był w ich języku ojczystym. Po przeszło 26-letniej pracy w Chełmnie, czując się słabszym, poszedł na małe probostwo wiejskie w Szynychu. Tam urzędował jeszcze niemal 28 lat, mając dopiero w ostatnim roku wikarego. Na początku tego roku zrezygnował z tego probostwa i zamieszkał w domu chorych u Sióstr miłosierdzia w Chełmnie, gdzie też Bogu ducha oddał. Przez jego śmierć opróżnionym został drugi kanonikat honorowy, który obsadza Najprzewielebniejszy Ksiądz Biskup. R. i p.

* * *

S. p. Józef Chmielewski,

były inspektor okręgowy szkół ludowych, nauczyciel c. k. Seminaryum nauczycielskiego męzkiego w Krakowie, członek komisyi egzaminacyjnej dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych, urodzony dnia 12 stycznia 1842 r., po długich cierpieniach zaopatrzony św. Sakramentami dnia 12 grudnia 1900 r, zakończył życie.

Pogrzeb odbył się dnia 21 grudnia r. b. z domu żałoby Dębniki Nr. 150 na cmentarz podgórski. Msza św. za spokój duszy nieboszczyka odbyła się w sobotę d. 22 grudnia o godz. 9 w kaplicy Męki Pańskiej przy kościele OO. Franciszkanów. Za trumną zakrytą wieńcami ujrzeliśmy w żalu pogrążoną żonę, otoczoną z dziećmi, oraz licznych krewnych, przyjaciół, byłych uczniów i niezliczone tłumy publiczności, co dowodzi, że zmarły umiał sobie zjednać przyjaźń i szczerą sympatyą. R. i. p.

Złote myśli.

Wielbimy w drugich, co nam się samym podoba, a podoba nam się to, co w sobie znajdujemy. Chciwy łakomego, próżniak nieuka, filut franta chwali, bo cudzym przykładem się wspierając, własne znajduje usprawiedliwienie.

Krasicki.

Uparty w każdej, nawet sprawiedliwej rzeczy,
Każdemu się sprzeciwia i wszystkiemu przeczy.
Choć czuje swego zdania próżność, nieodmieni;
A ten upór jak wielki rozum sobie ceni.

Węgierski.

Gdy chcemy bliźniemu szkodzić, często i nas złe stąd czeka.

Niemcewicz.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego
przez
F. de B.

(Ciąg dalszy.)

— Nie... nie, nic nie zgubiłem — bełkotał młodzieniec.

— To dziwne — szepnęła Teresa, spostrzegając zakłopotanie swojego narzeczonego. — Możebyś pan zechciał pokazać nam ten pugilares? — rzekła do znalazcy.

— Przepraszam — odpowiedział tenże — rozumie pani, że ufam tutaj wszystkim, ale nie chciałbym się pomylić i oddać znalezionego przedmiotu w ręce niewłaściwe... to się przecież zdarza...

— Ta scena jest poprostu śmieszna — przerwał mu Ludwik i zwracając się do swojej przyszłej teściowej, dodał: — Pani mi pozwoli położyć kres zuchwalstwu tego natręta.

— Przepraszam — wtrąciła Teresa — czy pugilares nie jest safianowy?

— Na skórach się nie znam — odparł nieznajomy — ale gdyby pani wymieniła mi kolor...

— Ciemno ponsowy ze złotym zameczkiem i literami L, G.

— Tak, tak, to ten sam. A ile ma przegródek?

— Trzy.

— Tak. Ile było w nim pieniędzy?

Teresa zwróciła się żywo do swego narzeczonego.

— Ależ to pański pugilares — zawołała. — Wszak ofiarowałam go panu na imieniny... Cóż to, czy straciłeś pan dziś pamięć? — rzekła z widocznem wzburzeniem.

— Przepraszam — rzekł Ludwik głosem zdławionym — nie sądziłem, nie mogłem przypuścić, że ten człowiek odniesie mi...

— Więc pan już spostrzegłeś zgubę... Pamiętam — bo ja mam dobrą pamięć — byłeś dziś zafrasowany. Czy chcesz bym powiedziała, ile tam było pieniędzy? Pięć tysięcy franków — tyle, ile miała kosztować moja bransoletka... Nie mam już panu za złe, żeś mi jej nie przyniósł... Ale czemużeś mi prawdy nie powiedział? czy bałeś się bury? — dodała figlarnie.

Odzyskała już wesołość.

— Pięć tysięcy franków! — zawołała pani Lecomte — ależ to duża suma i gdyby nie pan... mam nadzieję, że zechce pan przyjąć znaleźne...

— Nie, łaskawa pani, nie przyjmę — oświadczył znalazca — nie byłoby żadnej zasługi być uczciwym, gdyby się przyjmowało za to nagrody... I tak już jestem nagrodzony myślą, że uchroniłem pana od straty pięciu tysiącfrankowych banknotów i upominku od takiej ładnej osoby. To mi wystarcza najzupełniej... Cieszę się, że mi przyszło na myśl pójść do Morgi.

— Do Morgi! — podchwyciła Teresa. — Więc pan znalazłeś ten pugilares w Mordze?

— No, tak, dziwię się nawet, że nikt go nie podjął przedemną, bo zbiegło się mnóstwo narodu, żeby zobaczyć zamordowaną damę.

— I ty tam byłeś, Ludwiku? — spytała panienka z oczyma łez pełnemi.

— Tak, byłem — szepnął narzeczony — przechodząc, wstąpiłem na chwilę.

— Dziękuję ci, żeś mi tego nie mówił i wolałabym nie dowiedzieć się wcale.

— A zatem sprawa załatwiona — przerwał znalazca. — Opis zgadza się z wyglądem pugilaresu. Przyznałeś się pan że chodziłeś obejrzeć damę pikową... tak ją nazywają w gazetach... panowie dziennikarze mają także pomysły!...

— Do rzeczy, mój panie, do rzeczy — zawołał Ludwik zniecierpliwiony.

— Zaraz się załatwię. Oddam panu pieniądze i pugilares... Oto naprzód pugilares. Wszak pański?

— Tak, poznaję go — szepnął pan Lecoq, wyciągając rękę.

— Przepraszam... jeszcze chwilkę... muszę naprzód przeliczyć banknoty, żeby pana przekonać, że nic nie wziąłem.

— To zbyteczne. Wierzę.

— Nie, nie, lepiej załatwić interes porządnie. A więc: raz, dwa, trzy, cztery, pięć tysiąc-frankówek... W porządku...

— Byłem tego pewny. A skoroś pan już stwierdził...

— To jeszcze nie wszystko. Jest papier, na którym wypisane jest nazwisko pana i pani... na szczęście, bo inaczej nie byłbym znalazł tak prędko pana de Gentilly.

Młodzieniec wyciągnął znowu rękę po swoją zgubę, ale nieznajomy nie śpieszył się z jej oddaniem.

— No, już inwentarz zrobiony — mówił. — Otóż nie — zawołał nagle — ten pugilares jest widocznie bezdenny... Znajduję w nim jeszcze fotografię... i to kobiety... Zapewne portret pani — dodał, podając fotografię Teresie.

Odwróciła się.

Instynkt kobiecy ostrzegł ją, że lepiej nie patrzeć na ten portret. Naprzód była pewna, że to nie jej podobizna, bo nigdy jeszcze nie pozowała u fotografa, mając wstręt do banalnej reprodukcyi swych rysów, którą lada kto może nabyć. Chciała zachować swoją podobiznę dla osób najdroższych.

To był wzgląd jeden, skłaniający ją do odwrócenia oczu. Powtóre budziła się w niej zazdrość. Ów nieznajomy powiedział jej, że to był portret kobiety, kobieta musiała być ładna, skoro mógł ją wziąć za nią.

I czemuż Ludwik nosił tę fotografię? Jeśli nie chciał przyznać, że pugilares jest jego własnością, to może z zamiarem ukrycia przed narzeczoną jakiej niewierności, lub co gorsza, zdrady?

Wyobraźnia dziewcząt podnieca się łatwo. Teresa tworzyła najsmutniejsze przypuszczenia.

Pani Lecomte nie miała takich powodów niepokoju, a jednak i ona była wzburzona.

Czuła, że pod tem nieporozumieniem ukrywa się jakaś smutna tajemnica i że uczciwy znalazca banknotów odgrywa komedyę, której celu nie mogła jeszcze przeniknąć.

Młody Lecoq zbladł okropnie i znać było po nim, że okazanie tej nieszczęsnej fotografii zadało mu cios ciężki.

Ręką zaciśniętą konwulsyjnie uczepił się fotelu, jak tonący deski zbawienia. Patrząc na jego postawę przygnębioną, można było sądzić, że walczy z jakimiś niewidzialnemi katami, którzy go ciągną na plac stracenia.

Nieznajomy przyglądał się spokojnie gwałtownemu wzburzeniu, jakie wśród tego spokojnego grona wywołał.

— Omyliłem się oczywiście — rzekł, cofając się z fotografią, którą pod oczy Teresy podsuwał. — Zdawało mi się, że to podobizna pani, inaczej nie byłbym się poważył.

— Oddawaj pan, to moja własność — rzekł Ludwik rozkazująco.

— I banknoty również... i portfel, wiem — i wszystko panu oddam — mówił znalazca — oddam bezinteresownie. Człowiek jest ubogi, ale uczciwy...

— Nie wątpię o tem — odparł młodzieniec głosem zdławionym — proszę mi zwrócić...

— Powiadam: bezinteresownie, a jednak zażądam nagrody — ciągnął dalej dręczyciel — nie będzie to pana nic kosztowało. Poproszę tylko, aby mi wolno było spojrzeć na fotografię... ja lubię ładne twarze, bodaj na obrazku.

— Nie pozwalam! — krzyknął pan de Gentilly, rzucając się dla odebrania portretu.

Ale intruz nie dał go sobie z rąk wyrwać. Cofnął się ruchem szybkim, zastawił się stołem i w świetle lampy rzucił okiem na fotografię.

Teresa cała drżąca, ze łzami w oczach podeszła do narzeczonego.

— Dlaczego nie chcesz mu pokazać tego portretu? — spytała.

On milczał.

— Odpowiedz mi, Ludwiku, odpowiedz, przez litość... ja tak cierpię... — jęknęła.

— A to coś nowego! — zawołał w tej chwili nieznajomy. — No, no, anim się domyślał.

— Co tam znowu? — spytała pani Lecomte zatrwożona.

Ano to tylko, że to właśnie portret zamordowanej kobiety.

— Co pan powiadasz! To niemożliwe! — wybełkotała wdowa.

— Nie mylę się, proszę pani. Widziałem ją przed chwilą w trupiarni i mam ją dotąd przed oczyma. Takiej twarzy trudno zapomnieć. To ona, niewątpliwie.

Teresa padła na fotel, była blizką omdlenia.

— Fotograf dobrze uchwycił jej rysy — mówił dalej nieznajomy. — Oddał nawet czarną plamkę na lewem policzku... Pan pamięta ją również jak i ja... Strój ten sam... Suknia oszyta koronkami... Możnaby przypuścić, że pozowała się na godzinę przed śmiercią... Trzyma w ręku damę pikową, którą potwór przybił jej do serca.

— Tego już za wiele — krzyknął Ludwik, podchodząc z zaciśniętemi pięściami do intruza — nie ścierpię już dłużej pańskiej bezczelnej gadaniny... Oddawaj mi pugilares i wynoś się... inaczej...

— Inaczej co? — podchwycił nieznajomy, wsuwając fotografię do pugilaresu, a pugilares do kieszeni.

— Inaczej przyzwę policyę, która odbierze panu przemocą moją własność, a ciebie za drzwi wyrzuci.

— Ludwiku, mityguj się — zawołała pani Lecomte.

— Nie radzę panu próbować — mówił intruz z całym spokojem. — Naprzód mam silne pięści i pan mnie nie przestraszysz, choćbyś nawet przyzwał na pomoc starego służącego, który mnie tu wprowadził. Powtóre mogłoby to panu wyjść na złe, bo udałbym się natychmiast do komisarza policyi.

— Gdybyś się pan ośmielił to zrobić, powiem, że jesteś złodziejem... i dowiodę tego... Słyszysz? Bo wyciągnięto mi ten pugilares z kieszeni palta; kieszeń przerżnięta... Pozostał ślad pańskiego noża, czy też scyzoryka... tak pańskiego... Kradzież została spełniona przed kilku godzinami, a przedmiot ukradziony znajduje się w pańskich rękach. Wszak to dowody oczywiste. Dziwię się takiej bezczelności i zakończyłbym wcześniej komedyę, którą odgrywasz pan tu od kwadransa, gdyby nie chodziło o oszczędzenie przykrości paniom.

— O gdyby to odemnie zależało, cała ta sprawa załatwiłaby się spokojnie — odparł nieznajomy. — I ja mam względy dla kobiet i nie znoszę awantur. To pan się unosi.

— Dosyć tego! — zawołał młodzieniec — możesz mi pan oddać pugilares lub go zatrzymać; mniejsza o to, ale wynoś się stąd natychmiast. Wolę zostawić panu te pieniądze, niż być wplątanym, bodaj jako powód, w sprawę kradzieży. Sądzę, że teraz nie ośmielisz się iść do komisarza.

Intruz nic na to nie odpowiedział, ale nie zabierał się do wyjścia. Po schowaniu pugilaresu, zapiął surdut i obracał w ręku kapelusz z zakłopotaniem, nie licującem z pewnością siebie, jakiej dawał dowody od samego początku rozmowy.

Pani Lecomte zaczynała odzyskiwać spokój i patrząc na nieznajomego, myślała, że nie wygląda on jednak na złodzieja. Teresa zgnębiona, przybita, powtarzała sobie w duchu:

— Nosił na sercu portret innej kobiety, więc ją kochał!

— Na co pan czekasz? Dlaczego nie uwalniasz nas od swojej obecności? Na co pan jeszcze czekasz? — powtórzył pan de Gentilly głosem groźnym.

— Zaraz to panu wytłumaczę, kochany panie. Przedewszystkiem zechciej pan zrozumieć, że mam sumienie czyste. Może panu pugilares ukradli, ale w takim razie złodziej go zgubił, bo ja go znalazłem napewno.

— Gdyby ten pan chciał sobie przywłaszczyć pieniądze, toby ci ich nie odniósł, Ludwiku — wtrąciła wdowa chcąc sprawę załagodzić.

— Dziękuję — odparł uprzejmie nieznajomy — trafiła pani w sedno, mam nadzieję, że pan de Gentilly zechce zrozumieć, że jeśli mu nie oddaję pugilaresu, to tylko dlatego, że znalazłszy w nim portret zamordowanej kobiety, mam obowiązek wręczyć go komisarzowi policyi. Od tygodnia już prowadzi się śledztwo, a dotychczas nic nie wykryto. Może ten pugilares pomoże do odnalezienia tropu. Co rano kupuję sobie gazetę za solda — otóż wyczytałem w niej dzisiaj, że obowiązkiem każdego uczciwego obywatela jest pomagać sprawiedliwości... a ja się uważam za porządnego obywatela.

— Zatem — rzekł p. de Gentilly głosem zmienionym — zamierzasz pan udać się...

— Do komisarza policyi — tak panie i to zaraz. Byłbym nawet zaczął od tego; gdybym zobaczył fotografię, zanim tu przyszedłem; ale w pierwszej chwili uwagę moją zwróciły banknoty i papier z pańskiem nazwiskiem... O! niech się pan nie boi — dodał, wpatrując się badawczo w Ludwika — oddadzą panu pugilares i pieniądze... Dobrzeby było nawet, gdybyś pan pojechał ze mną do komisarza.

Na taką propozycyę, wyrażoną głosem uprzejmym Ludwik żachnął się niecierpliwie.

— Po co? — zawołał. — Nie mam żadnego interesu do komisarza. Zresztą możesz pan sobie wziąć te pieniądze, skoro je znalazłeś.

— O! dziękuję bardzo, ale nie wezmę. Lubię pieniądze zarobione, lecz znalezionych nie chcę. Pan jednak musi być bardzo bogaty, jeśli tak szafuje tysiąc-frankówkami... Ale mniejsza o to. Spodziewam się, że pan ze mną pojedzie do komisarza.

— Powtarzam, że to zbyteczne.

— Ha! jak panu się podoba. Więc pójdę sam.

Nieznajomy zabierał się już do wyjścia, nagle uderzył się po czole i zawołał:

— Prawda, tak być nie może. Komisarz zacznie mnie pytać się o pana... Poczciwy to człowiek — znam go dobrze — od lat dziesięciu mieszkam w jego rewirze, ale bardzo ciekawy — z obowiązku. A zresztą od zamordowania damy pikowej cała policya szpera... To też gdy komisarz usłyszy, że pan miałeś jej portret, zechce się dowiedzieć, zkąd: czy czasem nie od niej samej?

Spostrzegając, że Teresa blednie, dodał:

— Cóż znowu, nikt przecie tak nie myśli. Pan kupił ten portret u fotografa; to jasne jak dzień. Ale ci komisarze, to dziwni ludzie; mój lepszy jeszcze od innych; swoją drogą dałbym szyję, że przyszle po pana jeszcze dzisiaj.

Młodzieniec drgnął.

— A domyśla się pan, — ciągnął dalej dręczyciel — że przyszle służącego w liberyi.

— Żandarmi, tutaj u mnie! — zawołała wdowa z przerażeniem.

— Nie będą to żandarmi, ale po prostu dwaj *szpicle* — przepraszam panią — dwaj agenci policyjni... ubrani po cywilnemu... ale można ich łatwo poznać po twarzach i całem obejściu... a takie facety nie robią sobie ceremonii z człowiekiem... No słowo daję, gdybym był na miejscu pana, tobym na nich nie czekał i poszedłbym zaraz do komisarza. Cała wyprawa nie zajmie więcej, niż kilka godzin. Mógłbyś pan jeszcze tu wrócić i uspokoić te panie... Zabrałbyś przytem swoje pieniądze, bo komisarz zatrzyma tylko fotografię.

P. de Gentilly milczał, ale twarz jego zdradzała walkę wewnętrzną.

— Zdaje mi się, Ludwiku, że ten jegomość ma słuszność — rzekła pani Lecomte. — Lepiej załatwić tę sprawę odrazu. Obie nie będziemy miały spokoju, dopóki się to nie skończy. Jedź zatem, mój drogi. Mam nadzieję, że nie będziemy czekały zbyt długo na twój powrót; każę założyć najlepsze konie do karety.

— O! nie warto, proszę pani — wtrącił nieznajomy — wziąłem dorożkę na godziny; udało mi się natrafić na rączą szkapę. Z przeproszeniem pani, stracilibyśmy więcej czasu, czekając na zaprzężenie ekwipażu... Zresztą lepiej, żeby nie widziano prywatnych koni przed biurem komisarza policyi. Agenci mogliby jeszcze ciągnąć stangreta za język.

Ten argument trafił do przekonania pani Lecomte. Prosiła Ludwika, żeby wyruszył natychmiast.

Ludwik spoglądał na Teresę i zdawało się, że ona podziela zdanie matki.

Zresztą namyślił się już i był spokojny, na pozór.

— Dobrze — oświadczył — jadę z panem.

Uścisnął rękę przyszłej teściowej i zbliżył się do narzeczonej, aby ją pożegnać.

— Czy mi darujesz — szepnął tak cicho, że ona jedna mogła go słyszeć — czy mi darujesz, że ci taką przykrość zrobiłem?

— Tak — odparła Teresa — bo mam nadzieję, że się wytłómaczysz.

— Jakto? Czyż sądzisz, że to ja tę kobietę zamordowałem?

— Nie o taką zbrodnię cię posądzam — przerwała mu panienka, uśmiechając się przez łzy. — Musisz się wytłómaczyć przede mną z tego, żeś nosił na sercu portret innej kobiety.

— Przysięgam ci, że łatwo mi przyjdzie wyjaśnić, jak to się stało — rzekł młodzieniec z zapałem.

Ukłonił się pani Lecomte i wskazał drzwi nieznajomemu, który przez ten czas usunął się na bok, aby nie przeszkadzać narzeczonym.

Ale nieznajomy nie chciał wyjść pierwszy.

Lokaj, który zasnął był w przedpokoju, na głos p. de Gentilly obudził się nagle. Podał mu palto i kapelusz, ale zdziwienie jego nie miało granic, gdy ujrzał swego przyszłego pana, wychodzącego w towarzystwie człowieka, który nie wyglądał wcale na odpowiednią kompanię dla narzeczonego panny Lecomte.

Stary sługa był zbyt dobrze wytresowany, by sobie pozwolić na jaką uwagę, lecz gdy otworzywszy furtkę, zoba-

czył fiakra, stojącego przed domem, rzucił te słowa, w formie ostrzeżenia:

— Możeby pan kazał jechać przez Pont de Jour. Zimą lasek pusty.

Młodzieniec nic mu na to nie odpowiedział i zbliżył się do dorożki, nieznajomy szedł wciąż za nim.

Wbrew przyzwyczajeniu woźniców, dorożkarz nie położył się w powozie i nie spał, zamiast pilnować konia. Choć było bardzo zimno, siedział wyprostowany na koźle, z lejcami w jednej ręce, a biczykiem w drugiej, jak stangret dobrze wyszkolony.

Znalazca banknotów podbiegł do drzwiczek, wsadził swojego towarzysza i szepnął coś woźnicy, czego p. de Gentilly nie mógł słyszeć. Zresztą wiedział, jaki podał adres woźnicy, albowiem mógł to być tylko adres komisarza cyrkułowego.

Koń ruszył z miejsca wyciągniętym kłusem, dorożka potoczyła się ulicami Boulogne.

— Rad jestem — mówił nieznajomy — że lasek nie leży po drodze. Służący pański ma słuszność. Zimą i po nocy przejazd niebezpieczny... zwłaszcza gdy się wiezie sporą sumę.

— Nie bój się pan. Mam przy sobie rewolwer — odparł p. de Gentilly.

Rad był ostrzedz swego sąsiada, że jest uzbrojony.

— Jest to przezorność chwalebna, nawet gdy się jedzie z wizytą do dam! — zawołał nieznajomy. Ja jestem goły, jak święty turecki, więc nie noszę ze sobą żadnej innej broni, prócz dwóch silnych pięści. Ale dziś, mam przy sobie pięć tysięcy franków. W życiu mojem nie widziałem tyle pieniędzy odrazu.

— Mam nadzieję, że po naszych odwiedzinach u komisarza, zechcesz pan przyjąć jeden z tych banknotów.

— Ani przedtem, ani potem — oświadczył nieznajomy. Jan Piédouche nie potrzebuje być wynagradzanym za uczciwość.

— Piédouche — powtórzył młodzieniec, zdziwiony zabawnem brzmieniem tego nazwiska.

— Tak się zowię, proszę pana. To trudno. Nie każdy może być Montmorencym. Ja jestem smarownikiem omnibusów. Posada nie świetna, ale może wyżywić. Robię nawet na niej oszczędności. Takim, jak mnie pan widzisz, jutro złożę zapewne tysiąc franków w kasie oszczędności... dla moich malców... Mam ich trzech...

— Przyjmij pan moją propozycyę, a zamiast jednego będziesz mógł złożyć dwa tysiące.

— Nie, panie, ten pugilares jest święty — odparł Piédouche, uderzając się po kieszeni tużurka. — Nie tknę tych pieniędzy za nic w świecie... Swoją drogą, możesz pan zapłacić dorożkarza — dodał ze śmiechem. — Będziemy jechali dobre dwie godziny. Ten mój komisarz mieszka bardzo daleko.

— Na jakiej ulicy?

— W Cité... w pobliżu Notre-Dame.

— Więc pan zamieszkujesz w dzielnicy Cité? — spytał p. de Gentilly.

— Od lat dziesięciu — odparł Piédouche. — Mówiłem już to panu raz w salonie... ale pan mnie nie słuchał... No, to się rozumie... miałeś pan co innego do roboty... Ta panienka djablo ładna.

— Nie wmawiaj że pan we mnie, że pracujesz w warsztatach Towarzystwa omnibusów...

— Tak, to trochę daleko od mojego mieszkania, ale przywiązany jestem do tej dzielnicy... i bardzo szczęśliwie, że w niej pozostałem, bo inaczej nie byłbym wszedł do trupiarni, nie znalazłbym tego pugilaresu a pan nie zobaczyłbyś już swoich pięciu tysięcy franków... Ale prawda, o której godzinie pan był w Mordze?

— Około trzeciej — odpowiedział ostro młodzieniec.

— Tak i ja o tej samej. Zresztą choćbym pana widział, nie byłbym go poznał. Pan musiał być ubrany inaczej... wystroiłeś się pan, idąc do swoich pań...

— Istotnie, wstąpiłem do domu, aby zmienić ubranie... i wtedy dopiero spostrzegłem brak pugilaresu...

— Musiało to pana okropnie zmartwić. Ja co prawda, na pańskiem miejscu, byłbym złożył od razu raport policyi.

Nie miałem na to czasu. Oczekiwano mnie w Boulogne...

— Ha! gdy się jest zakochanym, a w dodatku bogatym człowiekiem, to człowiekowi pilniej do narzeczonej, niż do zguby.

Zamiast odpowiedzieć na tę uwagę, opartą na znajomości serca ludzkiego, p. de Gentilly wsunął się w kąt powozu. Widocznie nie chciał wdawać się w rozmowę. Ale Piédouche był usposobionym do gawędy. Po chwili milczenia, zawołał nagle:

— Prawda, przychodzi mi na myśl: pan miał ważny powód nie zgłaszać się do komisarza o tę zgubę — obawiał się pan, by go nie nudzono pytaniami, wedle tej fotografii...

— Bynajmniej! — odparł żywo Ludwik. — Wszak każdemu wolno mieć jakie chce fotografie.

— Gdyby to był portret pierwszej lepszej, toby nie obchodziło nikogo... ale gdy to jest podobizna osoby zamordowanej, wpakowanej do skrzyni i której nikt nie zna... to rzecz inna... O! wiem — ciągnął dalej Piédouche wesoło — że nie pan niósł skrzynię, albowiem wiadomo, że niósł ją głuchoniemy... a pan... z przeproszeniem masz język wcale obrotny... Ale zawsze niemiło jest tłómaczyć się przed policyą, zwłaszcza na takiem stanowisku, jak pańskie... A przytem policyanci są nieufni... Choćbyś pan im przysięgał, że znalazłeś tę fotografię, nie zechcą na tem poprzestać.

Podczas gdy Piédouche wygłaszał tak pocieszające uwagi, p. de Gentilly zaczął mieć wątpliwości, czy jego towarzysz nie mówi tego, by mu nasunąć myśl porozumienia się przy pomocy brzęczącej monety.

Skrupuły, które objawiał wobec pani Lecomte i jej córki, były może jedynie środkiem ostrożności, przedsięwziętym dla zabezpieczenia się od możliwej niedyskrecyi. Ów smarownik gotów był zapewne sprzedać swe milczenie, byle nikt nie był obecnym przy takim frymarku.

— Przyznaję — odparł Ludwik, udając obojętność — przyznaję, że to sprawa niemiła. Jak panu wiadomo, żenię się z panną Lecomte i gdyby ta historya miała mieć jakie przykre następstwa, musiałbym zaniechać małżeństwa, o które mi bardzo chodzi.

— Dla takiego głupstwa! dla bagateli! — zawołał Piédouche z głębokiem przejęciem.

— Od pana zależy, by do tego nie doszło. Prosiłem już pana, byś zachował ten portfel z całą jego zawartością...

— Z wyjątkiem fotografii zapewne — wtrącił Piédouche z chytrym uśmiechem.

— Ma się rozumieć, resztę panu oddaję... Co prawda, to nawet pięć tysięcy za mało za taką usługę. Jestem bogaty, a będę jeszcze bogatszy, bo panna Lecomte wniesie mi posag olbrzymi. Pan musisz pracować na utrzymanie siebie i swoich trojga dzieci... Przyszłość ich byłaby zapewnioną, gdybym tę sumę potroił, a ja gotów jestem ją potroić, jeżeli pan zechcesz mi oddać ten portret...

Piętnaście tysięcy franków — to ładny grosz!

— Nie mam ich przy sobie, ale dam panu mój adres, a jeżeli mi przyniesiesz portret jutro o czwartej, to wręczę panu tę sumę.

— To znaczy, że mi pan dasz tylko dziesięć tysięcy, skoro mam już pięć.

— Czy chcesz pan mieć okrągłe dwadzieścia?

Zanim Piédouche zdążył odpowiedzieć na tę ponętną ofertę, otworzyły się drzwiczki i urzędnik, pobierający opłatę celną przy rogatce miejskiej, zapytał głosem ochrypłym:

— Czy panowie nic nie deklarują?

— Nie — mruknął młodzieniec, zły, że mu przerwano tak dobrze rozpoczętą rozmowę.

— No i dojechaliśmy już do rogatki — zawołał Piédouche. — Jak to czas szybko leci na gawędce. Zdawało mi się, że jestem jeszcze w Boulogne.

Rewizya trwała krótko, powóz potoczył się znowu po szerokiej ulicy, dochodzącej do rogatki Saint-Cloud, a będącej właściwie tylko przedłużeniem ulicy Passy.

Nie było jeszcze późno, składy a zwłaszcza szynki stały jeszcze otworem. Po ciszy przedmieścia następował gwar i zgiełk zaludnionej ulicy.

— A zatem — rzekł p. de Gentilly — rzecz postanowiona. Co? Jutro oddasz mi pan tę fotografię w zamian za sumę, która zapewni przyszłość pańskim dzieciom... a dziś wieczorem, zamiast do komisarza, pojedziemy do mojego mieszkania....

— Tak, to mi się uśmiecha i zgodziłbym się na pańską propozycyę, gdybym się nie bał, że wyjdzie na jaw.

— Jakim sposobem? Nikt się nie dowie!

— Ba, ludzie wszystko zawsze wiedzą. Ta przeklęta fotografia! Jeżeli wykryją, że miałem ją w ręku i oddałem panu, to dopiero będę miał bigos.

— Daję panu słowo honoru, że ją spalę w pańskich oczach. Wszak się pan domyślasz, że ja nie mam ochoty jej chować na pamiątkę... Za drogo mnie kosztuje.

— No, nie miałbym nic przeciwko temu darowi, tylko widzi pan boję się policyi, jak ognia, i nawet za cały milion nie chciałbym z nią zadzierać... więc stanowczo...

— No, cóż?

— Stanowczo odmawiam... Tem gorzej dla moich malców.

— Odmawiasz pan?

— Inaczej nie mogę. Pozostaniemy jednak w przyjaźni.

Piédouche domawiał właśnie tych słów, gdy w świetle latarni, przed którą przejeżdżała dorożka, mignęła mu przed oczyma lufa rewolwerowa.

Narzeczony Teresy przyłożył mu ją do ust, szepcząc głosem zdławionym:

— Oddawaj ten portret, a nie to ci w łeb palnę.

Ostrożnie, młodzieńcze — rzekł Piédouche chłodno — pokpisz sprawę.

Ta odpowiedź oblała, jakby strumieniem zimnej wody gniew p. de Gentilly, spuścił też broń natychmiast.

— Pomyśl pan — przekładał mu jego towarzysz — nie jesteśmy już tutaj na drodze odludnej. Dajmy na to, że mi pan w łeb palniesz... Rozlegnie się wystrzał. Usłyszy go woźnica... Ludzie się zbiegną... wpakują pana de aresztu, potem do więzienia i tak dalej... Portret zamordowanej kobiety nie polepszy pańskiej sprawy...

— Chciałem pana tylko przestraszyć — wybełkotał Ludwik. — To było wielkie głupstwo, przyznaję, ale też pan doprowadziłeś mnie do ostatniej pasyi.

— Uspokoisz się pan u komisarza. — Zobaczy pan jak on się z nami szybko załatwi. To człowiek uprzejmy. Ludzie tworzą sobie błędne pojęcia o śledzeniach, a gdy ich zakosztujemy, to widzimy, że to znowu nie takie straszne.

Młodzieniec nic nie odpowiadał na te słowa, wypowiedziane takim tonem zachęcającym, jaki przybieramy zwykle, namawiając dziecko, by dało się zaprowadzić do dentysty.

P. de Gentilly wsunął rewolwer do kieszeni, odwrócił się plecami do swego towarzysza i przez dalszą drogę milczał uporczywie.

Widocznie zgodził się już ze swoim losem i przygotowywał odpowiedzi, których miał udzielić komisarzowi.

Koń rączy, niepodobny wcale do zwykłych dorożkarskich, przebiegł kłusem ulice nadbrzeżne, wjechał na Pont-Neuf, potem skręcił na prawo i stanął przed jakimś podjazdem; po obu jego stronach stało po dwóch policyantów.

Przyjechaliśmy już, kochany panie — rzekł Piédouche, otwierając drzwiczki i wyskakując zwinnie.

— Mówiłeś mi pan, że jedziemy do komisarza — zawołał p. de Gentilly, który będąc pogrążony w swoich myślach, nie patrzał na przebywaną drogę.

— To wszystko jedno, kochany panie — odparł uprzejmie Piédouche — jesteśmy w prefekturze policyi.

Młodzieniec wyjrzał przez okno, zobaczył sierżantów, ciemny kurytarz, wysokie gmachy i cofnął się w głąb karetki.

Nareszcie zrozumiał. Instynktownie rzucił się do drugich drzwiczek, chcąc uciekać. Ale stał już przy nich drab olbrzymi. Był nim Pigache, przebrany za dorożkarza.

— Pozwoli pan, że mu pomogę wysiąść — rzekł uprzejmie Piédouche.

Ucieczka była niemożliwa, a po za temi drzwiczkami czyhała hańba.

Narzeczony Teresy sięgnął do kieszeni.

— Niech się pan nie trudzi — rzekł agent — domyślając się jego zamiaru — wyjąłem panu pistolet po drodze, widząc, że pan gotów zrobić jakie głupstwo. Gdybym był panu broń zostawił, w chwili tej byłbyś w krainie cieniów, a ja w kłopocie nie małym.

— A więc nie wolno mi nawet życia sobie odebrać? — szepnął Ludwik.

— Chodźmy, drogi panie, już tam na nas czekają — odpowiedział na to Piédouche słodziutkim głosem.

— Gdzie mnie pan zaprowadzisz?

Do swojego szefa. Jest komisarzem policyi., nie z mojego cyrkułu, ale mniejsza o to.

— Więc pan jesteś?...

— Agentem policyjnym... do usług pańskich.

— Nędzniku!

— Po co mi pan wymyślasz! Wszak mogłem był aresztować pana wobec jego narzeczonej, a nie zrobiłem tego.

Piédouche przechwalał się. Mimo bowiem obecności Pigache'a, nie zdołałby zabrać p. de Gentilly z domu, pełnego służby. A jeśli użył podstępu, nie siły, miał ku temu ważne powody.

Porwanie mordercy „damy pikowej“ było dla niego zwycięztwem takiej doniosłości, jak Austerlitz dla Napoleona i nie chciał się dzielić ani sławą, ani zyskami, które miały uwieńczyć ten tryumf. Bardzo mu więc na tem zależało, by przywieźć winowajcę do prefektury bez niczyjej innej pomocy, prócz Pigache'a. Udało mu się to po myśli i był uszczęśliwiony.

Ludwik zdecydował się wyjść z dorożki, sierżanci dziwili się bardzo, widząc takiego eleganckiego młodzieńca, idącego pomiędzy dwoma agentami drogą prowadzącą do policyi poprawczej, ztamtąd do sądu przysięgłych, więzienia, Nowej Kaledonii lub na plac gilotyny.

Nieszczęśliwy zapanował już nad swem wzruszeniem i szedł z głową podniesioną butnie pomiędzy Piédouche'm i Pigache'm.

Dorożka, którą ci dwaj przyjaciele pożyczyli od znajomego, pozostała przed gmachem prefektury pod opieką żandarma.

Długiemi przejściami zaprowadzono Ludwika do przedpokoju, gdzie stało trzech woźnych, dwóch starych, jeden młody. Umeblowanie było bardzo skromne, składało się ze stołu i dwóch foteli. Piédouche przysunął jeden z nich p. de Gentilly.

Nieszczęśliwy młodzieniec usiadł w milczeniu.

Położenie jego było rozpaczliwe. Zrozumiał on, że opór na nic się nie zda, więc teraz obmyślał środki obrony.

Pigache nie usiadł na drugim fotelu, lecz stanął na warcie przy drzwiach wychodzących na schody, chcąc zapobiedz możliwej ucieczce.

Piédouche zapytał woźnych, czy komisarz jest sam, a otrzymawszy odpowiedź potwierdzającą, wsunął się do poczekalni, a ztamtąd do gabinetu szefa policyi. Ten obejrzał się, a zobaczywszy sprytnego agenta, zapytał:

— Nic nowego?

— Z przeproszeniem pana naczelnika jest nowina i to wielka.

— Mów-że prędzej. Nie mam czasu na stracenie.

Piédouche wyjął z kieszeni słynny pugilares i położył go na biurku, mówiąc:

— Oto nowina, nowina nie lada, jakem uczciwy:

— Co takiego? — spytał szef, otwierając *corpus delicti*. Bilety bankowe? Mój gabinet nie jest biórem do składania zagubionych przedmiotów.

— Niech pan naczelnik raczy zajrzeć głębiej.

— Dwa nazwiska wypisane na kopercie: „Pan de Gentilly u pani Lecomte, bulwar Quatre Semtembre, w Boulogne. Znam wprawdzie jednego de Gentilly, ale ten nie jest wmieszany do sprawy przy ulicy Arbalète... Nie chciał w nią palców maczać... Mów-że jasno, zamiast mi dawać szarady do rozwiązania.

— Niech pan naczelnik spojrzy na fotografię...

— Tam do licha! Ależ to portret zamordowanej kobiety!

— Nieinaczej, panie naczelniku.

— Toś ty znalazł ten pugilares?

— W kieszeni jakiegoś Anglika, który został przytrzymany w chwili, gdy okradał ciekawych, tłoczących się do trupiarni Morgi. Było to o trzeciej po południu.

— I dopiero teraz przybywasz z tem oznajmieniem! — zawołał szef, zrywając się z fotelu. I nie przyprowadziłeś mi zaraz tego łotra?

— Jest zapewne w areszcie.

— Powinien być tutaj... poszlę natychmiast...

— Pan naczelnik nie dowie się nic ciekawego od tego rzezimieszka.

— Co to? Czyś oszalał, czy drwisz ze mnie?

— Zaraz panu naczelnikowi wytłómaczę. Ten złodziej wyciągnął pugilares z kieszeni pewnego młodzieńca, którego miałem już na oku w trupiarni.

— I pozwoliłeś mu się wymknąć. No, tym razem przebrałeś miarkę i oświadczam ci, że już do policyi nie należysz.

— Pozwoliłem mu się wymknąć, to prawda, ale go odnalazłem — ciągnął dalej niestropiony agent. — Łatwo mi to przyszło. Jego nazwisko jest wypisane na tym skrawku papieru...

— Więc to ów p. de Gentilly.

— Tak, panie naczelniku. Przyznał się do tego pugila-

resu, ale gdy mu pokazałem portret, to mu się twarz wydłużyła o pół metra. Trzeba było widzieć tę minę!

— No, wreszcie mamy go w ręku, bo spodziewam się, że postawiłeś straż u jego drzwi.

— Zrobiłem jeszcze lepiej. Skłoniłem go, by tu ze mną przyjechał.

— Jakto? Jest tutaj?

— W przedpokoju pana naczelnika, pod strażą Pigache'a.

— No, mój chłopcze, spisałeś się dzielnie. Któż ci pomagał?

— Nikt zgoła, panie naczelniku. Nie udawałem się nawet do p. Tolbiaca. Nie wie o niczem. Był mi niepotrzebny.

— Jakże się wziąłeś do tego?

— Łagodnie. Odnalazłem młodzieńca u owej pani Lecomte. Ma się żenić z jej córką. Ludzie bogaci. Chcąc uzyskać wstęp, powiedziałem, żem znalazł pugilares pełen banknotów i że go odnoszę. To stara sztuczka mojego pomysłu. Zawsze się udaje. A tym razem było to prawdą istotną.

Potem udałem, że się boję, aby mnie ten portret nie skompromitował. Powiedziałem, że oddam go nie inaczej, jak wobec komisarza. Młodzieniec długo się opierał, ale jednak dał się zabrać. Narzeczona czeka go z wieczerzą. Biedactwo! Będzie musiało innego sobie męża poszukać.

— To dziwne, że zgodził się przyjechać, jeśli jest winnym.

— O! że winien, to nie ulega wątpliwości. Poznałem go po brodzie, brwiach, po palcie i rękawiczkach, wreszcie po głosie. To ten sam ptaszek, który mnie wywiódł w pole przy ulicy Arbaléte.

— A więc i on musiał cię poznać?

— Bynajmniej. Owej nocy byłem przebrany za łobuza, dziś występuję, jako spokojny obywatel, zrobiłem sobie inną „głowę“.

— Prawda. A więc wszystko dobrze. Przyprowadź mi go tutaj, Piédouche. Możesz liczyć na nagrodę, mój stary. Spisałeś się dzielnie.

— Ha! nagrodą nie pogardzę, panie naczelniku, choć prawdę powiedziawszy... p. Tolbiac obiecał mi także gratyfikacyę... i to sporą... tysiąc franków.

— A więc będziesz miał dwa tysiące. Zarobiłeś je dzielnie... lepiej od Tolbiaca. Gdyby ojciec Lecoq zechciał był wziąć tę sprawę w swoje ręce, nie potrzebowalibyśmy czekać na traf szczęśliwy, który ci pozwolił schwytać mordercę.

— To prawda, panie naczelniku. Pan Lecoq jest niezrównany; kto pod nim służył, ten wskoczyłby w ogień za niego.

— To się dopiero stary zadziwi, gdy jutro pójdę mu opowiedzieć o tej zdobyczy. Tolbiac może nam jeszcze oddać usługi, bo pewny jestem, że ten de Gentilly będzie się bronił do upadłego. Trzeba zbadać wszystkie stosunki tego młodzieńca... Wszak to człowiek młody, nieprawda?

— Ma lat ze dwadzieścia pięć... może ośm, najwyżej.

— Tak... bogaty, młody, musiał mieć do czynienia z demimondówkami... miał interesy... pomiędzy innemi tamtą... z ulicy Arbaléte... Tolbiac jest znakomity w śledztwach tego rodzaju... zażądamy jego usług... chyba, że zdołam doprowadzić młodzieńca do wyznania. Nie pierwszy to raz udało mi się otrzymać je w śledztwie przedwstępnem. Wszystko zależy od metody i rutyny. No, wreszcie, zobaczymy...

— Czy mam zostać w gabinecie pana naczelnika podczas badania?

— Nie to zbyteczne. Ale bądź w przedpokoju. Może cię zawołam. A potem wieczorem zrobimy rewizyę w domu podsądnego. Zabiorę ciebie i Pigache'a.

— Rozumiem, panie naczelniku. Ale wpierw muszę panu jeszcze powiedzieć trzy fakty, które rzucą światło na młodzieńca. Naprzód ofiarował mi aż dwadzieścia tysięcy franków za oddanie portretu. Powtóre, jak zobaczył, że nie chwytam przynęty, podstawił mi pod nos rewolwer. Wtedy powiedziałem mu, że sprawę pokpi i to go uspokiło. Co za naiwność! Powinien przecież rozumieć, że mu dwa razy łba nie utną. Wreszcie, gdyśmy stanęli tutaj i zobaczył, że go przywiozłem do prefektury, sięgnął do kieszeni po pistolet... chciał sobie w łeb palnąć, ale pistolet był już w mojej kieszeni. Oto jest — zakończył Piédouche, kładąc broń na stole.

Dzielny z ciebie chłopak, pomówię o tobie z panem prefektem — rzekł naczelnik wzruszony prostotą tego opowiadania. Następnie zadał jeszcze kilka pytań w sprawach pobocznych i kazał przyprowadzić pana de Gentilly.

Przez tę krótką chwilę, która ubiegła, zanim stawiono przed nim Ludwika, przygotował się do szermierki z podsądnym.

Pierwsze badanie jest, jakby pojedynkiem, między badającym a oskarżonym, przewaga jest zwykle po stronie pierwszego, drugi jest zanadto wzburzony, aby panował nad sytuacyą, nad wyrazem twarzy, nad słowami. Walka nie jest więc równą.

Ale można ją prowadzić w sposób rozmaity: onieśmielać podsądnego pytaniami, zadawanemi obcesowo, lub też go oszczędzać, działać cierpliwie ostrożnie, opętać go siecią jego własnych odpowiedzi, i wysuwanemi z nich argumentami przyprowadzić go do wyznań.

Po namyśle, szef policyi tajnej obrał ten ostatni system. Nie zaniechał zresztą środków ostrożności.

Postawił jedną z lamp, oświecających biurko, w ten sposób, by jej światło padało wprost na twarz p. de Gentilly. Ukrył portret pod przyciskiem i schował rewolwer do szuflady.

Drzwi otworzyły się i wszedł młodzieniec. Piédouche wprowadził go i zaraz się cofnął.

— Niech pan siada — rzekł grzecznie szef policyi.

Pan de Gentilly ukłonił się, zajął miejsce i czekał w milczeniu, aż go zacznie badać.

Naczelnik przyglądał mu się i doznawał dziwnego wrażenia. Miał on ogromną pamięć fizjognomii i zdawało mu się, że twarz podsądnego, nie jest mu obcą i że ją widział nietylko owej nocy w świetle dogasającej świeczki.

P. Gentilly miał bardzo ciemną brodę, tak samo, jak owo indywidum, które wołało: *„Mary!“* o północy w pawilonie.

Ale dla orzeczenia o podobieństwie, trzeba było widzieć rysy, a szef policyi dostrzegł wówczas tylko brodę.

— Czy pan wie, dlaczego jeden z moich agentów przyprowadził pana tutaj? — zapytał.

— Tak, panie — odpowiedział żywo Ludwik Lecoq — i dziwię się, że aresztują człowieka uczciwego na mocy tak błahej poszlaki.

— Ten sam głos — myślał szef policyi. — Sprytna to widocznie sztuka. Będzie dowodził pomyłki co do osoby. Trzeba się ostro trzymać.

A głośno rzekł:

— Pan rozumie, że w sprawie tak ważnej nie mogę nic pomijać. Dodam, że pan nie jesteś aresztowany. Kazałem pana przywołać, aby go wybadać, a jeśli zdołasz mi pan wytłomaczyć w sposób zadawalniający, zkąd masz ów portret, który znaleziono w pańskim pugilaresie, to wolno panu będzie wrócić do domu lub też do osób, które pan opuściłeś przed chwilą, a które muszą być zaniepokojone.

Mówiąc tak, szef policyi śledził twarz podsądnego i widział, że się rozpromienia.

— Zdaje mi się, mój ptaszku — pomyślał — że niespodziewałeś się spać dziś w domu. To już jedna poszlaka i to nie mała. Gdybyś był niewinny, wydawałoby ci się to naturalnem.

— Dziękuję panu, że się pan zapatruje na tę sprawę w sposób właściwy — rzekł p. de Gentilly, siląc się na spokój.

— Sprawa jest przecie jasna — odparł naczelnik. — Wiadomo panu, bodaj z dzienników, że dotychczas nie zdołaliśmy stwierdzić tożsamości ofiary morderstwa, którem interesuje się cały Paryż. Znaleziono portret tej nieszczęśliwej kobiety. Rzeczą naturalną, że pana pytam, skąd go masz; jeśli od niej samej, o czem nie wątpię, to możesz nam pan udzielić objaśnień co do jej osoby.

— Pan się myli, ja jej nie znam — oświadczył Ludwik.

— Bądź pan ostrożnym! Czyżby pan nosił w pugilaresie portret osoby, której nie widziałeś nigdy w życiu? Chyba, że który z pańskich przyjaciół dał panu tę fotografię; a w takim razie zechcesz nam pan wymienić owego przyjaciela i on nas objaśni.

— Nikt mi tej fotografii nie dawał.

— A więc jakimże sposobem...

— Przepraszam pana. Pański agent opowiedział już zapewne, jaką drogą ten pugilares dostał się w jego ręce?

— Istotnie. Wiem, że go wyjął z kieszeni rzezimieszka, który go ukradł z pańskiej... podczas gdyś pan przyglądał się wystawionym zwłokom.

— Otóż ten złodziej musiał zapewne wsunąć fotografię do pugilaresu, albowiem, gdym wychodził z domu, było w nim tylko pięć tysięcy franków w banknotach i koperta od listu, na którym wypisane było nazwisko moje i pani Lecomte.

Szef policyi słuchał w milczeniu tych tłomaczeń. Powiadał sobie:

— Gmatwasz się, mój chłopcze; teraz cię trzymam.

A głośno dodał:

— Przyzna pan, że trudno wierzyć, aby złodziejowi przyszło na myśl kłaść tę fotografię do pugilaresu, którego we własnym interesie chciał się zapewne pozbyć jak najprędzej, po wydobyciu z niego pieniędzy. Rzezimieszkowie nie mają zwyczaju chować dowodów winy.

Po zastanowieniu znajduję, że pańskie tłómaczenie jest niedorzecznem. Anglik został aresztowany w chwili właśnie, gdy wychodził z Morgi, nie miał więc czasu zaglądać do pugilaresu, bo wsunął go śpiesznie w ukrytą kieszeń swych spodni.

— Nie spodziewa się pan chyba, bym ja wyjaśnił, w jaki sposób złodziej tego dokazał — odparł sucho p. de Gentilly. — Nie studjowałem metod rzezimieszków.

Zapanowało milczenie. Szef policyi przymknął oczy, jak człowiek, który się zastanawia, obracał w palcach fotografię, którą był wyjął z pod przycisku.

Nagle podniósł głowę i rzekł, patrząc młodzieńcowi prosto w oczy:

— Czy pan umiesz po angielsku?

— Tak, panie — odparł p. de Gantilly po krótkiem wahaniu: — umiem. Dlaczego pan pyta?

— Bo chcę pana prosić o wytłómaczenie mi trzech słów, wypisanych na odwrotnej stronie fotografii. Oto są: *Forget me not.*

Mówiąc to, pokazywał portret młodzieńcowi, który zbladł okropnie.

— No, nie musi to być takie trudne. Ja choć nie uczyłem się po angielsku, odgaduję potroszę. *Forget me not*, to znaczy zapewne...

— *Nie zapomnij o mnie* — szepnął narzeczony Teresy.

— I ja tak myślałem. A ta miła prośba jest podpisana ślicznem imieniem: *Mary.* — Takie jest właśnie imię zamordowanej kobiety, która była Angielką, jak już nam wiadomo.

— I rzezimieszek jest Anglikiem.

— Prawda. Czyż wyprowadzasz pan stąd wniosek, że był kochankiem tej kobiety?

— Nic nie wnioskuję, tylko stwierdzam.

— Dobrze, ale nie wmówisz pan w nikogo, że kobieta tak piękna i wytworna dedykowsła pamiątkę miłosną łotrowi najgorszego gatunku... a ten portret jest widocznie pamiątką miłosną... Musiał być dany kochankowi w chwili rozstania a ten kochanek, wyruszający może w daleką podróż, był niewątpliwie młodzieńcem pięknym, dystyngowanym, bogatym, — takim, jak pan naprzykład.

— To tylko czcze przypuszczenie... i powtarzam panu, że widziałem dzis ten portret po raz pierwszy, a osoba, którą przedstawia, jest mi...

— Dobrze. To pański system. Ja go uważam za niewłaściwy, ale mniejsza o to. Poszedłeś pan do trupiarni przez prostą ciekawość?

— Tak, panie. Wstyd mi to wyznać, bo wogóle brzydzę się temi wstrętnemi widokami.

— W istocie nie poszukuje się wrażeń podobnych w świecie, do którego pan należysz.

— Nie byłem nigdy w Mordze. Ale dzienniki tyle pisały o tej dziwnej sprawie, że zapragnąłem zobaczyć zwłoki.

— To bardzo naturalne. Cały Paryż doznawał tej ochoty. A więc przyszedłeś pan z domu...

— Tak, panie, przechodząc obok trupiarni...

— Z pięciu tysiącami franków w kieszeni...

— Niosłem te pieniądze do jubilera, który mi sprzedał bransoletkę...

— Miałeś ją pan ofiarować narzeczonej. Mój agent już mi to powiedział. Ten jubiler ma zapewne skład w Port Royal?

— Nie, przy ulicy de la Paix.

— A pan gdzie mieszka?

Młodzieniec drgnął i odpowiedział z zakłopotaniem:

— Przy ulicy Mont Thabor.

— Trupiarnia nie była panu po drodze — wtrącił szef policyi uprzejmie. — Ale dama pikowa warta, żeby dla niej drogi nadłożyć... A zatem przechodziłeś pan obok Morgi... i wszedłeś tam razem z innymi?

— Tak, panie... i żałowałem potem gorzko, żem uległ dziwnej fantazyi... Ten trup... to okropne... nie miałem odwagi spojrzeć.

— Dlatego to zapewne trzymałeś pan chustkę przy oczach?

— Kto panu powiedział?

— O ja wiem dużo rzeczy z konieczności mojego zawodu... Rozumiem zresztą, że mogłeś pan być wzruszony... a potem strata pugilaresu musiała dotknąć pana niemile. Kiedyż ją pan spostrzegł?

— Za powrotem do domu.

— Przy zamianie ubrania, wszak prawda?

— Tak, panie. — Jechałem na obiad do Boulogne, do pani Lecomte.

— Istotnie, nie mogłeś pan przedstawić jej się w ubraniu, w którem byłeś w trupiarni. Miałeś pan na sobie kurtkę kraciastą, wełniany szalik na szyji i pilśniowy kapelusz. Dziwny kostium, jak na młodzieńca, który ma pretensyę do wytworności i dystynkcyi.

— Nie chciałem pokazać się w takiem miejscu w ubraniu jak zwykle. Włożyłem naumyślnie stare rzeczy.

— Mówiłeś mi pan przed chwilą, żeś szedł do jubilera. Widocznie więc nie chciałeś pan wzbudzić w nim zaufania — rzekł chłodno szef policyi... — Prawda, że miałeś pan płacić gotówką i że on pana znał zapewne.

P. de Gentilly nic nie odrzekł na te ironiczne uwagi i coraz bardziej tracił zimną krew, która mu dopisywała na początku śledztwa.

Był już w usposobieniu, do którego przeciwnik chciał go doprowadzić.

Szef policyi zmienił więc ton i rzekł po ojcowsku.

— Mój panie, zdaje mi się, że jesteś na złej drodze. Obowiązkiem moim pana ostrzedz. Wyczerpujesz się pan na wysiłki daremne dla przeczenia faktowi oczywistemu. Ten portret jest pańską własnością... Nie mogę już o tem wątpić po tylu objaśnieniach sprzecznych i nieprawdopodobnych, które mi pan przed chwilą udzieliłeś.

Pozwól pan sobie powiedzieć, że zachowujesz się teraz, jak ci, którzy w obawie odpowiedzialności nie chcą poznawać zwłok przyjaciół wystawionych w trupiarni.

Rozumiem poniekąd pańskie skrupuły. Masz pan stanowisko świetne, jesteś na drodze do ołtarza, więc nie chcesz być wmięszany w sprawę kryminalną. Dlatego to wymyślasz fortele niedorzeczne, zamiast poprostu przyznać, że miałeś dawniej stosunki z damą z ulicy Arbaléte.

Że też pan nie pojmujesz, iż posiadanie jej fotografii nie jest zbrodnią, że może nawet być wytłómaczonem w sposób prosty?

Dodam, że obowiązkiem każdego uczciwego człowieka jest pomagać sprawiedliwości w wykryciu zbrodniarza i popełniłbyś pan czyn nieobywatelski, ukrywając przed nami, co panu wiadomo.

No, nie upieraj się pan, powiedz prawdę. Taki system może pana kosztować drogo... Przepraszam, jeśli wymienię to imię tutaj, ale sądzę, że gdyby panna Lecomte, pańska narzeczona, była obecna temu badaniu, toby pana błagała, byś wszystko wyznał.

P. de Gentilly był widocznie wzruszony, lecz panował nad sobą, spuścił oczy i milczał.

— Pomyśl pan, że ona tam czeka na pana z niepokojem, że gdy pan prawdę powiesz, wypuszczę pana zaraz na wolność. Jeśli zaś będziesz przeczył wszystkiemu, zmuszony będę odesłać pana do więzienia.

Młodzieniec zbladł okropnie, otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale zawahał się, wreszcie rzekł głosem stanowczym:

— Nic więcej zeznać nie mogę. Jestem niewinny. Uczyń pan ze mną co zechcesz.

Szef policyi nie spodziewał się takiego oporu, lecz upatrywał w nim jeszcze jeden więcej dowód winy p. de Gentilly i tracąc nadzieję, że zdoła go skłonić do wyznań, zmienił od razu ton i sposób obejścia.

— Jak się pan nazywa? — zapytał chłodno, — Gdzie pan mieszka? Jakie jest pańskie zajęcie?

— Nazywam się Ludwik de Gentilly; mieszkam przy ulicy Mont-Thabor pod numerem 72. Jestem doktorem praw i pomocnikiem regenta Labaureau.

— Czy jesteś pan majętny?

— Mój ojciec jest zamożny.

— A cóż robi pański ojciec?

— Żyje z renty.

— Czy pan z nim nie mieszkasz?

— Nie.

Szef policyi tajnej zadawał te pytania, jakby niedbale, słuchał odpowiedzi tylko dla formy, a zapisawszy je, spytał nagle, patrząc podsądnemu prosto w oczy:

— Czy znałeś pan p. Lheureus'a?

P. de Gentilly, usłyszawszy nazwisko zamordowanego kupca, odpowiedział obojętnie:

— Nie znałem go wcale.

— To dziwne; ani drgnął nawet! — pomyślał naczelnik.

— Cóżeś pan robił w sobotę wieczorem, 13-go stycznia?

Miał nadzieję, że podsądny wpadnie w pułapkę. Winowajcy mają zawsze w pogotowiu jakąś bajeczkę, obmyślaną z góry, gdy ich się pytają, co robili w dzień zbrodni.

Ludwik de Gentilly rzekł spokojnie:

— Nie mogę panu na to odpowiedzieć, gdyż nie pamiętam. Musiałem zapewne spędzić ten wieczór, jak wszystkie inne, u pani Lecomte w Boulogne.

— A wieczór niedzielny, 14-go?

— Spędziłem go tak samo, z tą tylko różnicą, że mój ojciec był razem zemną na obiedzie u pani Lecomte.

— Te zeznania będą sprawdzone. Tymczasem indagacya skończona.

— Więc mogę już odejść.

Szef policyi zadzwonił. Wszedł Piédouche.

— Przyprowadź mi zaraz dorożkę — rzekł do niego.

— Dorożka, którą przyjechaliśmy stoi przed prefekturą — odpowiedział Piédouche. — Wynająłem ją od znajomego mi dorożkarza. Pigache powozi. On się zna na tem. Był woźnicą.

— Dobrze. Czekaj na dole, u wejścia na kurytarz — rzekł naczelnik.

Agent wyszedł.

— Gdzie pojedziemy? — spytał Ludwik de Gentilly głosem zdławionym.

— Do pańskiego mieszkania.

— Do mnie? Cóż to znaczy?

— To znaczy, że dopełnię rewizyi pańskiego mieszkania, a że chcę jej dopełnić w pańskiej obecności, więc muszę zabrać pana ze sobą.

O, bądź pan spokojny, odbędzie się to w taki sposób, że nie będziesz skompromitowany, jeśli potrafisz oczyścić się z zarzutów, które na panu ciążą.

Słyszałeś pan, że kazałem mojemu agentowi iść naprzód. My wyjdziemy razem, tak jak gdybyś pan był oskarżającym, nie zaś oskarżonym. A gdy pójdziemy do pana, to się tak urządzę, aby pański odźwierny nie domyślił się niczego.

— Dziękuję panu za taką względność — rzekł gorzko młodzieniec — ale to są chyba ostrożności zbyteczne, skoro będziesz pan całe moje mieszkanie przetrząsał, zaglądał do moich papierów...

— A zwłaszcza, jeśli mnie pan aresztujesz.

— Jeśli pana aresztuję, to będzie z pańskiej winy. Czas jeszcze zapobiedz tym środkom ostatecznym. Wytłómacz się pan. Dowiedź swojej niewinności. Gotów jestem pana wysłuchać, a skoro tylko sprawdzę wiarogodność pańskich informacyi, to wypuszczę pana na wolność.

— Mam dowieść panu mojej niewinności! Ależ to pan powinieneś mi dowieść, że jestem winien.

— Istotnie i dlatego chcę pańskie mieszkanie zrewidować. Chodź pan ze mną.

Szef policyi wsunął do kieszeni fotografię, którą był włożył do szuflady razem z rewolwerem i banknotami, potem wskazał drzwi p. de Gentilly i wyszedł za nim.

Woźni patrzeli na niego z obojętnością ludzi przyzwyczajonych do widywania rozmaitych osób w tych progach.

Inspektorowie, stojący na dole, nie ruszyli się, sierżanci również.

Przechodzień, nieobznajomiony ze zwyczajami tego miejsca, mógł przypuścić, że p. de Gentilly wychodzi na spacer z towarzyszącym mu jegomością.

Pigache, przebrany za dorożkarza, wygramolił się na kozieł, Piédouche otworzył drzwiczki.

Narzeczony Teresy zajął miejsce z tyłu, szef policyi obok niego, Piédouche naprzeciw zwierzchnika, który podał adres rzekomemu woźnicy.

Wyruszono; przez całą drogę p. de Gentilly ust nie otworzył. Obmyślał może sposoby obrony lub też myślał o swojej narzeczonej.

Bądź co bądź, szef policyi nie próbował rozpraszać jego medytacyi. Przybyli na ulicę Mon-Thabor, nie zamieniwszy ani słowa.

Ludwik zajmował w antresoli pięknego domu apartament umeblowany gustownie i wygodnie. Były cztery pokoje: salon, gabinet, sypialnia i pokój do ubierania, wszystkie wychodziły na kurytarz.

Młodzieniec jadał poza domem, więc nie potrzebował pokoju jadalnego, nie trzymał też lokaja.

Ponieważ służącej nie było w domu, więc sam otworzył drzwi swoim nieproszonym gościom.

Wziął lichtarz u odźwiernego, który nie zdziwił się, widząc najhojniejszego ze swoich lokatorów, wracającego do domu w towarzystwie dwóch panów.

— Możesz pan teraz robić, co się panu żywnie podoba — rzekł, wskazując naczelnikowi swój gabinet.

Szef policyi rzucił okiem na bibliotekę, w której obok wytwornie oprawnych tomów, piętrzyły się olbrzymie księgi prawnicze. Obejrzał sztychy i obrazy, wiszące na ścianach, wykładanych starym dębem.

Na biurku leżały akty. Był to gabinet młodzieńca poważnego, który pomimo swoich zajęć fachowych, lubi sztukę i literaturę.

Szef policyi tak go osądził i tylko dla formy przerzucił papiery na biurku i zajrzał do szuflad, gdzie zresztą nie znalazł nic ważnego.

P. de Gentilly czekał w dumnej postawie na ukończenie tych poszukiwań, a następnie zaprowadził go do saloniku.

Zasłany był dywanami, nizkie meble stały przy ścianach, obwieszonych zbrojami. Ani jeden mebel nie zamykał się na klucz, nie było wcale stołów, tylko nizkie taborety, malowane wzorzysto.

Młodzieniec usiadł po turecku.

Piédouche, olśniony takim zbytkiem, chodził na palcach, w obawie powalania smyrneńskiego dywanu.

Jego szef od pierwszego rzutu oka ocenił, że poszukiwania były zbyteczne i przeszedł do pokoju sypialnego. Oczy jego padły tu naprzód nie na łóżko ogromne z kolumnadą, w stylu Ludwika XIV, lecz na malutkie biureczko z drzewa różanego, stojącego w rogu.

— Zechciej mi pan dać klucz od tego mebla — rzekł bez wahania.

Przypuszczał, że to biurko zawiera tajemnicę młodzieńca.

— Proszę pana — rzekł chłodno Ludwik, dając mu kluczyk. — Przetrząś pan to biurko, ale uprzedzam, że zawiera tylko papiery rodzinne i listy poufne. Skoro się pan przekonasz, że nie mają nic wspólnego ze sprawą, która pana tutaj sprowadza, mam nadzieję, że zechcesz mi je pan zwrócić.

— Będą włączone do aktów. Śledztwo tego wymaga, ale oddamy je panu... później. Zresztą nie będę ich teraz przeglądał. Idźmy dalej.

Gabinet oddzielony był od sypialni portyerą dywanową.

Piédouche podniósł tę portyerę, przepuszczając swojego szefa. Przyświecał dwoma kandelabrami, które wziął z biurka.

— Czy to cały pański apartament? — spytał szef policyi, obejrzawszy dużą marmurową konsolę, obszerne miednice, olbrzymie dzbanki z angielskiej porcelany, flakony ze szkła czeskiego, srebrne szczotki i tysiące drobnych a wytwornych przyrządów toaletowych.

— To już wszystko — odparł chłodno p. de Gentilly, chyba, że pan zechcesz zwiedzić kuchnię, drwalkę i schowanko, gdzie składam moją garderobę.

— To mi wystarcza. Moje zadanie skończone. Teraz opieczętuję papiery w pańskiej obecności i...

Szef urwał, bo w tej chwili ręka Piédouche'a dotknęła zlekka jego ramienia. Odwrócił się i spojrzał na agenta, który nic nie mówił; tylko wskazywał oczyma pewien punkt w ścianie dębowej, zakrytej w tem miejscu dywanem, punkt pomiędzy toaletą a oknem.

Policyanci porozumiewają się również dobrze znakami, jak i słowami.

Zwierzchnik mrugnięciem oka odpowiedział swojemu podwładnemu: „Dobrze, zaraz sprawdzę.“

P. de Gentilly był świadkiem tej zamiany spojrzeń, ale jej wcale nie dostrzegał. Miał jednak się dowiedzieć, co znaczy.

Piédouche, jako człowiek systematyczny, zapalił naprzód cztery świece, stojące na tualecie. Chodziło mu o to, żeby w pokoju było jasno.

— Zechciej pan wejść — rzekł naczelnik, usuwając się przed p. de Gentilly.

Drzwi od pokoju nie były zamknięte na klucz i młodzieniec mógłby się wymknąć. Nie miał widocznie ochoty do tego, a jednak zmieszał się.

— To zbyteczne — rzekł. — Moja ubieralnia niema tajnych szufladek — odpowiedział siląc się na sarkazm.

Wszedł jednak, szef policyi kroczył tuż za nim, Piédouche był już przy robocie.

Trzymał rękę na mosiężnym guziku, zręcznie ukrytym za draperyą; pocisnął guzik, odsunęła się ruchoma ściana.

— Skrytka! — zawołał. — Co też tu zobaczymy. Byle nie trzeciego trupa — dodał półgłosem.

— Co panu jest? — spytał szef policyi — przyglądając się bacznie p. de Gentilly.

Narzeczony Teresy chciał odpowiedzieć, lecz głos zamarł mu w gardle.

Tymczasem Piédouche wsunął głowę i rękę w otwór, który się utworzył po odsunięciu ruchomej ściany i przypatrywał się przy świetle pochodni.

— To dziwne, to bardzo dziwne! rzekł cofając się.

Na twarzy jego było widać, że zobaczył coś niezwykłego, niespodziewanego, coś czego sobie nie mógł objaśnić.

Szef odebrał mu z rąk pochodnię i skinął na podwładnego, by nie spuszczał z oka więźnia, sam zaś zbliżył się, żeby zobaczyć, co tak zdziwiło starego policyanta przyzwyczajonego do najdziwniejszych odkryć.

Ukryte drzwiczki prowadziły na rodzaj kurytarzyka utworzonego pomiędzy ścianą, pokrytą perskim dywanem i murem, oddzielającym dom sąsiedni od apartamentu p. de Gentilly.

Ta skrytka bardziej długa niżeli szeroka i zupełnie ciemna, obita była staremi flandryjskiemi tkaninami, podłoga w niej zasłana była watą ryżową, taką, jaką się widuje w krajach podzwrotnikowych.

W kurytarzu był jeden tylko mebel, ale wart obejrzenia.

Był to stolik z chińskiej laki, kwadratowy, jak stoliki karciane, a na nim talja kart rozłożona w pewnym porządku. Królowie czerwoni obok dam czarnych, asy czarne przy czerwonych waletach i tak dalej.

Nie jest wcale zbrodnią zamykać się w ciemnym gabineciku dla stawiania pasjansów; nie jest rzeczą wzbronioną przerwać ów pasyans i zostawić karty na stoliku.

Ale szef policyi pamiętał wybornie stolik do kart w buduarze, w którym spędził tyle przykrych godzin, zamknięty w pudle od zegara; miał w kieszeni fotografię kobiety zamordowanej, która kazała się odfotografować z damą pikową w jednej ręce i z kamelią w drugiej.

I kwiat i karta leżały w trupiarni na jej zwłokach.

Otóż w ciemnej skrytce przy kartach, ułożonych systematycznie, był kwiat zaschły, który można było jeszcze poznać po kształcie.

Była to kamelia.

To bardzo obciążało podsądnego.

Zręczny szef policyi w ciągu swej długiej karyery nie uczynił jeszcze nigdy tak sensacyjnego odkrycia.

Nie mógł pojąć, jak młodzieniec mógł być tak nieostrożnym i zachowywać takie dowody winy, tak starannie i troskliwie, jak przedmioty sztuki w muzeum.

Można było przypuszczać, że p. de Gentilly przychodzi tu, aby się lubować relikwiami zagasłego szczęścia.

— To rzecz niesłychana — mówił sobie szef policyi. — On musiał ubóstwiać tę kobietę... Karty... kwiat... wszystko to łączy się zapewne ze wspomnieniem jakiej sceny miłosnej... a jednak ją zabił... bo ją zabił... to jasne, jak dzień... i zabił ją w chwili, gdy stawiała pasyans, tak jak na portrecie.

Czyżby ten człowiek był szaleńcem! Nie wiem doprawdy, ale założyłbym się o grube pieniądze, że jego adwokat będzie się starał udowodnić, że jest niepoczytelnym, a gdybym ja był sędzią przysięgłym, uwierzyłbym w to może...

Nie trzeba dużo imaginacyi, żeby sobie wystawić sceny, których ślad znajdujemy tutaj.

Dama lubiła radzić się kart... pytała je naprzykład, w chwili rozstania, czy wyjdzie za swego ukochanego... Sądzę, że ów de Gentilly musiał ją znać w Anglii i że pewnego dnia został powołany do Francyi... Owego dnia postawiła pasjans, który wyszedł... kochanek obiecał, że zachowa karty, przepowiadające ich szczęście...

Oto leżą na tym stole... Dziwię się, że ich kloszem nie osłonił.

Potem dama przyjechała do Paryża i kazała się fotografować z temi akcesoryami, które miały przypominać młodzieńcowi to słodkie pożegnanie; na odwrotnej stronie wypisała: *Nie zapomnij o mnie.*, po angielsku. i przesłała mu swój portret z temi słowy...

Tak być musiało. Piédouche przed udaniem się do Boulogne, pobiegł do fotografa, który mówił, że dama przyszła sama, że chciała jednej tylko odbitki i żądała, aby zniszczono kliszę.

Oto romans odtworzony w trzech czwartych... Tak, ale jakie zakończenie?

Młodzieniec, po ujrzeniu znowu swej ukochanej w Paryżu, dowiaduje się, że ona go zdradza... Chce się zemścić... Wpada do niej wieczorem... zastaje swego rywala przy stole i morduje go... Wchodzi do buduaru i widzi swoją kochankę stawiającą pasjans... dla innego... wbija jej w serce damę pikową... Ta karta w oczach ich miłości wzajemnej musiała mieć dla nich jakieś znaczenie szczególnie... Była to karta szczęścia...

Uderzony nagle pewną myślą, szef policyi nachylił się nad stolikiem i przyjrzał się uważnie kartom rozłożonym.

Brakowało damy pikowej.

Wedle prawideł tego pasjansu, znanego szefowi policyi dama pikowa powinna była leżeć obok króla kierowego.

A król kierowy był wdowcem.

Poszlaka była ważna. Naczelnik powrócił do ubieralni, zasunął ścianę ruchomą, oddał świecznik Piédouche'owi i rzekł:

— Widziałem już, com chciał widzieć. Jedźmy.

— Z tego, coś pan widział, nie wyciągniesz pan chyba wniosku, że jestem winien... Mam nadzieję, że nie przywiązujesz pan wagi do rzekomych poszlak, których nikt nie może brać na serjo...

— Nie przyszła jeszcze chwila dyskutować nad ich doniosłością. Oceni to sędzia śledczy.

— A zatem pan bierzesz stąd asumpt do pozbawienia mnie wolności i honoru... bo aresztowanie w takiej sytuacyi choćbym się okazał niewinnym, choćby mnie nawet jutro wypuszczono, to hańba na całe życie... A niemasz pan innego dowodu winy, oprócz portretu, który nie ma nic ze zbrodnią wspólnego.

— Zapominasz pan, żeś ofiarował agentowi, który pana przywiózł do prefektóry, dwadzieścia tysięcy franków, aby ci pozwolił uciec. Zapominasz pan, że następnie chciałeś sobie życie odebrać. Tak się nie zachowuje człowiek niewinny.

— Straciłem zupełnie głowę...

— Oszczędź pan sobie objaśnień bezużytecznych. Od dwóch godzin jesteś pan pod aresztem; nie oznajmiłem panu tego, bom miał nadzieję, że zechcesz uczynić wyznanie. Teraz o nic nie pytam i pan mi nic powiedzieć nie może. Jesteś pan w ręku sprawiedliwości. Idźmy ztąd.

P. de Gentilly przyjął ten cios dość mężnie. Przeszedł w milczeniu do pokoju sypialnego i patrzał spokojnie, jak szef policyi otwierał biurko, wyjmował z niego wszystkie papiery i korespondencye, opieczętował je i zabrał.

— Gdzie mnie pan odeszle? — spytał chłodno młodzieniec.

— Do więzienia przy prefekturze. Jutro będziesz pan badany przez sędziego śledczego i zapewnie przeniesiony do Mazas.

— Czy mogę komu dać znać, że jestem aresztowany?

— Jeżeli chodzi o osoby, u których pan wieczór spędziłeś, to nie obiecuję panu im tego oznajmiać.

— Nie chodzi o to panie. Chciałbym uwiadomić mojego ojca.

— Poszlę do niego. Powiedz mi pan tylko adres.

— Qaui Conti nr 49.

— Qaui Conti nr. 49! — powtórzył szef policyi, widocznie zdziwiony. — Pański ojciec nazywa się de Gentilly?

— Lecoq de Gentilly.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z „Pieśni o domu naszym.“

Jak obrządek każe dzienny,
Snopy wnosi sam gumienny;
Bo trza chleba do wesela —
I sam siankiem stół zaściela,
W pamięć żłobu Zbawiciela —
I po kątach snopy stawi
I coś z cicha błogosławi.
Plastry miodu w wielkiej krobi
Stary bartnik sam sposobi;

. . . .

Zadudniło coś po moście:
Ktoś przed gankiem z bata pali —
Więc drzwi w oścież — goście! goście!
Coraz pełniej w wielkiej sali. —
Przełamali się pospołu —
I stanęli koło stołu —
A trzy krzesła polskim strojem
Koło krzesła stoją próżne;
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne:
I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy;
Bo w tych krzesłach siedzą duchy...

. . . .

Nikt nie pyta o kim mowa,
Wszyscy wiedzą, co się święci,
I dla kogo serce chowa
Winną pamięć w tej pamięci!
Łzą się uczta rozpoczyna —
Niemo liczy się drużyna,
Ze strat wszystkich, z lat ubiegłych,
Z nieobecnych i poległych.

. . . .

Za oknami, na dziedzińcu
Słychać szepty i poswarki:
I migają się latarki —
I chłopięta stoją w wieńcu. —
Aż już w blasku niespodzianie,
W samem oknie szopka stanie
I kolęda zabrzmi głośno
Pieśnią wielką i radosną...

Wincenty Pol.

„Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich...
Krasiński—„Irydion“.

Nie miał już wiary w przyszłość. Wzięli mu ją. Zdarli i zniszczyli i został sam; młody, pragnący czynów — czynów chwalebnych, któreby mu zyskały miłość narodu.

Dotychczas wierzył, że pracą cichą a czynną, nieustanną a serdeczną, zdoła się przyczynić do lepszej doli cierpiącej Ojczyzny, że dołączy choć jedną cegiełkę do gmachu pozostającego na nowy żywot.

Wierzył. Wiara go krzepiła — była mu bodźcem do strasznej walki.

Ale dziś tę wiarę silną wzięli mu; dziś nie widział „jutra“ Ojczyzny, widział tylko Jej zgubę.

Zkąd ta niewiara? Zkąd brak ufności w przyszłość lepszą i jasną?

On dziś widział upadek narodu w braku przywiązania i miłości obywateli do zagona ojczystego. Widział go w walce strasznej o religię i język, czuł go boleśnie w niezgodzie braci swej, w tej niezgodzie, co nasz naród o zgubę wolności przyprawiła.

Wszystkie te obrazy ścierały mu się w duszy — piekły go i szarpały. Szarpała go rozpacz i najstraszniejsze uczucie — uczucie niemocy. I znikąd nie widział pociechy. Nikt mu tej wiary nie wróci!

Sam był. Sam, ztą straszną i zgroźną — niemocą.

Wtem wzrok jego padł na półki, gdzie rzędem stały dzieła piewców jego narodu. Na czele widniały księgi poety, ukochanego nad innych. Lecz dziś nawet i on, ten mistrz jego, nic mu pomódz nie może, wiary onej nie przywróci!

Bezwiednie jednak wyciągnął rękę po księgę, otworzył — wzrok padł na słowa:

„Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia i ufaj imieniowi Mojemu!“

Nagle, jakby się niebo przed nim otwarło, a w nim szczęście promieniało. Czuł, że z piersi spada ciężąca zmora niemocy, że mu jasno i anielsko na duszy.

Wiara powracała — silna, silniejsza niż przedtem. Wiedział teraz, że żadna siła nigdy mu jej już nie wydrze, bo jako puklerz obronny, modlitwę kojącą na przyszłość, miał potężne słowa mistrza, co mu życie wrócił. W anielskiem uniesieniu całował księgę i łkał radośnie:

„Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia i ufaj imieniowi Mojemu.“

Ela.

Ustęp z Pamiętników Ułana z roku 1831.

(Ze starego manuskryptu.)

(Dokończenie.)

A i ja tam przy innych o włos tylko com głową nie nałożył i cudem tylko jakimś, z honorem choć nie cało wyszedłem z fatalnej przygody, a było to tak:

Gdy po pierwszym, serdecznym uścisku puściliśmy się i wolniejszy jakoś do koła rum sobie zrobiliśmy, na rękę tylko pojedynkiem, to się ścinając, to się koląc, to strzelając, jak kto umiał, mógł i miał ku temu zręczność, wtedy ja się zwracam z koniem, to w tę, to w ową stronę, do koła opędzając się szablą, bo do koła, dopiero ztąd, juścić zowąd nowy napastnik w oczy ci zaglądał, błysnął pod nos żelazem i poszedł dalej. Pojrzę na raz, a tu z pod opadającego ku ziemi tumanu, sadzi na mnie pochylony na koniu, stary, wąsaty, o kilku na rękawie szewronach ułan i puszcza mi wprost piersi lancę. Sparowałem pchnięcie z góry na dół i grot lekko tylko zranił mi lewą rękę trzymającą cugle, on zaś zwrócił konia na lewo w tył i lekkim galopkiem zniknął mi z oczu, a ja kontent, żem się małym kosztem zbył napastnika, gdy chcę biedz w pomoc jednemu z naszych, co go w pobliżu mnie dwóch Moskali obracało, tenże zaś bronił im się zacięcie, naraz zabiega mi na przełaj znowu ten sam Stary drogę i krzycząc: *Nie ujdziosz gaficer, nie ujdziosz!* w największym pędzie rzuca się na mnie i znów puszcza mi lancę w piersi. Ja szczęściem nie tracąc przytomności, znowu paruję z góry, ale tym razem lancy nie wstrzymałem w biegu, odwróciłem tylko jej kierunek, bo miasto w piersi utkwiła mi w brzuchu i gdyby nie pendent, na którym nieco z impetu straciła, byłby mnie na wskroś przebił. Wtedy podsunąłem się z koniem pod niego, podrzuciłem silnem odbiciem lancę w górę i wraz na odlew tak dobrze zamalowałem napastnika po skroni i twarzy, że mu najprzód czapka, bo mu łuszczki przeciąłem, spadła, a potem sam zachwiał się i runął na ziemię z konia. W tej samej chwili uczułem jakieś silne niby kijem uderzenie przez łytkę prawą. Mniemałem zrazu, że mnie ktoś drążkiem od lancy ugodził, ale wnet jakieś uczucie niemiłego ciepła w obuwiu, z początku zwróciło tylko moją uwagę, później jednak mdlić mnie poczęło, pojrzę po sobie, krew, cały czaprak z przodu czerwony, pojrzę po nodze, przez rajtuzy bryzga takoż krew i obok jednego, drugi szeroki lampas sobie rysuje. Źle! pomyślałem sobie, w piersiach coraz mi ciaśniej i przed oczami niby iskry, niby jakieś płaty czarne majaczą, więc aby nie zlecieć nagle z konia, ująłem się grzywy mego bieguna i zawróciłem w tył, gdziem zastał ambulanse już napełnione rannymi, a oprócz tych na ziemi porozciąganych, doktorowie i felczery interymalnie opatrywali innych wielu, lub ryczałtowo nogi i ręce obcinali. Na ten dopiero widok osłabłem tak, że mnie z konia zdjęto. Po bolesnem wysondowaniu tych trzech ran, które od początku kampanii po raz pierwszy i to w jednej chwili miałem honor otrzymać, z flegmą nasz pułkowy podlekarz Steinig zadecydował, że rana w ręce tyle znaczy co nic, za parę dni się zagoi w brzuchu, że szczęściem błona nie przebita, więc dziś nie jest śmiertelną jeszcze; wszakże nie ręczy, czy wśród jazdy na wozie lub w ambulansie, gdy z porządku przyjdzie zapalenie, nie przejdzie także w gangrenę; łytka, że przestrzelona z pistoletu na wylot i kulka się nie została, więc rana także nie zagraża niebezpieczeństwem utraty nogi, chyba, gdyby krew we mnie była zła.

Tak mnie pocieszywszy, opatrzywszy i obandażowawszy, że w ambulansie miejsca nie było, już więc na wozy, co z pod furażów pozostały w obozie, pokładli nas, po 3ch na każdy i odwieźli w tył po za linią boju do dalszego rozkazu.

Tam ujrzałem jednego z podoficerów naszych, Złodowskiego, zda mi się, bez nogi już. Ów gdy już zrana stanęliśmy w assekuracyi, w samym prawie początku dostał strzał od kuli 6 cio funtowej, która mu nogę poniżej kolana tak urwała, że tylko na skórce się trzymała. Gdy to ujrzał, cofnął konia w tył, i z najzimniejszą krwią, z uśmiechem nawet rzekł: Bywajcie zdrowi koledzy! ja już podobno na nic wam się tu nie zdam; a przyłożywszy pozostałą lewą łytkę koniowi, małym z prawej nogi galopem odjechał sobie do ambulansów, gdzie nogę mu zaraz odjęto. Gdyśmy do Prus weszli, on już na szczudle chodził zdrów całkiem.

Około godziny 5-tej wieczorem nasi

na całej linii cofać się poczęli, nieprzyjaciel nacierał zewsząd, pułk nasz byłby się trzymał jeszcze, mimo tak przeważnych sił, gdyby nie porucznik Przyłuski, brat owego dzielnego Augusta co zginął pod Liwem, który krzyknął na raz: Uciekaj kto może, bo nas oskrzydlają! Wtedy popłoch stał się nie do opisania, każdy już nie myśląc tylko o własnem ocaleniu, głuchy na wszelkie groźby i zaklinania, jak szedł z razu śmiało i natarczywie, tak teraz bez rozwagi, z paniczną trwogą wszystko po drodze roztrącał, obalał, i w szalonym biegu deptał, nie broniąc się już nawet otaczającemu go coraz ciaśniej nieprzyjacielowi, i zapewne z rozgromu tego ani jeden człowiek nie byłby wyszedł, gdyby był nasz pułk 7my piechoty liniowej nie nadbiegł był nagle, i nie sformował kary, i naszych zasłaniając dobrze wymierzonym ogniem; owej masy jazdy nacierającej nie powstrzymał. Pod tą więc zasłoną cofnął się pułk nasz aż po za rezerwy, które, a mianowicie ów 6 pułk strzelców konnych przez cały ciąg bitwy ani razu na plac boju nie wystąpił, lecz spokojnie się na naszą porażkę patrzył, tłomacząc się tem, że nie miał rozkazu. Tu obliczywszy się, brakło nam 120 ludzi, w pułku zaś każdy niemal mniej więcej był rannym. Jeden młody podoficer z akademików warszawskich, otrzymał aż 19 pchnięć lancą najwięcej w twarz a przecież wygoił się szczęśliwie.

Słońce skłaniało się ku zachodowi gdy opamiętani wreszcie jakoś, porządniej już cofając się, stanęliśmy znowu na tem samem miejscu, zkąd my z rana wyszli, to jest pod *Malowanką*. Ale nie bawiliśmy tam tylko tyle, ile było potrzeba na wypoczynek i posilenie się po całodziennym poście i ciężkiej pracy, oraz na zwinięcie obozu, i porządne pomieszczenie nas rannych, których pod mocną zasłoną wysłano na przód, drogą ku Kownu, korpus zaś niebawiąc ruszył także za nami. Ale Sakin w też tropy za nami, zrazu zdala tylko obserwując a później, jak się to pokaże, coraz natarczywiej posuwać się zaczął.

Dni kilka idąc spokojnie całkiem, a po drodze zbierając rozrzucone oddziały przyszliśmy do Kowna. Starożytne to miasto, wznoszące się jedną stroną na stromej górze, z drugiej zaś oblane malowniczym Niemnem. Środkiem przerzyna się rzeka Wilia, oddzielająca miasto chrześcijańskie od żydowskiej *słobody*. Na jej brzegu stał jeszcze wtedy w całości posąg starego Perkuna, z utrąconą tylko ręką, tą właśnie, w której niegdyś pioruny dzierżył, ale stopnie posągu od dawnych ofiar wyraźne ślady okopcenia jeszcze zachowały. W Kownie staliśmy dwa dni blizko, zanim cały korpus, który tu znowu się całkiem zebrał i znowu połączył, licząc w to jenerała Dembińskiego i Szymanowskiego, nie został pontonami przeprawiony na drugi brzeg rzeki. Ciężko atoli rannych pod zasłoną dość słabej załogi zostawiono tutaj, a korpus poszedł dalej ku Żmudzi, tym porządkiem, że Szymanowski formował przednią straż, Giełdud korpus, a Chłapowski ariergardę. Ale żołnierz wtedy już począł na duchu upadać, niepokoić się i głucho o zdradzie szeptać; całkiem jednak nie tracili jeszcze nadziei, bo ich i tu łudzić zaczęto obietnicami *obcej* niebawem pomocy!

Dnia jednego wśród marszu dano nam znać, że w poblizkiej wsi napadł oddział kozacki dwór obywatela i rabuje, a że się popili, więc nie wielką siłą naszych możnaby ich zebrać z łatwością. Wysłano więc pluton naszego pułku, pod komendą porucznika Zabiełły, a za nim dla wszelkiej pewności i oddział strzelców celnych *Kuszla* czy *Puszeta*. Ale nasi na to się nieoglądając, kopnęli się zaraz z miejsca i wkrótce dopadli do dworu. Na podwórzu stało do 30 koni poprzywiązywanych koło płotu, kozacy pili, plądrowali w środku, ale skoro ujrzeli naszych, wnet powitali ich z okien rzęsistym ogniem z janczarek tak, że zaraz kilku spadło, a inni poczęli się mieszać. Co widząc dzielny Zabiełło, acz postrzelony już w rękę, krzyknął „*z koni!*“ i z okrzykiem hurra! wali szturmem do środka. Wtedy pijane, a więc i zuchwałe kozactwo, a byli to Dońcy, wypadają z szablami w ręku, i nuż na naszych z góry, którzy tył już zaczęli podawać, odbiegłszy komendanta swego w ręku rozjuszonej hordy. Zabiełło słabo już tylko mogąc się bronić, byłby niezawodnie poległ, gdyby naraz stary brodaty oficer kozacki niebył go sobą zasłonił i tym sposobem ocalił mu życie. Gdy się to dzieje, nadciągają cichaczem strzelcy i z nienacka z poza płotów jak sypną gradem kul na rozsypanych po podwórzu kozaków, jak się wtedy i nasi odwrócą, tak z owych 30 położyli większą połowę na placu trupem, a resztę ułani po swojemu zaczęli obrabiać lancami. Między temi znalazł się i ów stary oficer doński już prawie pod ręką jednego z naszych. Co ujrzawszy Zabiełło, krzyknął, że to jego zbawca i kazał, acz mocno już rannego wolno puścić. Zapłakał na to rzewnie poczciwy Doniec, pochwycił rękę Zabiełły, przycisnął ją do ust, i przysiągł, że odtąd chce zostać jego najwierniejszym sługą, a że los wojny zrobił go jencem, więc żeby się niejako swemu zbawcy wywdzięczyć, prosił Zabiełły, aby od niego przyjął na pamiątkę najdroższy jaki posiada skarb, konia. A był to prawdziwy Czerkies, nie pokaźny, mały, kary, ale nie pospolitej cnoty i wytrwałości biegun. Na nim on jak twierdził całą turecką kampanią odbył, a chociaż go kochał jak dziecko, wszelako temu co mu życie ocalił, bez żalu oddaje. Zabiełło przyjął z wdzięcznością ofiarę szlachetnego nieprzyjaciela, zapewnił oraz o swoim dla niego szacunku i za bezpieczeństwo osoby zaręczył. Niebawem rozkaz dzienny od naczelnego dowódzcy oznajmił całemu korpusowi ten piękny rycerski czyn tak kozackiego oficera jako też i porucznika Zabiełły, który nadto za waleczność ozdobiony złotym wojskowym krzyżem został. A gdy nie długo jakoś potem wypadł nam marsz przez obszerne majętności rodziców Zabiełły, gdzie równie oficerów jak i wojsko całe hojnie u siebie przyjmowali, na usilne prożby, jenerał Giełgud zostawił im owego Dońca, któremu zawdzięczając ocalenie syna, do śmierci wygody i spokojny chleb zapewnili.

Ułan-weteran z roku 1830/31.

nentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego, dziesięciofenygowego.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Wiadomości.

Najprzewieleb. Księdzu Arcybiskupowi, Czcigodnemu Duchowieństwu, Szanownym Posłom, Ziemianom, Mieszczanom i Kmiotkom, wszystkim naszym Współpracownikom, wszystkim Kolegom w zawodzie dziennikarskim, wszystkim Przyjaciołom, Czytelnikom i Zwolennikom naszego tygodnika i wogóle wszystkim Rodakom w kraju i na obczyźnie, przesyłamy ze serca płynące, a więc dla każdego serca wymowne noworoczne życzenie:

„Szczęść Boże!“

Niech w Nowym Roku spójnią bratniej zgody i życzliwości wzajemnej łączą się dłonie i duchy i serca nasze — niechaj nam spłynie moc „wiary“, blask „nadziei“ i zapał bratniej „miłości!“

„Szczęść Boże!“

REDAKCYA.

Noworoczny numer „Pracy“ kosztuje 50 fenygów — z franko przesyłką 60 fenygów.

Nowi abonenci otrzymają niniejszy numer — 53-ci „Pracy“, bezpłatnie, jeżeli nam nadeślą kwit abonamentowy.

Następny numer poświęcimy przeważnie jubileuszowi Sienkiewicza.

Z powodu druku niniejszego obszernego numeru noworocznego dział „Wiadomości“ zamknęliśmy już dnia 22 b. m. Wszelkie zatem notatki, które nas doszły po dniu 21-ym b. m., musieliśmy odłożyć do numeru następnego.

Na fundusz Janiny Omańkowskiej złożono w dalszym ciągu: na posiedzeniu „Sokoła“ w Witkowie 7 mrk. 53 fen.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 348 mrk. 54 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu „Samopomoc“ 124 mrk 52 fen, pozostały zatem u nas 224 mk 2 fen.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. T. Piotrowski z Koźmina 1 mk. (w znaczkach pocztowych), Z. Rutkowski z Leszna 3 mk., Antonina Bilińska z Wrocławia 6 mk. (Sumę tę złożyli: pp. Laska 1 mk., Kudera 50 fen., Janik 1 mk., Kurpas 1 mk., Biliński 1 mk., Konka 10 fen., pani Ziokowska 1 mk., panny Ksollówne 40 fen., wszyscy z Wrocławia); złożone na posiedzeniu członków Towarzystwa „Sobieski“ w Blumenthal, a nadesłane przez p. P. Wieczorka 15 mk. 5 fen.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 300 mrk. 35 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Kamienicę położoną przy ul. św. Wojciecha w Poznaniu, kupił p. K. Domagalski, destylator z św Wojciecha, od p. Wördera za 95 tys. mrk. „Szczęść Boże“ nowemu nabywcy.

Znany w szerokich kołach nauczyciel wiadomości handlowych, i rewizor ksiąg, p. Teofil Preiss przy ulicy Wiedeńskiej 1, rozpoczyna 3-go Stycznia p. r. nowy kurs handlowy, obejmujący gruntowną naukę książkowości, korespondencyi i rachunków kupieckich, teoryi wekslowej oraz stenografii i pisania maszyną Yosta.

Bliższych szczegółów dowiedzieć się można z prospektów, które wedle anonsu p. Preiss wyseła na życzenie bezpłatnie. Jakkolwiek urządzane przez p. Preissa kursa handlowe cieszą się podług odebranych informacyi wielkim udziałem tak pań jak i panów, pozwalamy sobie jednakowoż na tej drodze zwrócić uwagę Szanownych Czytelników naszych na tak ważną, i niezbędnie potrzebną w dzisiajszych czasach dla każdego naukę książkowości i t. p. zachęcając do licznego korzystania z nadarzającej się sposobności!

Gniezno. Aptekę pod orłem w mieście naszem, własność dotychczasową spadkobierców ś. p. Klemensa Kuglera, nabył drogą kupna zięć tegoż, aptekarz p. Stefan Gantkowski z Gniezna. Nowemu posiedzicielowi, który dołożył wszelkich starań, aby renomowana ta apteka, przeszło 100 lat w rodzinie Kuglerów się znajdująca, nie przeszła w obce ręce, ślemy na tej drodze szczerem sercem „Szczęść Boże!“

Wrocław. Dnia 13 go b. m. zdał przy tutejszym sądzie nadziemiańskim chlubnie egzamin referendaryuszowski p. Romuald Paczkowski z Poznania.

Od Redakcyi.

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne, niniejszem serdeczne składamy podziękowanie, zaręczając, że każdy list naszych przyjaciół, jakkolwiek nie zawsze zużytkowany w piśmie, sprawia nam wielką przyjemność i jest do dalszej pracy zachętą.

A zatem —do widzenia — w nowym kwartale.

W sprawie ankiety towarzystw polskich w Niemczech donosimy, że już 40 towarzystw nadesłało formularze wypełnione do Dra Rakowskiego i niebawem przystąpimy do druku zapowiedzianego specyalnego numeru.

Imci Księdzu S. w Ł. Oddaliśmy Księgarni polskiej celem załatwienia.

A. Z. w Białej (Galicya). O ile nam wiadomo, takie pisma fachowe w polskim języku nie wychodzą. Co do „Gazety Codziennej“ udaj się Pan po informacye pod adresem; „Gazeta Codzienna“ w Toruniu — Thorn W. P.

Panu Piotrowi C. w Szczepanowicach. (G. S.) „Pasieka“ wychodzi nakładem drukarni J. Chocieszyńskiego w Poznaniu, ulica Wodna. Pod wskazanym adresem możesz Pan zasięgnąć bliższej informacyi.

Panu Czesławowi St. w Buku. W księgarni polskiej Tempłowicza w Poznaniu, ulica Wilhelmowska, hotel Francuzki.

Abonentowi w Bojanowicach. Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale wiersze nadeszły już po wydrukowaniu numeru gwiazdkowego, a że są powszechnie znane, więc ich zamieścić nie możemy.

P. M. M. w Gnieźnie. Prosimy o nadesłanie kwitu pocztowego, a powieść wyślemy.

P. W. Gim. w Gerschede. Życzone kwartalniki wyczerpane.

P. S. S. Nyka w Gnieźnie. Prosimy o podanie dokładnego adresu. „Krwawy Chrzest“ nadeślemy później.

Panu Jaks. Dlaczego Pan taki ciekawy o Vestera? — Interesujący list przeczytaliśmy. Obawy z powodu tych 25 proc. przedwczesne.

Panu Opończewskiemu. Korespondencyą odebraliśmy, ale taki ich nawał, że tylko najpilniejsze się umieszcza. Więc może jeszcze przyjdzie do druku. Zaś co do adresów berlińskich, to niech Pan nie zadaje sobie trudu, bo 1) potrzeba tylko adresów towarzystw polskich a nie pojedyńczych członków, 2) w Berlinie to uskuteczni komitet towarzystw. Prosimy o łaskawą pamięć i piękne pozdrowienie przesyłamy. Listy Pańskie zawsze przyjemność nam sprawiają.

Panu Ludw. Rozmuś. Dziękujemy za list. Co do deklaracyi, to racz Pan się zwrócić do księgarni Tempłowicza w Poznaniu, aby Panu nadesłała wybór stosownych deklamacyi.

Panu Stachurskiemu. Chwilowy brak miejsca nie pozwolił nam na zużytkowanie korespondencyi. Adres pisma: „Przewodnik Katolicki“ — Poznań.

P. *Antoninie Szydl.* Niewypada nam drukować samych pochwał o sobie — więc listu nie drukujemy, dziękujemy zaś zań serdecznie.

P. *Karolowi Kan.* Nowelki nadesłanej nie możemy umieścić, jakkolwiek nie zaprzeczamy pewnych zdolności. Czytać, czytać jak najwięcej! Niech Pan

sięgnie do naszych autorów jeszcze głębiej — a za jaki roczek wydrukujemy z całą przyjemnością i to na pierwszem miejscu, a nie zrażać się niepowodzeniem!

P. *Kimczak.* Choć to Pański pierwszy list, ale znać w nim zdrową myśl a i słów Panu nie braknie. Matce, która Pana czytać uczyła, serdeczne składamy dzięki, bo widać nie tylko czytać po polsku, ale i czuć po polsku Pana nauczyła. — Wydrukujemy.

P. *Mąkowskiemu.* Umieścimy — ale w przyszłym roku, ponieważ teraz jeden odczyt na uroczystość listopadową już umieściliśmy. Z kolei umieścimy przygotowane już odczyty na pamiątkę powstania poznańskiego (marzec), powstania Kościuszkowskiego (kwiecień) konstytucji 3 Maja, oraz Odsieczy Wiedeńskiej (wrzesień). Następnie więc dopiero przyjdzie kolej na Pański.

P. A. *H. Chełmża.* Pan się myli. Właśnie „*Dziennik Kujawski*“ też podwyższył prenumeratę z 1 m. na 1,25. To samo zrobił „*Postęp*“, „*Goniec Wielkopolski*“ itd. Za stałą przyjaźń — dzięki.

Szymborze. Wasz Jan Kasprowicz dostał list do czytania i ucieszył się widząc, że tak popieracie „Pracę.“

HUMORYSTYKA.

Noworoczne życzenia humorysty „Pracy“.

Przy Nowym Roku niech się wam zdaje,
Że arkadyjskie przyszły zwyczaje,
Że znikła zawiść i chęć do kłótni,
Że zmiękli ludzie najbardziej butni,
Że już brat bratu w codziennej doli
I nie dopieprzy i nie dosoli,
Że męże kochać małżonki będą
I do kart więcej już nie usiądą,
Rozbrat uczynią z grą hazardową,
Co kij żebraczy jest dać gotową.

Przy Nowym Roku, jakby przez czary,
Niech ten świat stary będzie wam jary,
Niech młodzi starych słuchają pilnie,
Starzy niech młodych uczą usilnie,
Niech miłość będzie hasłem uznanem,
A nie wytartym z miedzi liczmanem,
Niechaj się każde tchnienie człowiecze
W przeczysty kryształ czynu oblecze
I niech się doby na palcach liczą
Co życie ludzkie trują goryczą.

Przy Nowym Roku życzę wam szczerze,
By rok wam kwiaty niósł wciąż w ofierze;
Byście, jak mędrcy, cnót przyjaciele,
Niezbyt od życia żądali wiele,
Byście, przechodząc życiową mękę,
Umieli ciągle śpiewać piosenkę:
„Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, ludzie są — ludzie,
A nie anieli przy Bożym boku“ —
Tego wam życzę przy Nowym Roku.

Humorysta „Pracy“.

Na Nowy Rok.

Ludzie, ludzie! w górę głowy!
Wielka myśl w mym mózgu gości!
Ja wam mówię, że rok nowy
Jest epoką dla ludzkości.
Odmian różnych świat nabierze,
Nieznanego nam uroku,
Rajem będzie — mówię szczerze
Od Nowego Roku.

Bo dziś każdy w głąb swą wnika,
Niby grzesznik przed spowiedzią,
Bada wady, błąd wytyka
I z poprawy zapowiedzią
Głosi światu erę nową;
Życie od tych zmian natłoku
Suchotniczą straci cerę
Od Nowego Roku.

A cóż mówić o prorokach,
Co nam głoszą wśród hałasu,
Że dojrzeli już w obłokach
Szczęśliwego powrót czasu.
Już w łeb wezmą nędze, klęski,
Z ponurego wstawszy mroku,
Świat zanuci hymn zwycięzki
Od Nowego Roku.

Lecz gdy miesiąc, dwa upłynie,
I z zarzutem ktoś powstanie:
„Tyś mówił, że bieda minie,
A nam gorzej mój Czekanie“
To mu powiem: „ja się dziwię
Pospiechem w tym wyskoku:
Ach poczekać racz cierpliwie
Do Nowego Roku.“

Humorysta „Pracy“.

Po świętach.

Jedni jedli żarliwie, pili znowu inni,
A wszyscy byli dzielni i niezwykle czynni,
Kogo zaś jeszcze później nie bolała głowa,
Wsiadał w dryńdę do Parku lub do [Urbanowa —
Ale najlepsze święta mieli cukiernicy,
A z nimi w jednej linii masarze-rzeźnicy.
Radośnie liczą zyski panowie winiarze,
A i ty się nie smucisz, zacny piwowarze;
Zebraliście grosz spory i nie macie straty,
Dając szumnie nazwane lury, fabrykaty,
Po których nader czujne rozciągali straże
Niestrudzeni doktorzy, oraz aptekarze.
Tak przeminęły święta — strucle i gło- [wizna,
A po nich pozostała w spuściźnie: golizna!

Humorysta „Pracy“.

NEMEZIS.

Pewien kamienicznik,
Istna w mieście zmora,
Który zwykł każdego
Dusić lokatora,
Na mamonę zawsze
Wielce był łakomy,
Bowiem chciał koniecznie
Posiadać... dwa domy.

W tym więc właśnie celu
Czynił wciąż debaty,
Aż wreszcie upatrzył
Ożenek bogaty...
Została sąsiadka
Jego połowicą
Choć dziesięć lat starsza,
Ale z kamienicą!...

Dzisiaj gdy ziszczone
Ma marzenia swoje
I rad wynajmuje
W dwóch domach pokoje —
Żona, o Ksantypa!
Staje z nim do boju,
Tak, że on obecnie
Nie ma sam... pokoju.

Miłość — zwodniczą — poeci,
Głupstwem zowią prozaicy,
Entuzyaści — dnem krynicy,
A świętością, zowią dzieci...
Do tych dzieci ja niestety,
Ongi także należałem,
Jak szalony ją kochałem,
Cud piękności i kobiety...
Zawsze u jej stóp klęczałem,
Jak do świętej się modliłem,
Jej spojrzeniem tylko żyłem,
I jej tylko serce chciałem.
Na jej byłem też usługi...
Dziś, gdy latek przeszło parę,
Wspominam te dzieje stare,
A ją... zabrał sobie drugi.

An. Anas.



— Zapytuję pana, czy to prawda, że pan powiedział, że ja szachruję w karty?

— No, to co?

— To nie prawda, ja jestem „uczciwym graczem“ i należę do „Towarzystwa uczciwych karciarzy“.

— Tacy karciarze chyba na księżycu mieszkają.

* * *

Parcelacya w Chinach.

Każdy naród, gdy jest prawy
I jak miłość bratnia każe.
Pragnie w Chinach mieć dzierżawy
I wytępić plemię wraże.

Kiau-Czau Prusak anektował
Wskutek tego dał libacyę,
Knedli, piwa nie żałował,
Bo miał w myśli parcelacyę.

Francuz, Anglik co przed laty
W „kraju słońca“ topią szpony,
Chcą Mandżuryę podrzeć w szmaty
I podzielić na zagony.

Wobec tego pan Michałek
Głodnem okiem na nich zerka:
„Dla mnie *Freunde* też kawałek,
„Jestem Krzyżak, żadna ścierka...“

Za te kilka *freundlich Worte*,
Kiau-Czau mu w nagrodę dano,
By w rygorze dzierżył Portę,
Dał baczenie zkąd szczekano.

Lecz rachunek był niedbały,
Prusak kiepsko stał na straży;
Moskal wtoczył samopały
I Japończyk o czemś marzy...

Kuda bratek? Co to znaczy?
Czto — bez Moskwy chcecie dzielić
Ej, *brodjagi*... bo car raczy
Anglię, Niemcy w Rosyę wcielić.

I zamilkli pośród pieśni...
Wszystkie państwa ze zachodu;
Dziś bez Moskwy nikt już nie śni
Robić w Chinach korowodu.

Więc na czele carskie pułki
Uzbrojone w strzelby, knuty,
Pójdą lotem jak jaskółki
Burzyć forty i reduty.

Także Anglik sztywny, dumny,
Co go Burzy przetrzepali,
Krzyżowcami pcha kolumny
Uzbrojone w hełm ze stali.

A Japonia i Francuzy
Wiodą wojska ku uciesze!
Lecz pomnijcie, by wam guzy
Nie natłukły chińskie rzesze.

* * *

Jest więc cała maskarada,
Również mają być kapele;
Niech się skończy raz parada
I rozpocznie się wesele!

D.



W dniu Sylwestra o północy,
Hakatysta jest ochoczy —
„Prosit Neujahr" zgraja ryczy,
Jakby stado psów na smyczy...

Przygotowanie do wesela.

Dnia jednego o zaraniu,
Jakoś w tydzień po „kopaniu",
W izbie Kubów kwik...
Zaraz ludzie zmiarkowali, —
Co się na tych rzeczach znali, —
Że wesele w mig!
Że wesele w mig!

*

Bo i wieprzak ukarmiony
I Maryśka już z ambony
Spadła drugi raz!
Jeno kiełbas narychtować,
Jeno ziarna napytlować
Na weselny czas!
Na weselny czas!

*

Sam się Kuba wziął do tego:
Zwiózł do młyna do „wietrznego",
Z czubem korcy sześć:
Trzy na mąkę, trzy na krupy —
Choć wieś sprosić do chałupy!
Miesiąc starczy jeść!
Starczy miesiąc jeść!

*

Potem nożem po karmniku,
Oparzył go — i po krzyku!
Plewniak co się zwał!
Na trzy palce szperka z niego,
A i sadła topliwego
Ćwierć bez mała miał!
Ćwierć bez mała dał!

*

Czworo szynek jak poduszki —
Podgarlanych kiszek z juszki —
Głowizna kiej smok!
A kiełbasy, jak żerdź w płocie!
Że Kubinie przy robocie
Wlazła kolka w bok!
Wlazła kolka w bok!

*

Przemogła się — bo czas krótki —
Napiła się z „tłustem" wódki,
Przeszedł ból i ziąb!
I co w duchu w dzieżki mlewa,
Zabrała się do pieczywa...
Trza na tyle gąb!
Trza na tyle gąb!

*

Harowała tydzień cały,
Aż jej nogi ustawały —
Spiekła placków, kołaczyków,
Naplotła im warkoczyków,
Ocukrzyła, opieprzyła,
Korzeniami nasyciła.
Zastawa gotowa!
Trunki — Kuby głowa!
Stół gnie się od ciasta —
A Kuba do miasta!
Pojechali oba z Jankiem
(Niby z zięciem) wczesnym rankiem,
Powrócili nad wieczorem:
Kuba z beczką — Jaś z gąsiorem,
Jest „bawarskie", jest i „słodka —
Reszta weźmie się od Motka —
Często po wsi chodzi —
We wszystkiem wygodzi!
Bez długiej mitręgi,
Da wódeczki tęgiej!

K. L.

* * *

Fatalne qui pro quo.

Gapski znajduje się na balu. Panna Helena zawzięcie go emabluje. Gapski jest w siódmem niebie. Wreszcie panna z cudnym uśmiechem i powłóczystem spojrzeniem pyta Gapskiego:

— Czy zgadza się pan z tem, że lekka kokieterja jest bardzo do twarzy kobiecie?

— O, tak.

— A mnie pan uważa za pozbawioną kokieterji?

— Panią nigdy. Pani jest skończona, skończona, (a bodaj cię zapomniałem) skończona kokotka.

Z teki nie-filozofa.

W dzisiejszych czasach można doskonale nie mieć głowy, mając plecy.

* * *

Najcięższą jest miłość bankiera, najlżejszą — studenta.

* * *

Dawniej mówiono: zbliżyły ich brylanty, dzisiaj — zbliżyło ich 10 szefli węgli.

* * *

Z miasta.

Choć już wkrótce jesień twarda
Z kalendarza wyjdzie groty,
Rozpoczęte są na wielką
Skalę różne dziś roboty.
Tu z ulicy bruk zerwano,
By ułożyć modny, nowy,
Tam znów kładą fundamenty
Pod budynek trzypiętrowy!
Patrzy na to człek wszelaki,
I dziw mu okrywa lica;
Czyżby twórcy owych robót
Spadli do nas tu z księżyca?..

* * *



Mieszkanie do wynajęcia.

— Mój gospodarzu, macie jakie mieszkanie do wynajęcia?

— Ino to, co pon widzi, jak się pozundnie zamiecie, to bandzie mozna mieskać.

On i ona.

Kto się lubi, ten się czubi, to też młode małżeństwo Iks odrazu od pierwszych dni po ślubie zajęło względem siebie pozycye nieprzyjazne.

Po jednej z okrutnych sprzeczek pani uznaje za możliwe i właściwe poczynienie pewnych ustępstw.

— Tak — rzecze głosem smętnym opierając głowę na poręczy fotelu — ja, wiem, że czasami jestem nieznośna.

Mąż milczy.

— Że mam wady...

— A że mąż jeszcze milczy, przeto pani dodaje:

— Ogromne, bardzo poważne wady.

— O, ja wiem! — bąka nakoniec mąż — ja wiem najlepiej!

A w tej chwili pani wyciąga się z fotelu jak kotka z nastawionemi pazurkami:

— Ja? mam wady? Ty wiesz, ośmiel mi się powiedzieć o nich choćby słówko...

Zawiodła się.

— Zosiu, otrzymałaś pewnie list od twego narzeczonego?.... Jak mu się powodzi?

— Bardzo dobrze, ale się niemało ugniewałam! Pomyśl tylko, przysłał mi list 6 stron długi — a ja się tak cieszyłam na kartę z widokami.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

FABRYKA

papierosów i tureckich tytuni

„VULKAN“

I. F. J. Komendziński w Dreznie

zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Wielki złoty medal na przyrodniczo-lekarskiej wystawie w Krakowie.

Jedyna większa polska

fabryka likworów

i nalewek owocowych

w Poznaniu,

przy ul. Berlińskiej nr. 14/15

pod firmą

Marczyński & Klóskowski

poleca swe wyborne 537

likwory deserowe,

wódki zdrowotne,

nalewki owocowe,

puncze, rumy, araki i koniaki.

Specyalność:

Botanik i Wiślanka.

Telefon 636.

Za darmo dostanie każdy książkę ze 100 obrazkami, kto sobie kupi w mej księgarni **Kalendarz Katolika** (50 fen.) lub **Maryański** (60 fen.) **na rok 1901.** Z dalszych miejscowości 20 fen. więcej na porto. **A. Glazowski Rozbark** (p. Beuthen O. S.).

Posener Credit Verein

eingetragene Genossenschaft m. unbeschr. Haftpflicht.

w Poznaniu, Plac Piotra 3

płaci także nieczłonkom 578

od wpłat do kasy oszczędności stale 4%,

od depozytów obecnie 4% i 4½%.

Felix Orlicki w Pyskowicach

na Górn. Śląsku (Peiskretscham O/Schlesien.)

poleca swój dobrze zaopatrzony renomowany

handel win,

tow. korzennych, łakoci, cygar, nasion nawozowych sztucznych, maszyn rolniczych i t. d.

Obsługa skora i rzetelna, towar doborowy a cena przystępna. Cenniki na żądanie darmo i franko! 605

Centralna Drogerya

Br. Śniegocki

Poznań, plac Wilhelmowski 10 (narożnik ulicy rycerskiej)

Telefon Nr. 532

238 poleca

„Ambrosia.“ Proszek ten z esencyą rozgotowany w pół litrze wody z 200 gramami cukru, daje szybko wyborną galaretkę, wystarczającą jako deser dla 6—8 osób. 1 kartonik 0,25.

Proszek do pudingu. Rozgotowany w mleku daje znakomity puding. 1 pud. 0,10.

Proszek do pieczywa. Zastępuje drożdże. 1 puszka 0,10.

Esencya do koniaku i wódek. Zawartość 1 buteleczki rozpuszczona w okowicie winnej podług przepisu znajdującego się na każdej butelce, daje tanio znakomite wódki lub koniaki. 1 but. esencyi do wódki ananasowej, benedyktyńskiej, Chatreuse, kminkowej, imbirowej, nordhäuser, miętowej, różanej, waniliowej, pomarańczowej, lub do koniaku, araku i rumu 0,75.

Czysty sok z cytryn, wyciśnięty prasą hydrauliczną, dla dyabetyków, otyłych, chorych na żołądek i reumatyzm, 1 but. pod gwarancyą czystego soku z 12 cytryn 1,00.

„Pastilles d'orateurs“ na chrypkę i kaszel w pud. po 0,35 i 0,60.

„Cachou Alberta“ pozostawia w ustach miły, aromatyczny zapach, 1 pud. blaszane 0,40.

„Sól emska“ rozpuszczona w gorącej wodzie i mleku znakomita na kaszel. 1 słoik 0,75.

„Koniak medycynalny“ pod gwarancyą czysty (dorównuje smakiem najdroższym francuzkim) 1 but. 2,50.

Koniak specyalny dla **diabetyków** 1 but. 3,50.

Herbata chińska prasowana w kostkach, znakomita i w stosunku do innych bardzo tania i oszczędna, 5 kostek po 20, 25, 30 i 40 fen.

Kakao Bensdorpa, prawdziwe holenderskie, najsmaczniejsze, luźno 1 funt 2,40.

Prawdziwa woda kolońska nr. 4711 najlepsza w but. po 0,75, 1,40 i 2.50.

Perfumy prawdziwe francuzkie we wszelkich zapachach, sprowadzane z Francyi w naczyniach lekkich aluminiowych, luźno na wagę 1 łut 0,30, 0,50 i 0,75.

Dentipuryna, najlepszy i najrzetelniejszy środek do czyszczenia zębów, 1 słoik 1,00.

Dentin, płynny kit do spróchniałych zębów 1 but. 0,50.

Przyrząd do usuwania ze zębów kamienia winnego, wskutek czego stają się śnieżno białe, nie psując szkliwia, 0,60.

Wata na katar 1 słoik 0,60.

Esencya na loki 1 but. 0,60.

„Serwetki spermacetowe.“ Chroni twarz od złych wpływów powietrza, usuwa pryszcze, 1 tuz. 1,00.

„Pollissoir,“ pudełko z przyrządami i proszkiem do czyszczenia i polerowania paznogci, 1,50.

Pilniczki stalowe do czyszczenia paznogci 1 sztuka 0,75.

„Kaloderma,“ galaretka z gliceryny i miodu na ręce 1 tuba 0,50.

„Aphanizon,“ pasta w tubie do wywabiania plam ze sukna, jedwabi i t. d. 1 tuba 0,40 i 0,60.

Atrament do znaczenia bielizny, bardzo trwały, 1 but. 0,75.

„Flexible,“ płatki preparowane do czyszczenia złota, srebra, i t. d. 1 sztuka 0,50.

„Terpsychore,“ proszek na posadzki do tańca, 1 pud. 1,00.

Lampki z cylinderkiem żelatynowym wypalają przez 12 godzin za ½ fen. nafty, nie kopcą, nie eksplodują, 1 szt. 0,50.

Politura na meble, nadaje meblom piękny połysk i świeżość, 1 but. 1,00 i 1,50.

„Kiszki na szczury,“ niezawodny środek nieszkodliwy dla zwierząt domowych, à 0,60 i 1,00.

Canabin, najlepszy środek na odciski, 1 pud. 0,60.

„Pedelin,“ olej na obuwie i różne skóry, czyni je nieprzemakalnymi i konserwuje, 1 but. 0,40.

Aparat fotograficzny „Picolo,“ 4×6 cm wraz z przyrządami, składającymi się z latarki czerwonej, 2 wanienek, ramki do kopiowania, wisiru, płyt, papieru cell., kartoników, wywoływacza, fiksażu i złotej kąpieli, w ładnym kartoniku, M. 3,00.

Aparaty droższe podług cennika, który na żądanie przesyłam gratis i franko.

Nagrobek praktyczny.

Na cmentarzu w Coulanges nad Yonnes, we Francyi, znaleziono nagrobek z roku 1866 z następującym napisem:

„Tu leży Briffant,
brygadier żandarmeryi konnej;
pozostawił wdowę niepocieszoną
i konia do sprzedania."

„Na polowaniu."

— Słuchaj, Mieczysławie, czyje ty nosisz włosy w breloku, czyżby narzeczonej?

— Nie, to zająca, którego raz w życiu zdarzyło mi się zabić!

Telegram z Pekinu.

Moc projektów w głowie
Mając zwykłą modą,
Radzą wciąż posłowie
Nad chińską ugodą.

A wojska tymczasem,
By rozwiać frasunki,
Na skórze z hałasem
Spisują warunki.

Noworoczne życzenie.

W noworocznym tym okresie każdy życzeń składa roje — więc przyjmijcie wraz z innemi i życzenia szczere moje... Czego życzyć? Ha — wszystkiego: Męża córce, zięcia mamie, kawalerom żon z posagiem, pomyślności każdej damie. Tym co pracą o chleb walczą, szczerze życzę powodzenia. Kto na łatwe zyski liczy, niech co prędzej szyki zmienia. Wszyscy niechaj swoje siły na uczciwe czyny tracą, niechaj wspólny gmach budują swą wytrwałą, mrówczą pracą.

Humoryśta „Pracy."